



# TESSA DARE

*Błyskotliwe,  
zmysłowe,  
emocjonujące...  
„Romantic  
Times”*

TESSA  
DARE

*Dama o północy*<sup>Tom 1</sup>

Przekład  
Agnieszka Dębska



Kapral Thorne potrafił sprawić, by kobieta drżała, choćby nawet dzieliła go od niej przestrzeń całego pokoju.

Kate Taylor uważała, że to bardzo kłopotliwa właściwość.

Musiała z przykrością przyznać, że wcale się o to nie starał. Wystarczyło, że wchodził do tawerny Ukwiecony Byk, sadowił się na stołku, spoglądał ponuro na wielki cynowy kufel z pokrywką i odwracał się szerokimi plecami do sali. Bez jednego słowa – a nawet i spojrzenia – mógł doprowadzić do tego, że biednej pannie Elliott zaczynały drżeć palce, gdy tylko dotykała klawiszy fortepianu.

– Och, nie mogę – szeptała. – Nie mogę teraz śpiewać. Nie wtedy, kiedy on jest tutaj!

I znów kolejna lekcja muzyki szła na marne.

Kate jeszcze rok temu nie miała takich kłopotów. Wcześniej w Spindle Cove mieszkały głównie kobiety, a lokal Ukwiecony Byk był niezwykle urokliwą herbaciarnią, gdzie podawano ciasta z lodami i bułeczki z konfiturami. Odkąd jednak utworzono lokalną straż miejską, stał się zarówno herbaciarnią, jak i tawerną.

Kate nie miałyby nic przeciw temu podziałowi, ale w przypadku kaprała Thorne'a wszelki podział był czymś niewykonalnym. Jego zwalista postać zdawała się zajmować całą przestrzeń pomieszczenia.

– Proszę spróbować jeszcze raz – przynagliła uczennicę, usiłując nie zwracać uwagi na onieśmielającą sylwetkę w drugim końcu sali. – Już prawie się nam udało.

Panna Elliott zaczerwieniła się i splotła dłonie na kolanach.

– Nigdy nie zdołam zagrać tego, jak należy.

– Ależ zdoła pani. To tylko kwestia wprawy, no i nie będzie pani wtedy sama. Popracujemy nad tym duetem i zdołamy się przygotować do występu na niedzielnym salonie.

Na sam dźwięk słowa „występ” policzki dziewczyny poczerwieniały.

Annabel Elliott była ładną młodą damą, delikatną blondynką o jasnej karnacji i, niestety, łatwo się rumieniła. Gdy tylko była czymś przejęta albo zdenerwowana, jej blade policzki tak płonęły, jakby dostała nagle po twarzy. A była przejęta lub zdenerwowana zbyt często.

Niektóre z młodych dam przyjeżdżały do Spindle Cove, by szukać w tej miejscowości schronienia z powodu nieśmiałości, skandalu lub osłabienia po chorobie. Pannę Elliott wysłano tutaj w nadziei, że wyleczy się z lęku przed tremą.

Kate uczyła ją dostatecznie długo, by wiedzieć, że kłopoty panny Elliott nie wynikały wcale z braku talentu lub przygotowania. Trzeba jej było tylko wiary we własne siły.

– Może zagramy coś nowego? – podsunęła jej. – Potrzeba mi nieznannej jeszcze atrakcyjnej muzyki, która wprowadziłaby mnie w lepszy nastrój niż kupno nowego kapelusza! – Spodobał się jej ten pomysł. – Pojadę w tym tygodniu do Hastings i zobaczę, co uda mi się wyszukać.

W rzeczywistości zamierzała się tam udać z całkiem innego powodu. Musiała złożyć komuś długo odkładaną wizytę. Kupno nowych nut było dobrym pretekstem.

– Nie wiem, dlaczego jestem taka niemądra – biadała zarumieniona dziewczyna. – Przecież brałam doskonałe lekcje przez całe lata! No i lubię grać. Naprawdę lubię. Ale kiedy inni słuchają, zawsze drętwieję ze strachu. Jestem beznadziejna!

– Ależ nie. Żadna sytuacja nie jest beznadziejna.

– Moi rodzice...

– Rodzice też nie sądzą, że jest pani beznadziejna, bo inaczej by pani tutaj nie wysłali.

– Chcą, żebym brylowała w sezonie. Nie ma pani pojęcia,

jaki nacisk na mnie wywierają. Nawet pani sobie tego nie wyobraża.

– Nie – przyznała Kate. – Chyba sobie nie wyobrażam.

Panna Elliott spojrzała na nią zgnębiona.

– Przepraszam. Strasznie przepraszam. Miałam na myśli co innego. Postąpiłam bardzo nieładnie.

Kate zbyła przeprosiny machnięciem ręki.

– Proszę nie mówić głupstw. Owszem, jestem sierotą. Ma pani zupełną rację, nie mogę wiedzieć, co to znaczy mieć zbyt wymagających, ambitnych rodziców.

Tylko że dałaby wszystko, żeby tego doświadczyć choć przez jeden dzień.

– Wiem jednak – ciągnęła dalej – że jest pani wśród samych przyjaciół, a to wielka różnica. Proszę wziąć pod uwagę, że wszyscy w miasteczku pani sprzyjają.

– Wszyscy?

Panna Elliott spojrzała nieufnie na zwalistego mężczyznę przy barze.

– On jest taki ogromny – szepnęła. – I taki przerażający. Za każdym razem, kiedy zaczynam grać, widzę, że się krzywi.

– Proszę się tym nie przejmować. To wojskowy, a wie pani przecież, że oni wszyscy ucierpieli od wybuchów bomb. – Kate poklepała pannę Elliott zachęcająco po ramieniu. – Nie trzeba zwracać na niego uwagi. Głowa do góry, uśmiechnąć się i gramy dalej.

– Spróbuję, ale... raczej trudno nie zwracać na niego uwagi.

No, rzeczywiście. Całkiem jakby Kate o tym nie wiedziała.

Mimo że kapral Thorne ignorował także i ją samą w sposób wręcz imponujący, nie mogła zaprzeczyć, że działał jej na nerwy. Skóra na niej cierpła, gdy był blisko niej, a jeśli już na nią spoglądał – choć robił to rzadko – jego wzrok zdawał się przewiercać ją na wskroś. Na szczęście jednak dla dobrego samopoczucia panny Elliott Kate nie dawała nic po sobie poznać.

– Głowa do góry – przypomniawszy jej półgłosem. – Uśmiechać się!

Kate zaczęła grać początek duetu. Gdy jednak przyszła kolej na pannę Elliott, ta potknęła się już po kilku taktach.

– Przepraszam, ale... – zniżyła głos.

– Czy znowu się skrzywił?

– Nie, jeszcze gorzej – jęknęła. – Teraz wzruszył ramionami!

Kate westchnęła ze zgorzaniem i wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć ku szynkwasowi.

– Nie. Wcale tego nie zrobił.

Panna Elliott pokręciła głową.

– Ależ zrobił. Coś okropnego.

To przeważyło. Mógł sobie lekceważyć jej uczennice i krzywić się, ale wzruszanie ramionami było czymś niewybaczalnym, co przekraczało wszelkie granice.

– Pomówię z nim – powiedziała Kate, wstając z taboretu.

– Och nie, błagam! – jęknęła panna Elliott.

– Proszę się nie martwić – zapewniła ją Kate. – Nie boję się go. Może być źle wychowany, ale przecież nie gryzie.

Przeszła przez salę i stanęła tuż za jego plecami. W ostatniej chwili powstrzymała się od dotknięcia jego obszytego frędzlami epoletu.

W ostatniej chwili.

Chrząknęła jedynie:

– Kapralu Thorne...

Odwrócił się.

W całym swoim życiu nie zetknęła się jeszcze z mężczyzną, który spojrzałby na nią tak twardo. Twarz miał jak wykutą z kamienia, złożoną z samych ostrych kantów i płaszczyzn wyglądających jak ogołocone ze wszystkiego pustkowie, na których nie sposób się ukryć. Usta były zacięte, ciemne brwi zmarszczone z dezaprobatą. A oczy przypominały zimny błękit skutej lodem rzeki w najbardziej mroźną, najsroźszą zimową noc.

Głowa do góry. Uśmiechać się.

– Jak pan może zauważył – zaczęła lekkim tonem, jakby od niechcienia – udzielam tu lekcji muzyki.

Milczał.

– Widzi pan, panna Elliott denerwuje się, kiedy zdarzy się jej grać w czyjejś obecności.

– Chce pani, żebym stąd poszedł?

– Nie. – Zaskoczyła ją własna odpowiedź. – Wcale nie chcę.

To byłoby za proste. On zawsze sobie w końcu szedł i za każdym razem tak właśnie się to kończyło. Kate zebrała całą odwagę i usiłowała być przyjazną. Kapral zawsze znajdował sposobność, żeby szybko opuścić tawernę. Była to żenująca gra, a ona miała jej już zupełnie dosyć.

– Wcale nie żądam, żeby pan sobie poszedł – odparła. – Panna Elliott musi nabyć wprawy. Gramy obie w duecie. Zachęcam pana do jego wysłuchania.

Utkwił w niej wzrok.

Kate przywykła do tego, że się na nią gapiono. Gdy tylko zawierała z kimś znajomość, była w przykry sposób świadoma, że ludzie wpatrują się w duże, widoczne znamię na jej skroni. Przez całe lata usiłowała je zasłaniać szerokimi rondami kapeluszy lub zręcznie ułożonymi włosami, ale bez skutku. Ludzie zawsze kierowali wzrok prosto na znamię. Nauczyła się ignorować tę przykrość. Po pewnym czasie bowiem widzieli już nie tylko samo znamię, ale dziewczynę ze znamieniem, a w końcu stawała się w ich oczach po prostu sobą, Kate.

Spojrzenie kaprała Thorne'a było czymś odmiennym. Kate nie wiedziała, kim właściwie jest w jego oczach i ta niepewność sprawiała, że poczuła się teraz nieswojo, ale usiłowała odzyskać pewność siebie.

– Ależ proszę zostać – zachęciła go. – Zostać i słuchać, kiedy będziemy grały dla pana najlepiej, jak tylko potrafimy. Proszę bić brawo, kiedy skończymy, lub też przytupywać do taktu, jeśli pan to lubi. Dodawać otuchy pannie Elliott. Będę zachwycona, jeśli dowiedzie pan, że ma w sobie choć trochę życzliwości.

Zdawało się, że całe wieki upłynęły, nim wreszcie odpowiedział – zwięźle i ze śmiertelną powagą:

– No, to ja idę.

Wstał i rzucił monetę na kontuar. A potem wyszedł, nie

odwracając się.

Gdy czerwone drzwi na dobrze naoliwionych zawiasach zamknęły się za nim, drwiąc sobie z niej głośnym trzaskiem, Kate pokiwała głową. Ten człowiek był niemożliwy.

Panna Elliott postawiła zaś kropkę nad „i”, grając lekkie arpeggio.

– Przypuszczam, że to załatwia całą kwestię – powiedziała Kate, próbując, jak zawsze, patrzeć na wszystko z lepszej strony. – Z każdej sytuacji istnieje jakieś wyjście.

Fosbury, właściciel lokalu, mężczyzna w średnim wieku, zbliżył się i wypłukał kufel Thorne’a, a potem przysunął Kate filiżankę herbaty. Po wierzchu pływał cienki jak wafel plasterek cytryny. Doleciała ją woń brandy. Zrobiło się jej cieplej na sercu, nim jeszcze upiła łyk gorącego płynu. Państwo Fosbury traktowali ją dobrze.

Byli jednak tylko namiastką prawdziwej rodziny, a tej musiała nadal poszukiwać. Zdecydowała jednak, że wciąż będzie to robić, choćby nawet wiele drzwi zatrzaśnięto jej tuż przed nosem.

– Mam nadzieję, że nie bierze sobie pani gburowatych manier Thorne’a do serca, panno Taylor?

– Kto, ja? – zaśmiała się z przymusem. – Och, mam na to za wiele rozsądku. Dlaczego miałabym brać sobie do serca słowa kogoś, kto wcale serca nie ma? – W zamyśleniu przesunęła palcem po brzegu filiżanki. – Ale niech pan mi wyświadczy jedną przysługę.

– Wszystko, co pani zechce, panno Taylor.

– Gdy następnym razem spróbuję wyciągnąć gałązkę oliwną do kaprała Thorne’a i potraktować go przyjaźnie... – tu uniosła brew i uśmiechnęła się ironicznie do Fosbury’ego – proszę mi przypomnieć, żebym zamiast tego dała mu nią po głowie.



Może jeszcze herbaty, panno Taylor?

– Nie, dziękuję.

Kate upiła łyk wodnistej lury, usiłując się nie skrzywić. Listki, zaparzone co najmniej po raz trzeci, zapomniały już chyba dawno, że kiedyś były herbatą.

Uznała, że wszystko to do siebie pasuje. Odległe wspomnienia wręcz się jej narzucały.

Panna Paringham odstawiła filiżankę.

– Gdzie pani, jak mówiła, bawi obecnie?

Kate uśmiechnęła się do siwowłosej kobiety siedzącej naprzeciw niej w fotelu.

– W Spindle Cove, panno Paringham. To znana miejscowość wypoczynkowa dla dobrze urodzonych młodych dam. Zarabiam tam lekcjami muzyki.

– Cieszę się, że uzyskane wykształcenie zapewniło pani godziwe utrzymanie. To więcej niż tak żałosna istota jak pani mogła się spodziewać.

– Rzeczywiście, miałam wiele szczęścia.

Kate odsunęła okropną herbatę i spojrzała ku zegarowi na gzymsie kominka. Czas uciekał. Nie chciała tracić cennych chwil i prowadzić błażej rozmowy, mając ważniejsze pytania niemal na końcu języka. Ale gdyby je otwarcie zadała, nie otrzymałaby upragnionych odpowiedzi.

Zacisnęła palce na sznurku paczki trzymanej na kolanach.

– Bardzo mnie zaskoczyła wiadomość, że pani, moja dawna przełożona ze szkoły, osiadła właśnie tutaj, ledwie o kilka godzin drogi od Spindle Cove. Nie mogłam się oprzeć chęci odwiedzenia pani. Z wdzięcznością wspominam lata spędzone w Margate.

Panna Paringham uniosła brwi.

– Naprawdę?

– Och, tak. – Kate usiłowała sobie przypomnieć jakieś

przykłady. – Brak mi zwłaszcza... tej pożywnej zupy. A także naszych regularnych nabożeństw modlitewnych. Dziś trudno mi znaleźć całe dwie godziny na czytanie kazań.

Kate dobrze wiedziała, że miała znacznie szczęśliwsze życie niż większość sierot. Atmosfera szkoły dla dziewcząt w Margate była może surowa, ale nie bito jej tam, nie głodzono i nie chodziła w łachmanach. Zawarła w niej kilka przyjaciół i otrzymała pożyteczną edukację. A co najważniejsze, nauczono ją muzyki i zachęcano do grania.

Doprawdy, nie mogła się skarżyć. W Margate zadbano o wszystkie jej potrzeby, prócz jednej. Miłości.

Przez wszystkie spędzone tam lata nie zaznała nigdy prawdziwej miłości, tylko jej wątłą namiastkę. Inna dziewczyna może by od tego zgorzkniała. Kate najwyraźniej nie miała jednak skłonności do cierpiętnictwa. Mimo że niewiele zapamiętała z czasów, zanim znalazła się w Margate, zachowała coś w sercu. Odległe wspomnienia szczęśliwego życia dawały o sobie znać wraz z każdym jego uderzeniem.

Była kiedyś kochana. Wiedziała o tym, i choć nie mogła powiązać tej wiedzy z żadnym imieniem ani twarzą, nie była ona mniej realna. Niegdyś, dawno temu, należała gdzieś do kogoś. Siedząca naprzeciw niej kobieta mogła być ostatnią nadzieją, żeby się czegoś o tym dowiedzieć.

– Czy pamięta pani, kiedy znalazłam się w Margate, panno Paringham? Musiałam być wtedy bardzo mała.

Stara kobieta zasznurowała usta.

– Miałaś najwyżej pięć lat. Nie mogliśmy jednak mieć pewności.

– Oczywiście, że nie.

Nikt nie wiedział, kiedy przyszła na świat, nawet i ona. Jako przełożona szkoły panna Paringham postanowiła, że wszystkie wychowywane tam sieroty będą obchodzić urodziny w dzień narodzin Pana, 25 grudnia. Zapewne po to, żeby pocieszały się, iż mają rodzinę w niebiosach, gdy wszystkie inne dziewczęta wyjeżdżały wówczas do własnych krewnych z krwi i kości.

Kate zawsze jednak podejrzewała, że za tym wyborem krył się znacznie praktyczniejszy motyw. Skoro ich urodziny przypadały w święta Bożego Narodzenia, to nie musiano ich obchodzić kiedy indziej, nie było też uzasadnienia dla jakichś dodatkowych prezentów. Wychowywane przez szkołę sieroty otrzymywały corocznie takie same dary: pomarańczę, wstążkę i starannie złożoną sztuczkę wzorzystego muślinu. Panna Paringham nie była zwolenniczką słodyczy.

Najwyraźniej nie była nią również i teraz. Kate nadgryzła koniuszek suchego biszkopta bez żadnego smaku, którym ją poczęstowano, a potem odłożyła go ostrożnie na talerz.

Zegar na kominku zdawał się tykać coraz szybciej. Już tylko dwadzieścia minut dzieliło ją od ostatniego dylizansu do Spindle Cove. Jeśli nie zdąży na niego, może błąkać się po ulicach Hastings przez całą noc.

Zebrała się na odwagę. Dość już miała wahań.

– Kim oni byli? – spytała. – Wie pani coś o nich?

– Kogo masz na myśli?

– Moich rodziców.

Panna Paringham prychnęła.

– Byłaś wychowanką szkoły. Nie miałaś rodziców.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Kate uśmiechnęła się, usiłując udawać bez troskę. – Ale przecież nie znaleziono mnie w kapuście ani nie wylęgam się z jajka, prawda? Miałam kiedyś matkę i ojca. Być może przez całe pięć lat. Usiłowałam sobie coś przypomnieć, ale wszystkie moje wspomnienia są niejasne i pogmatwane.

Pamiętam, że czułam się bezpieczna. A także coś niebieskiego.

Może pokój o niebieskich ścianach, ale nie mam pewności. –

Potarła grzbiet nosa i zmarszczyła brwi, wpatrując się w brzeg włóczkowego dywanika. – Może tak strasznie pragnę sobie to przypomnieć, że fantazjuję.

– Panno Taylor...

– Pamiętam głównie dźwięki. – Przymknęła oczy, zagłębiając się we wspomnienia. – Dźwięki, ale bez obrazów. Ktoś mówi do mnie: „Bądź dzielna, moja Katie”. Może matka? Może ojciec?

Słowa wryły mi się w pamięć, ale nie potrafię ich powiązać z żadną twarzą, choćbym się nie wiem jak starała. A prócz tego muzyka. Dźwięki fortepianu, wciąż te same, i piosenka, która też się ciągle powtarza.

– Panno Taylor!

Głos starej nauczycielki zabrzmiał ostro. Nie jak dźwięk stłuczonej porcelany, ale trzaśnięcie bicia.

Kate wyprostowała się gwałtownie w krzesło.

Stara dama spoglądała na nią surowo.

– Panno Taylor, radzę pani porzucić natychmiast te domysły.

– Jakże bym mogła? Proszę mnie zrozumieć. Przez całe życie nękają mnie te pytania, panno Paringham. Próbowałem, jak pani radzi, zadowolić się tym, co los mi dał. Mam przyjaciół, mam za co żyć, mam muzykę. Ale wciąż nie znam prawdy. Chcę wiedzieć, skąd się wzięłam, nawet gdyby to była niełatwa prawda. Wiem, że moi rodzice już chyba nie żyją, ale może zdołałabym odnaleźć krewnych. Przecież gdzieś musi istnieć jakiś mój bliski. Najmniejszy drobiazg może mieć znaczenie. Nazwisko, miasto albo też...

Stara kobieta stuknęła głośno laską w podłogę.

– Panno Taylor! Nawet gdybym coś wiedziała, nigdy nie podzieliłabym się z panią tą wiedzą. Zabrałabym ją ze sobą do grobu.

Kate zdrętwiała.

– Ależ... Dlaczego?

Panna Paringham nie odpowiedziała, zacisnęła tylko z dezaprobatą suche jak papier wargi.

– Nigdy mnie pani nie lubiła – szepnęła Kate. – Wiem o tym. Zawsze dawała mi pani bez słowa do zrozumienia, że nie warto traktować mnie życzliwie.

– Słusznie. Masz rację. Nigdy cię nie lubiłam.

Spojrzały obie na siebie. Cóż, teraz prawda wyszła na jaw. Kate siliła się, żeby nie ujawniać bolesnego rozczarowania. Trzymany na kolanach pakiet wyślizgnął się jej z rąk i spadł na podłogę. Panna Paringham uśmiechnęła się nieznacznie.

– Czy mogę spytać, dlaczego? Przecież byłam za najmniejszy drobiazg wdzięczna. Nigdy się nie skarżyłam. Uczyłam się pilnie i dostawałam dobre stopnie.

– Ano właśnie. Nie było w tobie ani źdźbła pokory. Całkiem jakbyś miała takie samo prawo do radości, jak każda inna dziewczyna w Margate. Zawsze cała w uśmiechach. Zawsze rozśpiewana!

Było to tak absurdalne, że Kate nie wytrzymała i się roześmiała.

– Nie lubiła mnie pani, bo za często się śmiałam? Czy lepszy byłby żal i smutek?

– Wstyd! – parsknęła ostro panna Paringham. – On byłby lepszy! Dziecię hańby winno żyć we wstydzie.

Kate oniemiała. Dziecię hańby?

– Co pani ma na myśli? Zawsze myślałam, że jestem sierotą. Nigdy pani nie mówiła...

– Ty nędzne stworzenie, nie trzeba było słów. Bóg sam cię napiętnował!

I panna Paringham wymierzyła w nią kościsty palec.

Kate bez słów uniosła drżącą dłoń ku skroni.

Końcami palców zaczęła bezmyślnie pocierać znamię, tak samo jak robiła to niegdyś – jakby mogła zetrzeć je ze skóry. Przez całe życie sądziła, że była kochanym dzieckiem, którego rodzice zmarli przedwcześnie. To straszne, że ją porzucono. Że jej nie chciano.

Przestała trzeć znamię. Może ją porzucono z jego powodu?

– Głupia dziewczyno! – Stara kobieta zaśmiała się szyderczo.  
– Coś ty sobie wymyśliła za bajkę? Że ktoś cię kiedyś odnajdzie jak zaginioną księżniczkę?

Kate powtarzała sobie w duchu, że musi zachować spokój. Najwyraźniej panna Paringham była osamotnioną, zgorzkniałą starą kobietą, która za wszelką cenę chciała się odgrywać na innych. Nie, nie da tej wstrętnej jędzy satysfakcji i nie zdradzi, jak głęboko czuje się dotknięta jej słowami.

Nie chciała też zostać tu ani chwili dłużej.

Sięgnęła po pakiet z nutami leżący na podłodze.

– Przepraszam, że panią niepokoiłam, panno Paringham. Pójdę już sobie. Nie musi pani mówić nic więcej.

– Och, powiem coś więcej, powiem. Że też mając już dwadzieścia trzy lata, niczego się nie domyślasz! Udzielę ci ostatniej lekcji. Muszę wziąć to na siebie.

– Proszę się nie fatygować. – Kate wstała z krzesła i dygnęła. Uniosła głowę i uśmiechnęła się wyzywająco. – Dziękuję za herbatę. Muszę już iść, żeby zdążyć na dylizans. Sama trafię do wyjścia.

– Impertynencka dziewczyna!

Stara kobieta machnęła ostro laską, trafiając nią Kate pod kolanem, tak że dziewczyna potknęła się przy wyjściu z salonu.

– Uderzyła mnie pani. Nie mogę uwierzyć!

– Powinam to była zrobić wiele lat temu. Może byś się wtedy przestała uśmiechać!

Kate wsparła się o drzwi. Upokorzenie było czymś jeszcze gorszym od bólu. Chętnie by się zwinęła w kłębek na podłodze, ale wiedziała, że musi uciec z tego miejsca, a zwłaszcza przed tymi słowami. Przed straszną, niewyobrażalną świadomością, która napiętnuje jej duszę tak jak znamię ciało.

– Żegnam, panno Paringham. – Wsparła się na zdrowym kolanie i zaczerpnęła gwałtownie tchu. Od drzwi dzieliło ją tylko kilka kroków.

– Nikt cię wtedy nie chciał! – W głosie starej niewiasty było pełno jadu. – Nikt! Kto, jak sądzisz, chciałby cię teraz?

Ktoś taki musiał jednak gdzieś istnieć. Obojętne, kto i gdzie.

– Nikt! – Nienawiść wykrzywiła twarz starej nauczycielki, gdy ponownie zamachnęła się laską.

Kate usłyszała, jak głośno stuknęła nią o framugę, ale ona w tym czasie zmagала się już z zamkiem drzwi frontowych. Zebrała suknię i wypadła na brukowaną ulicę. Ale buty na niskich obcasach miały sfatygowane zelówki. Poślizgnęła się więc i upadła. Ulice Hastings były wąskie i kręte, pełne zatłoczonych sklepów i oberży. Stara wiedźma z wykrzywioną twarzą nie

zdołałaby na szczęście za nią gonić.

Mimo to Kate puściła się biegiem.

Biegła desperacko przed siebie, chcąc uciec jak najdalej. Może gdy będzie biec jak najprędzej, prawda jej nie dopadnie?

Gdy skręcała ku stajniom, ścisnęło ją ze strachu w gardle. Kościelny dzwon wybijał donośnie godzinę.

Raz, dwa, trzy, cztery...

Och, nie. Obyż nie uderzył jeszcze raz!

Pięć.

Serce jej załomotało. Zegar panny Paringham najwyraźniej źle chodził. Spóźniła się. Dylizans odjechał bez niej. Następny będzie dopiero rankiem.

Wprawdzie trwało jeszcze lato w pełni i do późna było jasno, ale za kilka godzin i tak zapadnie noc. A ona wydała większość pieniędzy w sklepie muzycznym, zostawiając sobie tylko tyle, żeby wystarczyło ich na powrót do Spindle Cove. Nie stać jej było na oberżę ani na posiłek.

Dobiegła do postoju na zatłoczonej ulicy. Wokół niej pełno było wprawdzie ludzi, ale obcych. Nikt jej nie zechce pomóc. Wpadła w rozpacz.

Sprawdziły się jej najgorsze obawy. Będzie sama. Nie tylko teraz, ale zawsze. Bliscy opuścili ją dawno temu. Nikt jej nie chciał. Umrze samotnie w jakimś zaniedbanym pensjonacie, pijąc – niczym panna Paringham – po raz trzeci parzoną herbatę, przezuwając gorzkie myśli.

„Bądź dzielna, moja Katie”.

Przez całe życie trzymała się kurczowo tych słów. A także przeświadczenia, iż są dowodem, że ktoś o nią kiedyś dbał. Nie chciała ich w sobie zdusić. Panika nie pasowała do niej i nie przydałaby się na nic.

Przymknęła oczy, nabrała tchu i wyliczała w myśli: jest przy zdrowych zmysłach, ma talent i młode, sprawne ciało. Tego nikt jej nie odbierze. Nawet ta okrutna, pomarszczona jędza z laską i wodnistą herbatą.

Musi znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. Czy

mogłaby coś sprzedać? Różowa suknia z muślinu, którą miała na sobie, była niebrzydka. Dostała ją w prezencie od jednej z uczennic. Ma falbanki i koronki, ale nie zdejmie jej przecież z siebie! Swojego najlepszego kapelusza zapomniała u panny Paringham, a wołałaby raczej spać na ulicy, niż wrócić po niego.

Gdyby tego lata nie obcięła włosów na krótko, mogłaby je może sprzedać. Sięgały jej jednak do ramion i miały nieciekawy brązowy kolor. Żaden perukarz by ich nie chciał.

Największą szansą był sklep muzyczny. Gdyby wyjaśniła, w jakim kłopotliwym położeniu się znalazła i uprzejmie poprosiła, to właściciel przyjąłby może z powrotem nuty i zwrócił jej pieniądze. Wystarczyłoby ich na pokój w jakiejś porządnej oberży.

Wprawdzie była sama i nie miała ze sobą nawet pistoletu, ale mogła zastawić drzwi krzesłem i czuwać przez całą noc z pogrzebaczem w garści, gotowa w razie czego narobić krzyku.

Miała już więc jakiś plan.

Gdy spróbowała przejść przez ulicę, ktoś szturchnął ją łokciem. Zachwiała się.

– Oj – usłyszała – proszę uważać, panienko!

Odsunęła się ze słowami przeprosin. A wtedy pękł sznurek jej paczki. Białe stronic zatrzepotały i uleciały z wiatrem w letnie popołudnie niczym stadko spłoszonych gołębi.

– Och, nie! Moje nuty!

Rozpaczliwie usiłowała je schwycić obiema rękami. Kilka stronic zniknęło już jednak w głębi ulicy, kilka innych padło na bruk, prosto pod nogi przechodniów. Większość wylądowała na środku uliczki, wciąż jeszcze zawinięta w brązowy papier.

Sięgnęła po paczkę, desperacko usiłując uratować, co się tylko da.

– Patrz, gdzie leziesz! – huknął męski głos.

Zaskrzypiały głośno koła, a gdzieś o wiele za blisko niej jakiś koń stanął dęba i zarżał ostro. Uniosła głowę znad paczki, nad którą przykucnęła, i ujrzała dwie migające w powietrzu żelazne podkowy, wielkie jak talerze. Lada chwila mogły ją zmiażdżyć.

Jakaś kobieta wrzasnęła.



Kate rzuciła się z całej siły w bok. Podkowy wylądowały tuż koło niej, po lewej stronie. Wóz z donośnym zgrzytem zahamował ledwie kilka cali od jej nogi.

Paczka z nutami upadła nieco dalej. Jej plan stał się teraz zabłoconą, rozjechaną przez koła stertą brudnego papieru.

– Niech cię diabli! – zaklął woźnica z wysokości kozła i zamachnął się batem, gdy ujrzał jej znamię. – Ty przeklęta mała wiedźmo! O mało przez ciebie nie wywaliłem wozu!

– Ja... ja strasznie pana przepraszam, ale to był przypadek. Woźnica trzasnął batem o bruk.

– Jazda mi stąd, podła nędznico!

Uniósł bat do następnego uderzenia. Kate uchyliła się przed nim, chowając głowę w ramiona.

Ale cios nie padł.

Jakiś mężczyzna stanął między nią a wozem.

– Zrób to jeszcze raz – zagroził woźnicy z nieludzkim wręcz pomrukiem – a ja ci wtedy tak przyłożę tym biczem, że ciało zejdzie z twoich nędznych gnatów!

Słowa były przerażające, ale skuteczne. Wóz pospiesznie odjechał.

Gdy mocne ramiona podniosły ją z ziemi, wzrok Kate przesunął się po wielkim jak góra mężczyźnie. Ujrzała czarne, wyczyszczone do połysku buty, bufiaste spodnie na potężnych udach, a potem czerwony oficerski mundur.

Serce jej załomotało. Znała ten mundur. To był uniform straży miejskiej Spindle Cove. Była uratowana. A gdy uniosła głowę, spodziewała się zobaczyć przyjazny uśmiech. Tylko że...

– Panna Taylor...

Tylko że...

Tylko że to był on.

– Kapral Thorne! – wyszeptała.

Kiedy indziej rozbawiłaby ją ironia losu. Żeby ze wszystkich mężczyzn, jacy mogli przyjść jej z pomocą, był to akurat ten...

– Panno Taylor, co pani, u diabła, tu robi?

Wszystkie mięśnie w niej zeszywniały na dźwięk

szorstkiego tonu.

– Ja... ja tu przyjechałam po nowe nuty dla panny Elliott i...  
– nie chciała nawet wspomnieć o wizycie u panny Paringham – ...i upuściłam paczkę, bo spóźniłam się na dylizans. Jaka ja jestem głupia.

Głupia, narwana, naznaczona piętnem hańby. Niechciana.

– A teraz znalazłam się w okropnej sytuacji. Gdybym skądś wzięła pieniędzy, mogłabym wynająć pokój na jedną noc, a potem wrócić rano do Spindle Cove.

– Nie ma pani pieniędzy?

Odwróciła się, nie mogąc znieść tego oskarżycielskiego spojrzenia.

– Co sobie pani do licha myślała, wybierając się bez nikogo tak daleko?

– Nie miałam wyboru. – Głos się jej załamał. – Jestem osobą samotną.

Uścisk jego rąk na jej ramionach stał się jeszcze mocniejszy.

– Ja tu jestem. Nie jest pani już samotna.

Nie były to zbyt poetyczne słowa, tylko proste stwierdzenie faktu. Nie były również zbyt uprzejme. Gdyby prawdziwe wsparcie porównać do pożywnej kromki chleba, dostały się jej teraz stęchłe okruchy.

Nieważne. Całkiem jak komuś zgłodniałemu brak jej było godności, żeby odmówić.

– Strasznie przepraszam – wyjąkała, usiłując powstrzymać szloch. – Pewnie się panu to wszystko nie podoba.

A potem padła w te jego potężne, twarde, niechciane objęcia – i zapłakała.

Niech to diabli.

Wybuchnęła płaczem. Na ulicy! Jej śliczna twarz całkiem się wykrzywiła. Pochyliła się tak mocno, że czołem dotknęła jego piersi, a potem donośnie zaszlochała.

Później zrobiła to po raz drugi. I trzeci.

Jego wałach przebierał nogami obok, a Thorne był równie zdenerwowany jak koń. Gdyby miał wybierać między

przyglądaniem się płaczącej Kate Taylor a rzuceniem swojej wątroby sępom na pożarcie, to wydobyłby raczej nóż i rozplątał własną pierś, nim choć jedna łza spłynęłaby znowu po jej twarzy.

Cmoknął z cicha językiem, co wpłynęło kojąco na konia, ale nie na dziewczynę. Jej smukłe ramiona wygięły się żałośnie, gdy płakała wtulona w jego mundur. Wciąż ją za nie obejmował.

Desperackim gestem przesunął po nich dłonią w górę, a potem w dół.

Żadnego rezultatu.

Chętnie by spytał: co ci się stało? Kto ci wyrządził przykrość? Kogo mam posiekać na kawałki albo zatłuc za to, że tak się z tobą obszedł?

– Przepraszam – powiedziała wreszcie i odsunęła się od niego po chwili.

– Za co?

– Za to, że się rozplakałam w pana obecności. Pan tego z pewnością nie cierpi.

Wyciągnęła chusteczkę z rękawa i otarła oczy. Nos i oczy miała całe czerwone.

– To nie znaczy, żeby pan nie chciał trzymać kobiety w objęciach. Wszyscy w Spindle Cove wiedzą, że lubi pan kobiety. Słyszałam więcej, niżbym chciała o pańskich...

Zbladła i urwała.

No i dobrze zrobiła.

Ujął lejce jedną ręką, a drugą objął ją w pasie i sprowadził z ulicy. Gdy zeszli na bok, okręcił lejce wokół słupka i rozejrzał się za czymś, na czym mógłby ją posadzić. Nie miała gdzie usiąść. Nie było tam żadnej ławki ani nawet skrzynki.

Przeszkadzało mu to niesłychanie.

Spojrzał ku tawernie po drugiej stronie ulicy – ku miejscu, do którego nigdy nie pozwoliłby jej wejść – ale całkiem serio rozważał, czy nie pójść tam, nie spędzić pierwszego lepszego pijaka ze stołka, a potem wytaszczyć ten stołek na zewnątrz i posadzić ją na nim. Kobieta nie powinna płakać na stojąco. Tak się nie godzi.

– Czy nie mógłby mi pan pożyczyć kilku szylingów? – spytała. – Wyszukałabym sobie jakąś oberżę i nie sprawiałabym panu dłużej kłopotu.

– Panno Taylor, nie mogę pożyczać pani pieniędzy na spędzenie nocy w oberży. Tam jest niebezpiecznie.

– Nie mam wyboru. Muszę tu zostać. Następny dyliżans do Spindle Cove odchodzi dopiero rankiem.

Thorne spojrzał na wałacha.

– Wypożyczę dla pani konia, jeśli umie pani jeździć.

Pokręciła głową.

– Nigdy się tego nie uczyłam.

Niech to licho. Co mógł zrobić, żeby wybrnąć z tej sytuacji? Miał dosyć pieniędzy, żeby bez trudu wynająć drugiego konia, ale nie starczyłoby ich na prywatny powóz. Mógł co prawda umieścić ją w oberży, ale za nic nie pozwoliłby jej tam zostać.

Mógłby jednak zostać tam razem z nią.

Nie z jakiegoś nieprzystojnego powodu, tylko jako jej obrońca. A na początek chciał znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłaby usiąść. Mógłby się upewnić, że będzie miała co jeść, pić i kołdrę do przykrycia. A on by czuwał, żeby mieć pewność, że nic jej nie zagrozi podczas snu.

Po tych wszystkich miesiącach dojmującej tęsknoty może by mu to wystarczyło.

Może by wystarczyło.

– O Boże! – Odskoczyła raptownie od niego.

– Co się stało?

Odwróciła wzrok i przełknęła z trudem ślinę.

– Coś się tu rusza.

– Skądże.

Thorne dokonał w duchu milczącego przeglądu wszelkich aspektów swojej osoby. Wszystko było w porządku. Przy innej okazji – gdyby w grę nie wchodziły łyzy – taka fizyczna bliskość mogłaby bez wątpienia wzbudzić w nim oznaki podniecenia, ale teraz Kate wspierała się przecież tylko na jego piersi. Choć skręcał się wprost cały i łomotało w nim to, co jeszcze zostało z jego

wypalonego na żużel serca.

– Coś w pana tornistrze. – Wskazała na skórzaną sakwę wiszącą w poprzek jego piersi. – Coś... coś się tam wierci.

Och, to. W całym zamieszaniu zapomniał o tym stworzeniu.

Sięgnął pod skórzaną klapę i wyciągnął je, unosząc do góry, tak żeby mogła mu się przyjrzeć.

– To tylko to.

I nagle wszystko się odmieniło. Całkiem jakby świat stanął na głowie ujrzany pod nowym kątem. W mgnieniu oka twarz panny Taylor przeobraziła się zupełnie. Łzy znikły, a elegancko wygięte łuki brwi podjechały do góry ze zdziwienia. W oczach błysnęło życie – zajaśniały doprawdy niczym dwie gwiazdy. Usta rozchyliły się w pełnym zachwyty uśmiechu.

– Och. – Przycisnęła dłoń do policzka. – Och, to jest szczeniátko!

Uśmiechała się. Boże wielki, co to był za uśmiech. A wszystko z powodu ruchliwej kosmatej kulki, która najwyraźniej miała ochotę obsuszać jej pantofelki i potarmosić je na strzępy.

Sięgnęła po pieska.

– Czy mogę?

Jakżeby mógł jej odmówić? Wetknął jej szczenię w rękę.

Bawiła się nim i przemawiała do niego czule jak do małego dziecka.

– Skąd się tu wzięłaś, kochanie?

– Z sąsiedniej farmy – odparł Thorne. – Chciałem go wziąć do zamku. Przydałby mi się tam pies.

Przechyliła głowę na bok, przyglądając się szczenięciu.

– Czy to pies?

– Pod pewnym względem.

Powiodła palcami po rudej łatce wokół prawego ślepia.

– A pod wieloma innymi względami jeszcze nie? Zabawna kruszynka.

Uniosła szczenię w obu dłoniach na wysokość swojej twarzy i stuliła wargi, wydając czuły, szczebiotliwy dźwięk. Piesek liznął ją po twarzy.

Szczęściarz z tego kundla.

– Czy to paskudny kapral Thorne wsadził cię do wstrętnej ciemnej sakwy? – Huśtała pieska w rękach z rozbawieniem. – Dużo bardziej wolisz być tutaj ze mną, prawda? Na pewno!

Piesek zaszczekał. Roześmiała się i przytuliła go mocno do siebie, trzymając za kosmaty kark.

Usłyszał, jak do niego szeptała:

– Jesteś absolutnym cudem. Dokładnie tym, czego mi było dzisiaj trzeba. – Pogładziła go po grzbiecie. – Dziękuję ci.

Thorne poczuł, że serce mu się gwałtownie ściska. Całkiem jakby coś od dawna skurzonego i zaschniętego nagle wracało do życia. Ta dziewczyna miała w sobie jakąś moc, która przywracała mu odczuwanie. Zawsze tak na niego działała, nawet kiedyś, w przeszłości. Dawno temu. Nie mogła mieć żadnych wspomnień z tych wczesnych lat życia. Na całe szczęście.

Ale Thorne je miał. Pamiętał wszystko.

Odchrząknął.

– Lepiej ruszajmy w drogę. Będzie już ciemno, nim się znajdziemy w Spindle Cove.

Przestała bawić się z psem i spojrzała na Thorne'a ze zdziwieniem.

– Ale jak?

– Pojedziemy obydwój na moim koniu. Wezmę panią na siodło.

Jakby zastanawiając się, co ma wybrać, spoglądała to na konia, to znów na pieska.

– Jest pan pewien, że się zmieścimy?

– Jak najbardziej.

Przygryzła wargę, jakby nie była tego pewna.

Jej instynktowny opór był szczery. A także zrozumiały.

Thorne też nie miał na to zbytnej ochoty. Trzy godziny konnej jazdy z panną Kate Taylor wciśniętą przed jego uda? Najczystsza tortura, ale nie widział innej możliwości, żeby szybko i bezpiecznie zawieźć ją do domu.

Mógł temu jednak sprostać. Skoro spędził cały rok w tej

samej co ona małej miejscowości, wytrzyma też, mając ją tuż przy sobie przez kilka godzin.

– Nie zostawię pani tutaj – powiedział. – Trzeba tak zrobić i już.

Na jej ustach pojawił się zabawny, pełen zakłopotania uśmiech. Uspokoiło go to, ale zarazem i zdruzgotało.

– Skoro pan tak uważa, nie potrafię odmówić.

Na litość boską, oby tak nie mówiła.

– Dziękuję – dodała. I delikatnie dotknęła jego rękawa.

Miej litość nad sobą samą. Nie rób tego.

Cofnął się przed jej dotknięciem. Wyglądała na urażoną, co sprawiło, że zapragnął ją ułagodzić, ale nie odważył się na to.

– Proszę zważać na psa – powiedział.

Pomógł jej wsiąść na konia i usadowić się w miejscu bliższym raczej jego kolan niż ud. Potem sam dosiadł wałacha, ujął jedną ręką wodze, a drugą objął ją w pasie. Gdy popędził konia, osunęła się na niego, miękka i ciepła. Otoczył ją udami.

Jej włosy miały zapach koniczyny i cytryny. Ta woń wzburzyła mu zmysły, nim je zdołał powściągnąć. Mógł odwieść ją od chęci gawędzenia z nim i dotykania go. Mógł pozwalać, by nadal bawiła się z psem. Ale jakże mógł zapobiec temu, że była kształtna i miała wprost niebiański zapach?

Bicie, chłosta i całe lata więzienia to była przy tym fraszka.

Thorne miał pewność, że najbliższe trzy godziny będą najcięższą karą, jakiej doświadczył w życiu.

Najdziwniejsza rzecz zdarzyła się podczas pierwszej godziny jazdy. Kapral Thorne na oczach Kate przeistoczył się w zupełnie innego człowieka.

W przystojnego mężczyznę.

Kiedy zerknęła na niego ukradkiem po raz pierwszy, pozwalając, by jej wzrok prześlizgnął się ostrożnie i z wolna od wyłogów jego munduru do twarzy – uznała wygląd kaprała za równie srogi i onieśmielający jak zawsze. Popołudniowe słońce jaskrawo oświetlało jego rysy. Aż się skurczyła ze strachu.

Ale potem, po kolejnych stu jardach drogi, znów spojrzała na niego, gdy mijali kępę drzew. Tym razem dojrzała jego profil w cieniu. Wydał się jej wówczas nie tyle groźny, ile opiekuńczy. I silny.

Potężna góra rozgrzanych mięśni za jej plecami tylko wzmagała to wrażenie, podobnie jak masywne ramiona obejmujące ją w pasie i to, że bez żadnego widocznego wysiłku kierował koniem. Nie pokrzykiwał, nie świstał biczem, tylko łagodnie poruszał obcasami lub, od czasu do czasu, mówił coś spokojnie. Słowa te wnikały w nią głęboko niczym dźwięki wiolonczeli, a każde z nich wzbudzało niski, głęboki rezonans w jej karku.

Przymknęła oczy. Głębokie dźwięki docierały w niej do najgłębszych zakątków ciała.

Patrzyła wprawdzie wprost przed siebie, na drogę, mimo to zaczęła o kaprału myśleć inaczej. W jej wyobraźni stawał się coraz mniej srogi i surowy, a coraz bardziej opiekuńczy i silny, aż wreszcie całkiem...

Przystojny.

Dziko, niezwykle, zuchwale przystojny.

Nie, nie, to niemożliwe. Wyobraźnia płatała jej figle. Kate wiedziała, że wielu kobietom z niższych klas kapral Thorne bardzo



się podobał, ale nie rozumiała, dlaczego. Jego rysy nigdy się jej nie wydawały atrakcyjne – może dlatego, że zwykle spoglądał na nią surowo i marszczył wtedy brwi. W rzadkich wypadkach, kiedy w ogóle na nią patrzył.

Po kilku kolejnych milach szczenię usnęło w jej objęciach. Kate zrobiła w myśli przegląd wielu niemiłych sytuacji, do jakich między nimi doszło, i w końcu uznała, że nie uważa go za pociągającego.

Powiedziała sobie, że jeszcze raz na niego spojrzę – po prostu, żeby się upewnić.

Ale gdy to zrobiła, zdarzyła się najgorsza ze wszystkich możliwych rzeczy.

Spostrzegła, że i on na nią patrzy.

Spojrzenia ich się spotkały. Przenikliwy błękit jego oczu wręcz ją zaatakował. Ku swojemu przerażeniu głośno, gwałtownie wciągnęła dech. A potem szybko postarała się spojrzeć gdziekolwiek, byle nie na niego.

Za późno.

Rysy jego wryły się w jej wyobraźnię. Po zamknięciu oczu widniały nadal pod powiekami, podobnie jak ów intensywny, przeszywający błękit tęczówek. Przyszło jej nagle na myśl, że jest może najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała – a był to sąd najzupełniej pozbawiony racjonalnych podstaw.

Kate zrozumiała, że ma poważny kłopot.

Zawrócił jej w głowie. Albo też była bliska utraty zmysłów. Być może jedno i drugie.

A przede wszystkim znalazła się w fatalnej sytuacji. Serce łomotało jej przeraźliwie i z pewnością musiał to wyczuć, skoro znajdowali się tuż przy sobie. O Boże, na pewno je również słyszał. To gwałtowne, pospieszne bicie jawnie zdradzało wszystkie jej sekrety. Równie dobrze mogłaby głośno zaśpiewać: „Jestem spragnioną uczucia, zbikowaną kretynką, która nigdy, przenigdy nie była równie blisko jakiegoś mężczyzny”.

Rozpaczliwie usiłując się jakoś od niego odgradzić, wyprostowała się, a potem pochyliła ku przodowi.

Akurat w tej samej chwili koń przyspieszył tempo i Kate przechyliła się niebezpiecznie na bok. Poczwała przez moment, że nieuchronnie spadnie.

A wtedy, równie szybko, została pochwycona.

Thorne ścisnął konia udami. Jedną ręką ściągnął wodze, a drugą objął ją w pasie. Ruchy miał płynne, mocne i instynktowne – jakby całe jego ciało było pięścią, w której ją zacisnął.

– Trzymam panią mocno – powiedział.

No i naprawdę to robił. Trzymał ją tak mocno i tak blisko siebie, że dziurki od jej sznurówki chyba mu odcisnęły na piersi okrągłe znaki.

– Czy już dojeżdżamy? – spytała.

– Nie.

Zdusiła w sobie smętne westchnienie.

Gdy słońce stało już nad samym horyzontem, zatrzymali się przy rogatce. Kate czekała, trzymając pieska, gdy Thorne kupował miarkę mleka i trzy pajdy gorącego, chrupiącego chleba od wieśniaka. Poszła w ślad za nim do przełazu, gdzie ułożył prowiant na pobliskim zboczu.

Siedli koło siebie na łące pełnej kwitnących wrzosów. Blask zachodzącego słońca zabarwił ich liliowe kwiatki na pomarańczowo. Kate złożyła swój szal we czworo, a szczeniak okrążył go kilkakrotnie, nim zaczął tarmosić jego frędzle.

Thorne podał jej jedną ze skibek chleba.

– Wystarczy tego?

– Ależ jak najbardziej.

Chleb parzył dłonie. Zaburczało jej w żołądku. Znad przełamanej na pół pajdy uniósł się apetyczny dymek.

Gdy ją jadła, chleb zdawał się po trochu łagodzić jej niemądre wewnętrzne rozterki. Z pełnym żołądkiem dużo łatwiej zdobyć się na rozsądek. Zdołała nawet znowu spojrzeć na Thorne'a.

– Muszę panu podziękować – odezwała się. – Nie przypominam sobie, niestety, czy zrobiłam to wcześniej, ale naprawdę jestem bardzo wdzięczna. Przeżyłam najokropniejszy

dzień z całego roku, a gdy na pana spojrzałam...

– To było jeszcze gorzej.

Zaśmiała się i zaprzeczyła.

– Wcale tak nie myślę.

– Dobrze pamiętam, że zaczęła pani płakać.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Czy to ma być żart? Ze strony srogiego, onieśmielającego kaprała Thorne'a?

Nie odpowiedział. Patrzyła, jak karmi pieska kawałkami chleba maczanego w mleku.

– Na miłość boską – ciągnęła – jaki będzie pański następny żarcik? Może puści pan do mnie oko albo się uśmiechnie? Tylko nie to, bo jeszcze padnę zemdlona na wznak.

Mówiła tonem łagodnej kpiny, ale słowa wyrażały coś całkiem poważnego. Wcale nie zapomniała, jakie wrażenie na niej zrobił jego wygląd i siła. Gdyby zdobył się jeszcze na cięty żart, znalazłaby się w niemałym kłopotcie.

Na szczęście odpowiedział jej ze swoim typowym brakiem wdzięku:

– Dowodzę strażą miejską Spindle Cove pod nieobecność lorda Rycliff. A pani mieszka w Spindle Cove. Mam obowiązek pomóc pani odstawić ją bezpiecznie do domu i tyle.

– W porządku – odparła. – Mam szczęście, że znalazłam się w orbicie pańskich obowiązków. Ale wypadkowi z wozem sama byłam winna. Biegłam ulicą na oślep.

– A co się stało wcześniej?

– Dlaczego uważa pan, że coś się stało wcześniej?

– Niepodobne do pani to roztargnienie.

Niepodobne do niej.

Kate żuła powoli chleb. Chyba miał rację, ale dziwne, że tak się wyraził. Unikał jej przecież jak diabeł święconej wody. No i jakie miał prawo decydować o tym, że coś jest do niej niepodobne?

Nie mogła jednak nikomu się zwierzyć ani nie miała powodu, żeby ukrywać prawdę.

Przełknęła kolejny kęs chleba i objęła kolana ramionami.

– Pojechałam odwiedzić moją dawną nauczycielkę. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś o moim pochodzeniu. A także o krewnych.

Milczał przez chwilę.

– No i udało się to?

– Nie. Nie chciałyby mi pomóc w ich odszukaniu, gdyby nawet mogła, tak mi powiedziała. Bo oni nie chcą być odnalezieni. Zawsze sądziłam, że jestem sierotą, ale najwyraźniej... – Zamrugła mocno powiekami. – Pewnie byłam podrzutkiem. Nazwała mnie dzieckiem hańby. Nikt mnie nie chciał ani wtedy, ani teraz.

Wpatrywali się oboje w horyzont. Jaskrawożółte słońce zachodziło za kredowobiałe wzgórza.

Odważyła się spojrzeć na niego.

– Nic pan nie powie?

– Nic, co by mogła usłyszeć dama.

Uśmiechnęła się.

– Nie jestem damą. Jeśli nie dowiem się niczego więcej o moim pochodzeniu, mogę tak uważać z całą pewnością.

Kate mieszkała w tym samym domu co wszystkie inne damy Spindle Cove, a kilka z nich było jej serdecznymi przyjaciółkami, jak lady Rycliff lub Minerva Highwood, od niedawna wicehrabina Payne. Wiele innych zapominało jednak o niej po wyjeździe. Uważały, że należy do tej samej kategorii co guwernantki i płatne damy do towarzystwa. Ostatecznie mogła pełnić funkcję takiej damy, ale tylko wtedy, gdy nie było pod ręką kogoś odpowiedniejszego. Czasami pisywały do niej, a gdy miały zbyt wiele strojów, dawały jej suknie, których już nie nosiły.

Dotknęła swojej zabłoconej sukienki z różowego muślinu. Była nie do uratowania.

U jej stóp piesek do połowy ciała wlaź w garnuszek po mleku i uszczęśliwiony wylizywał go, w miarę jak z niego wylaził. Kate sięgnęła po niego i przewróciła szczenię na grzbiet, żeby podrapać je po brzuszku.

– Jesteśmy pokrewnymi duszami, prawda? – spytała go. –

Nie mamy własnych domów ani rodowodów. Śmieszne z nas stworzenia.

Kapral Thorne nie próbował wcale temu zaprzeczyć. Kate przypuszczała, że zasłużyła sobie na to, daremnie dopraszając się komplementów.

– A pan, kapralu? Gdzie pan się wychował? Ma pan jakichś żyjących krewnych?

Milczał przez dłuższą chwilę, co było dziwne, skoro zadała mu tak bezpośrednie pytanie.

– Urodziłem się w Southwark, pod Londynem. Ale nie widziałem tej miejscowości prawie dwadzieścia lat.

Przypatrzyła mu się uważnie. Mimo jego śmiertelnej powagi nie dałaby mu więcej niż trzydzieści lat.

– Musiał pan opuścić dom w bardzo młodym wieku.

– Nie tak wcześnie, jak niektórzy inni.

– A teraz, kiedy wojna się skończyła, nie ma pan ochoty tam wrócić?

– Ani trochę. – Przez chwilę zatrzymał na niej wzrok. – Przeszłość lepiej zostawić za sobą.

Niewątpliwie miał rację, jak uznała, biorąc pod uwagę swój katastrofalny dzień. Zerwała długie źdźbło trawy i poruszała nim nad szczenięciem. Zamerdało radośnie długim, cienkim ogonkiem.

– Jak się będzie wabił? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Może Łatka.

– Ależ to okropne imię. Nie może go pan tak nazwać.

– Dlaczego? Przecież ma łatkę.

– Owszem, i właśnie dlatego nie wolno mu dawać takiego imienia. – Kate zniżyła głos, przytuliła do siebie pieska i dotknęła palcem rudej plamki wokół prawego ślepie. – Będzie mu przykro! Ja też mam coś podobnego, ale nie chciałabym, żeby mnie tak nazywano. Wcale mi nie trzeba o tym przypominać.

– To co innego. Przecież chodzi o psa.

– To nie znaczy, że wolno go urazić.

Kapral Thorne prychnął lekceważąco.

– Ale to tylko pies.  
– Powinien go pan nazwać Rex – powiedziała, przechylając na bok głowę. – Albo Księżę.  
Odwrócił wzrok.  
– A jakby tak pies nazwał panią Wasza Królewska Mość? Co by się wtedy stało?  
– Nic. – Kate postawiła pieska na ziemi i patrzyła, jak myszkuje pośród wrzosów. – Zrównoważyłby pan jego skromne pochodzenie, nadając mu imponujące imię. To byłoby zabawne. Całkiem jakby pan mnie nazwał Heleną Trojańską.  
Thorne zastanowił się i zmarszczył brwi.  
– A kim ona jest?  
Kate, chociaż z trudem, zdołała jednak ukryć zaskoczenie. W porę sobie przypomniała, że kapral był żołnierzem zaciężnym, a większość z nich odebrała bardzo skromną edukację.  
– Helena Trojańska była królową w starożytnej Grecji – wyjaśniła. – Mówiono o niej, że ma „twarz, co tysiąc okrętów wyprawia w morze”. Była tak piękna, że pragnął jej każdy mężczyzna. Toczono o nią wojnę.  
Siedział bez ruchu przez dłuższą chwilę.  
– W takim razie, jakby panią ktoś nazwał Heleną...  
– Trojańską.  
– Aha. Heleną Trojańską. – Między jego ciemnymi brwiami pojawiła się zmarszczka. – Dlaczego byłoby to zabawne?  
Roześmiała się.  
– Niechże pan tylko spojrz na mnie.  
– No, patrzę.  
O Boże. Owszem, patrzył na nią. W taki sam sposób, jak robił wszystko inne. Intensywnie, ze spokojem i niezwykłą siłą. Zirykowała się.  
Odruchowo uniosła dłoń do znamienia, ale w ostatniej chwili zdołała ją odrzucić pukiel włosów za ucho.  
– Byłoby to zabawne, bo nie jestem legendarną piękną. Żaden mężczyzna by o mnie nie walczył. – Uśmiechnęła się skromnie. – Do tego trzeba byłoby zresztą co najmniej dwóch

zainteresowanych mną mężczyzn. Mam już dwadzieścia trzy lata, a do tej pory, ani jeden się nie znalazł.

– Bo żyje pani wśród samych kobiet.

– W Spindle Cove są nie tylko kobiety. Jest także paru mężczyzn. Kowal, no i pastor.

Skwitował te przykłady pogardliwym mruknięciem.

– No... jest także pan.

Znieruchomiał.

A więc stało się. Może nie powinna była stawiać go w kłopotliwej sytuacji, ale przecież on sam zaczął o tym mówić.

– Także i pan – powtórzyła. – Ale pan mnie nie znosi.

Próbowałam zachowywać się przyjaźnie, kiedy pan przybył do Spindle Cove. Nic z tego nie wyszło.

– Panno Taylor...

– Wcale nie dlatego, żeby się pan nie interesował kobietami.

Wiem, że z niektórymi się panu udało.

Zamrugał, a ona poczuła się nieswojo. Zdumiewające. Jego mrugnięcie zrobiło na niej takie wrażenie, jakie osiągnąłby inny mężczyzna, waląc pięścią w dłoń.

– No cóż, wszyscy o tym wiedzą – ciągnęła, grzebiąc czubkiem pantofla w ziemi. – W miasteczku o wiele za dużo się mówi o pańskich... podbojach. Słyszę o nich, nawet jeśli nie chcę.

Podniósł się i ruszył w stronę drogi. Masywne plecy były wyprostowane, ciężkie kroki – miarowe. No i znowu sobie poszedł! Miała tego dość. Znużyło ją wzruszanie ramionami na jego afronty i pokrywanie urażonych uczuć uprzejmym uśmiechem.

– Nie widzi pan? – Wstała i brnęła przez wrzosa, usiłując nadążyć za jego długim, wielkim cieniem. – Właśnie to miałam na myśli. Jeśli się uśmiecham, pan się odwraca. Jeśli podsuwam panu krzesło, pan woli stać. Czy ja pana drażnię, kapralu Thorne? Czy zapach mojego pudru zmusza pana do kichania? Albo czy coś w moim zachowaniu wydaje się panu okropne albo przerażające?

– Proszę nie mówić bzdur.

– Ale mnie pan unika, prawda?

– Prawda. – Zatrzymał się. – Unikam pani.

– Niech mi pan powie, dlaczego.

Odwrócił się ku niej, a jego lodowato błękitne oczy wpatrzyły się uważnie w jej własne. Ale nie powiedział ani słowa.

Kate westchnęła głośno i opuściła ramiona.

– No, dalej! – jęknęła. – Niech pan to powie. W porządku. Po tak długim czasie to prawdziwa ulga usłyszeć prawdę. Tylko niech pan mówi szczerze.

W gwałtownym odruchu sięgnęła po jego rękę i przysunęła ją ku swojej twarzy, tak że końcami palców dotknął znamienia.

Próbował ją uwolnić, ale nie pozwoliła mu. Jeśli już ma żyć z tym piętnem, to Thorne zdoła wytrzymać, kiedy go przez chwilę dotknie.

Przysunęła się bliżej niego, przyciskając znamię do wnętrza jego dłoni. Było zimne.

– To jest powodem – powiedziała. – Czyż nie tak? Z tego powodu nie interesuję pana.

– Panno Taylor, ja... – Zacisnął szczęki. – Nie. Nie dlatego.

– W takim razie z jakiego?

Nie odpowiedział.

Twarz jej płonęła. Miała ochotę uderzyć go w pierś, tak żeby pękła i się otwarła.

– A więc dlaczego? Na miłość boską, dlaczego? Co we mnie jest takiego, że pan nie może tego ścierpieć ani wytrzymać ze mną w jednym pokoju?

Zaklął pod nosem.

– Nie spodoba się pani, jak o tym powiem.

– Chcę w każdym razie usłyszeć, o co chodzi.

Zanurzył rękę w jej włosach, a Kate zabrakło nagle tchu.

Wpatrzył się jej w twarz, tak że wszystkie nerwy miała napięte do ostateczności. Zachodzące słońce rzuciło na nich ostatni błysk pomarańczowoczerwonego światła. Wszystko dokoła zdawało się przez moment płonąć.

– O to.

Przyciągnął ją do siebie zgiętym ramieniem i pocałował.



Całkiem tak samo, jak robił wszystko inne. Mocno i z pełną spokojną siłą. Przywarł do jej ust wargami, żądając odwzajemnienia.

Kate odepchnęła odruchowo jego pierś.

– Proszę mnie puścić.

– Puszczę. Ale jeszcze nie teraz.

Jego uścisk unieruchomił ją. Nie mogła mu się wymknąć.

A jednak nie bała się go. Nie, bała się tego, co nagle pojawiło się między nimi. Jawnego, zachłannego pragnienia w jego wzroku. Żaru pomiędzy ich ciałami. Nagłego ciężaru w brzuchu i piersiach. Szaleńczego galopu tętna. Powietrze wokół nich pełne było przemożnego pragnienia. I to nie tylko z jego strony.

Nachylił się, żeby znów ją pocałować, ale tym razem instynkt kazał jej postąpić inaczej.

Pchnął ją ku niemu.

Gdy jego mocne wargi dotknęły jej własnych, poczuła, że cała słabnie. Przyciągnął ją do siebie, obejmując w pasie. Nawet nie próbowała mu się opierać. Głos sumienia w niej zamilkł, powieki zatrzepotały w oszałamiającym momencie kapitulacji. Podczas pocałunku wyrwało się jej westchnienie. Jawne wyznanie tęsknoty.

Jakże ciepłe miał wargi. Mimo pozoru chłodnej obojętności były cudowne, kojące. Jak świeżo upieczony chleb i lekka gorzycz piwa. Tego dnia widziała go już oczami wyobraźni pijącego samotnie piwo w mrocznej tawernie. Obraz ten tak dojmująco mówił o samotności, że zapragnęła go objąć. Wtuliła się w wyłogi jego munduru, przywarła do piersi.

Pozwoliła rozewrzeć się swoim wargom, jakby chcąc go nimi wchłonąć. Uchwycił ustami najpierw jej górną wargę, potem dolną. Jakby pragnął poznać jej smak.

Całował chciwie kąciki jej warg, podbródek, tętniącą żyłkę na szyi, szybko i mocno za każdym razem. Każdy z tych pocałunków długo czuła na skórze. Były jak płomień. Mówiły, że mu się podoba.

Jej nabrzmiące z namiętności wargi były upragnione.

Miękko wygięta szyja... Pożądana.  
Kraśny zarys policzka... Prześliczny.  
No i to znamię koloru ciemnego wina... Urocze.  
Zatrzymał na nim usta przez dłuższą chwilę. Oddychał ciężko, przebierając palcami w jej włosach. Wtuliła się w niego tak mocno, że czuła powściąganą z trudem siłę jego ciała. Cały drżał od wyczuwalnego wręcz dotykem pożądania.

A potem odsunął się od niej.

Przywarła do jego munduru, w głowie się jej kręciło.

– Ja...

– Nieważne. To się już więcej nie powtórzy.

– Już nie?

– Nie.

– No więc dlaczego do tego doszło?

Ujął ją palcem pod brodę i skierował jej twarz ku sobie.

– Proszę nigdy nie myśleć, że żaden mężczyzna pani nie pragnie. To wszystko.

– Wszystko?

Spojrzała na tego twardego, przystojnego i nieznośnego mężczyznę. Czy po to całował ją na wrzosowisku o zachodzie słońca, sprawił, że poczuła się piękna i pożądana, całe jej ciało wprowadził w gwałtowne drżenie... żeby potem powiedzieć „to wszystko”?

Wyprostował potężne ciało, jakby miał zamiar od niej odejść.

– Proszę poczekać!

Schwyciła go tak mocno, że nie mógł ruszyć z miejsca.

– A gdybym tak chciała więcej?

Więcej.

Thorne założył ręce na piersi. To słowo sprawiło, że ziemia uciekła mu spod nóg. Mógłby przysiąc, że stok wzgórza zachwiał się i zakołysał.

Więcej. Co to dla niej znaczyło? Z pewnością coś innego niż jego własne wizje. Widział już, jak obydwójce leżą spleceni ze sobą we wrzosach, wśród uniesionych fałd jej muślinowej sukni. Właśnie dlatego wyszukiwał sobie kobiety doświadczone, które pasowały do tego, co on rozumiał przez „więcej” – i bez żadnych skrupułów dawały wyraźnie do zrozumienia, kiedy, gdzie i jak często lubią to robić.

Ale panna Taylor była damą, mimo że temu zaprzeczyła. Niewinną, młodą damą snującą szaleńcze marzenia. Nie bardzo mógł sobie wyobrazić, co dla niej znaczyło „więcej”. Czułe słówka? Zaloty? Jakieś igraszki? On doświadczył wyłącznie igrania z niebezpieczeństwem.

A bezsensowny pocałunek był tego kolejnym przykładem.

Ależ z niego głupiec. Jego własna matka ujęła to najtrafniej. „Masz łeb tak samo zakuty jak szpetny. Nigdy się niczego nie nauczysz”.

– Nie może mnie pan teraz po prostu zostawić – powiedziała Kate. – Nie po takim pocałunku. Musimy porozmawiać.

To było jeszcze gorsze niż czułe słówka, niosło ze sobą większe niebezpieczeństwo niż zaloty. Ona chciała rozmowy!

Czemu kobieta nie pozwala, żeby czyn mówił sam za siebie? Gdyby chciał się posłużyć słowami, zrobiłby to.

– Nie mamy o czym mówić – odparł.

– Och, proszę, niech pan zmieni zdanie.

Thorne patrzył na nią z zastanowieniem. Przez większą część ostatnich dziesięciu lat walczył jako żołnierz brytyjskiej piechoty. Wiedział, kiedy odwrót jest najlepszym wyjściem.

Odwrócił się i gwizdnął na psa. Szczeniak przybiegł mu do nogi. Thorne poczuł zadowolenie. Nie był pewien, czy należało zostawić go na dłużej u hodowcy, ale dodatkowe tygodnie tresury wyraźnie się opłaciły.

Wrócił tam, gdzie zostawił konia, żeby się pasł, koło drewnianego przełazu, jedyne przejście w sięgającym do pasa kamiennym murku otaczającym pole.

Panna Taylor podążyła za nim.

– Kapralu Thorne...

Przekroczył przełaz, tak że mur znalazł się między nimi.

– Musimy wracać do Spindle Cove. Spóźniła się pani tego wieczoru na lekcję z siostrami Youngfield. Będą się o panią niepokoić.

– Zna pan rozkład moich lekcji? – spytała z wyraźnym zaniepokojeniem.

Zaklął pod nosem.

– Nie wszystkich. Tylko tych irytujących.

– Och. Tych irytujących.

Rzucił psu kawałek suszonego mięsa z królika, które miał schowane w kieszeni, a potem zaczął sprawdzać uprzęż konia.

Wsparła obie dłonie na równo otynkowanym szczycie murka, podciągnęła się i usiadła na nim.

– A więc moje lekcje i pana przesiadywanie przy kieliszku tylko przypadkiem przypadają o tej samej porze i w te same dni, co oznacza, że wie pan, kiedy uczę, i pamięta o tym.

Rany boskie. Pokiwał głową.

– Proszę sobie nie zmyślać żadnych sentymentalnych historyjek, że do pani wzdycham. Jest pani całkiem niczego, a ja mam przecież oczy i potrafię patrzeć. To wszystko.

Zebrała jedną ręką suknię, uniosła nogi i przerzuciła je na drugą stronę murka.

– A nigdy nie mówił pan ani słowa.

Gdy siedziała na murku, niemal nie różnili się wzrostem. Odsunęła falujące pasmo włosów za ucho – w ten wdzięczny, odruchowy sposób, jakim kobiety przywodzą mężczyzn do

szaleństwa.

– Ja nie umiem gładko gadać. Gdybym powiedział, czego chcę, byłaby pani czerwiejsza od swojej sukni.

To powinno ją odstraszyć.

Zarumieniła się lekko, ale nie zeskoczyła z muru.

– Wie pan, co sobie myślę? – spytała. – Że może całe pana srogie zachowanie wynika z jakiejś dziwacznej męskiej skromności. Z chęci, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Niemal wstydzę się przyznać, że dałam się na to nabrać przez większą część roku, ale...

– Doprawdy, panno Taylor...

Spojrzała mu w oczy.

– Ale teraz będę na pana zwracać uwagę.

Do licha. A więc to tak.

Właśnie tego unikał przez cały rok – możliwości, że któregoś dnia ona spojrzy na niego w kościele albo w tawernie i zatrzyma na nim wzrok o ułamek sekundy dłużej niż zwykle, potem zaś... przypomni sobie wszystko. Nie mógł na to pozwolić. Gdyby panna Taylor kiedykolwiek poznała otchłań plugastwa i grzechu, w jakiej przeżyła swoje najwcześniejsze lata, zdruzgotałoby to jej reputację, jej szczęście i odebrało źródło utrzymania.

Trzymał się więc od niej z daleka. Niełatwe zadanie, skoro miasteczko było małe, a tej dziewczyny – nie, już nie dziewczyny, ale pociągającej kobiety – wszędzie w nim było pełno.

No, a dzisiaj...

Cały rok unikania jej i onieśmiania poszedł na marne w ciągu jednego popołudnia przez ten bzdurny, głupi, przeklęty i wspaniały pocałunek.

– Niech pan na mnie spojrzy.

Pochylił się i wsparł ręce na kamiennym murku, stając z nią twarzą w twarz. Ośmielał w ten sposób i ją, i los. Jeśli kiedykolwiek zdoła poznać, kim on jest, to właśnie teraz.

Gdy go objęła, przyjrzał się swojej zdobyczy. Chciwie chłonał wszystkie szczegóły, których zauważenia odmawiał sobie przez długie miesiące. Śliczną różową suknię z falbankami koloru

kości słoniowej okalającymi dekolt niczym małe porcje lodów u cukiernika. Drobne piegi na piersiach, tuż poniżej obojczyka. Zuchwały zarys podbródka i czarujące dołeczki w kącikach różowych ust.

A potem poszukał wzrokiem bystrych orzechowych oczu, badając, czy nie pojawi się w nich czujność lub błysk świadczący, że go rozpoznaje.

Nic.

– Nie zna mnie pani? – spytał. Było to i stwierdzenie faktu, i pytanie.

Pokręciła głową. A potem wypowiedziała najbardziej szalone i nieprawdopodobne słowa, jakie kiedykolwiek usłyszał.

– Ale myślę, że chciałabym tego.

Uchwycił się kurczowo murka, jakby to był skraj przepaści.

– Może moglibyśmy... – powiedziała.

– Nie. Nie możemy.

– Jeszcze nie skończyłam mówić.

– Nieważne, co pani miała na myśli. Nie będzie tak i już.

Odszedł gwałtownie od murka i chwycił za lejce, odwiązując konia od słupka.

– Powinien pan ze mną mówić od czasu do czasu. Przecież żyjemy w tym samym miasteczku.

– Niedługo to potrwa.

– Co pan ma na myśli?

– Opuszczam Spindle Cove.

Zamilkła na moment.

– Dlaczego? Kiedy?

– Za jakiś miesiąc.

O miesiąc za późno, jak się zdaje.

– Przenoszą pana gdzie indziej?

– Opuszczam armię. A także Anglię. Dlatego właśnie byłem dzisiaj w Hastings. Wykupiłem przejazd do Ameryki na statku kupieckim.

– Coś takiego! – Ręce jej opadły. – Do Ameryki.

– Wojna się skończyła. Lord Rycliff pomógł mi zwolnić się

ze służby wojskowej z uznaniem zasług. Chcę kupić kawałek ziemi.

Drgnęła, jakby chciała zeskoczyć z murka. Odruchowo objął ją w pasie i powoli postawił na ziemi.

Tylko że ona wcale nie zamierzała wyswobodzić się z jego ramion.

– Przecież dopiero co się poznaliśmy – powiedziała.

Och, nieprawda. To długo nie potrwa. Nie pragnęła go wcale, miała tylko za sobą ciężki dzień i chciała szukać pociechy u pierwszej lepszej osoby.

– Panno Taylor, myśmy się pocałowali, ale tylko jeden raz. To był błąd. To się więcej nie powtórzy.

– Jest pan pewien?

Zarzuciła mu rękę na szyję.

Zesztywniał, gdy wyczytał jej zamiar z oczu.

Dobry Boże. Ta dziewczyna zamierzała teraz pocałować jego.

Mógłby dokładnie powiedzieć, w którym momencie ośmieliła się to zrobić. Jej wzrok spoczął na jego wargach. Usłyszał, jak gwałtownie nabiera tchu. Uniosła się na palcach, a gdy zbliżyła swoje usta do jego własnych, delektował się każdym ułamkiem tej chwili, w której nie odstąpiła od swojego zamiaru i nie odwróciła się od niego.

Przymknęła powieki. On też powinien był zamknąć oczy, ale nie potrafił.

Musiał patrzeć, żeby w to uwierzyć.

Przycisnęła wargi do jego ust właśnie w chwili, gdy błysnął ostatni promień słońca i świat stał się miejscem, którego nie poznawał.

Jak miło pachniała. Nie tylko przyjemnie, ale właśnie miło. Czysto. Słaba woń koniczyny i cytryny była istną esencją czystości. Poczul się dzięki temu zapachowi oczyszczony. Niemalże mógł sobie teraz wyobrazić, że nigdy nie łgał, nie kradł ani nie gnił w więzieniu. Nie poszedł na wojnę, nie krwawił. Ani też nie zabił czterech mężczyzn z tak bliska, że wciąż pamiętał

kolor ich oczu. Czarne, niebieskie, jeszcze jedno niebieskie, wreszcie zielone.

Niedobrze robi.

Z jego piersi wydobył się głuchy pomruk. Nadal trzymał ją oburącz w pasie, ale rozczapierzył palce.

Jego kciuki sunęły w górę, przechodząc kolejno od zebra do zebra, póki wreszcie nie dosięgły miękkiej skóry poniżej piersi. Małymi palcami obu dłoni dotknął delikatnej wypukłości biodra. Jego dłoń obejmowała tyle jej ciała, ile się tylko dało.

Zmusił się, żeby ją z całej siły odepchnąć.

Kiedy się rozdzielili, spojrzała na niego. Wyczekująco.

– Nie powinna pani była tego robić – powiedział.

– Chciałam tego. Czy stałam się przez to rozpustnicą?

– Nie. Osobą, która ma źle w głowie. Młode damy, jak pani, nie zadają się z takimi mężczyznami, jak ja.

– Jak pan? Czy ma pan na myśli mężczyzn, którzy ratują bezradne młode damy na ulicy i noszą szczenięta w tornistrze? – Udała, że się wzdryga. – Boże, chroń mnie przed nimi!

Uśmiechnęła się nieśmiało, samymi kącikami ust. A on pragnął ją całą pożreć. Schwycić w ramiona i nauczyć, jakie są konsekwencje droczenia się z pełną dzikiej namiętności prymitywną bestią.

Tylko że uratowanie jej było jedyną godziwą rzeczą, jaką zrobił w całym swoim życiu. Jakieś dziewiętnaście lat temu poświęcił resztki swojej niewinności, żeby okupić w ten sposób jej własną. Niech go diabli wezmą, jeśli teraz zrujnuje jej życie.

Stanowczym ruchem strącił z siebie jej ramiona, oplecione wokół jego szyi. Chwycił ją za nadgarstki tak mocno, jakby zakuwał je w kajdanki.

Gwałtownie wciągnęła dech.

– Proszę uważać, co pani robi, panno Taylor. Biorę na siebie winę za ten pocałunek. To było zuchwalstwo i mój błąd. Dopuszczałem do tego, żeby cielesny poryw sprowadził mnie z drogi obowiązku. Ale jeśli pani sobie wyobraża, że coś do niej czuję, są to tylko fantazje.



Szarpała się w jego uścisku.

– Pan mnie przeraża.

– No i dobrze – odparł ze spokojem. – Powinna się pani mnie bać. Zabiłem więcej mężczyzn, niż się uzbiera pocałunków w całym pani życiu. Pani nie będzie już chciała niczego więcej robić ze mną, a ja nie będę niczego czuł do pani.

Puścił jej rękę.

– Więcej o tym nie powiem.

Więcej o tym nie mówił.

A Kate pragnęła jedynie tego, żeby więcej czegoś takiego nie przeżywać.

Tylko że, niestety, miała przed sobą jeszcze całe dwie godziny upokarzającej jazdy na końskim grzbiecie i przyciśnięta do piersi Thorne'a rozpamiętywała swoje krańcowe poniżenie. Co za straszny dzień.

Nie przywykła do jazdy na koniu. Po przejechaniu wielu mil mięśnie jej zdrętwiały. Plecy bolały ją tak, jakby ją zbito czymś twardym. A jej duma... och, jej duma ucierpiała najdotkliwiej.

Co się działo z tym człowiekiem? Całował ją, mówił, że jej pragnie, a potem bezwzględnie ją odepchnął. Po całym roku obojętności powinna go chyba była poznać lepiej. Dziś jednak ludziła się, że odnalazła w nim skrywaną uczuciowość. Nie mogła się oprzeć chęci, żeby go sprowokować, ugodzić w czuły punkt.

A on ją odepchnął.

Co za upokorzenie. Jak mogła niewłaściwie odczytać jego intencje? Należało odrzucić propozycję powrotu do domu na jego koniu i spędzić noc, śpiewając na ulicach Hastings za marne grosze. Byłoby to mniej poniżające.

Nie czuł do niej absolutnie nic.

Pocieszało ją tylko, że za kilka tygodni miał wyjechać ze Spindle Cove, a ona się więcej do niego nie odezwie.

Trudniej będzie nie myśleć o nim więcej. Obojętne, jak długo jeszcze pożyje, to właśnie z nim całowała się po raz pierwszy.

Albo gorzej – po raz pierwszy i jedyny.

Okrutny, nieznośny olbrzym.

Wreszcie dotarli do pierwszych znajomych domów. Na horyzoncie zajaśniały światła miasteczka, tuż pod blaskiem gwiazd.

Kate uśmiechnęła się w duchu ironicznie. Tego ranka opuszczała Spindle Cove pełna szaleńczych marzeń. Wieczorem powraca tam, uginając się pod ciężarem upokorzenia, z kundelkiem w ramionach.

– Ja bym go nazwała Borsukiem – powiedziała, gdy nie mogła dłużej znieść jego milczenia. – Myślę, że to do niego pasuje. Widać mu tylko nos, zęby i bez przerwy się wierci.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Niech go pani nazwie, jak chce.

Pochyliła się i wtuliła nos w psią sierść.

– Borsuk! – szepnęła mu prosto w miękkie ucho. – Ty nigdy nie pogardzisz moim całusem, prawda?

Szczenię liznęło koniec jej palca. Zdusiła w sobie głupią chęć do płaczu.

Gdy byli już koło kościoła, w samym środku miasteczka, spojrzała na Królową Ruby. Światła paliły się niemal w każdym oknie. Ucieszyło ją to szczerze. Borsuk zaczął machać ogonem, jakby wyczuł, że była teraz w lepszym nastroju. Miała przyjaciół, którzy tam na nią czekali.

Thorne pomógł jej zejść z konia i puścił go luzem na trawę.

– Czy nie wejdzie pan do środka, żeby coś zjeść? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Kiepski pomysł. Zaczną o mnie gadać. Wróciłem z panią dobrze po zmroku. Ma pani podartą suknię i rozczochrane włosy.

Ubodła ją ta uwaga, uwłaczająca jej próżności.

– Rozczochrane? Mógł mi pan wcześniej powiedzieć.

Wzięła Borsuka pod pachę, a wolną ręką sięgnęła ku szpilkom we włosach. Nie mylił się, niestety. W miasteczku zawsze wrzało od plotek. A ona wiedziała, że musi dbać o nieskazitelną reputację, jeśli ma nadal mieszkać w Królowej Ruby i uczyć muzyki młode damy spędzające tu letnie miesiące.

– Proszę oddać mi szczeniaka. Muszę już iść.

Odruchowo przycisnęła pieska do piersi.

– Nie chcę!

– Czemu?

– Pasujemy do siebie, więc go sobie zatrzymam. Myślę, że lepiej mu będzie u mnie.

Zmarszczył brwi tak srogo, że niemal ujrzała to mimo ciemności.

– Nie może pani trzymać psa w pensjonacie. Gospodyni na to nie pozwoli, a nawet gdyby pozwoliła... pies potrzebuje dużo miejsca, żeby się mógł wybiegać.

– Ale potrzebuje też, żeby ktoś go kochał, kapralu Thorne. Czy może mu pan to zapewnić? – Schwyciła pieska za kark. – Proszę mi powiedzieć, że kocha tego pieska, a zaraz go oddam.

Nie odpowiedział.

– Trzy krótkie słówka! – przekomarzała się z nim. – Kocham tego psa. A zaraz dam go panu.

– Pies jest mój – odparł sucho. – Zapłaciłem za niego.

– No to zwrócę panu pieniądze. Ale nie powierzę tej uroczej, bezbronnej kruszyny komuś bez serca. Niezdolnemu do uczucia.

W tej chwili drzwi Królowej Ruby otwały się gwałtownie.

Pani Nichols wybiegła z nich, a przynajmniej starała się to robić, wymachując rękami.

– Panno Taylor, och, panno Taylor! Jak dobrze, że wreszcie pani wróciła!

– Przepraszam za kłopot, ale spóźniłam się na powrotny dyliżans. Kapral Thorne był tak uprzejmy, że...

– A myśmy tu czekali i czekali! – Stara kobieta chwyciła Kate za rękę i pociągnęła ją za sobą. – Goście czekają na panią od czterech godzin. Już wypiałam ze trzy szklanki herbaty i wyczerpałam wszelkie tematy do rozmowy!

– Goście? – spytała Kate ze zdumieniem. – Kto mnie odwiedził?

Pani Nichols owinęła się szalem.

– Jest ich aż czworo.

– Czworo? Czego sobie życzą?

– Nie chcą powiedzieć. Mówili tylko, że koniecznie muszą na panią poczekać.

Kate zatrzymała się w progu, usiłując wytrzeć buty. Nie miała pojęcia, kim mogą być goście. Może jakaś rodzina szuka nauczycielki muzyki? Ale o tej porze?

– Strasznie panią przepraszam za ten kłopot.

– Żaden kłopot, moja droga. To prawdziwy zaszczyt gościć w moim salonie mężczyznę tak wysokiego rodu.

Mężczyznę? Wysokiego rodu?

– Wolałabym ogarnąć się trochę na górze. Wyglądam okropnie po tej podróży.

– Nie, nie. Nie wypada, moja droga. – Gospodyni pociągnęła ją za sobą. – Nie można pozwolić, żeby markiz tak długo czekał.

Markiz?

Gdy pani Nichols zamknęła za nią drzwi, Kate odwróciła się i spojrzała ukradkiem w lustro. O mało nie podskoczyła, gdy niemal zderzyła się z kapralem Thorne'em.

– Myślałam, że pan sobie poszedł – rzuciła oskarżycielsko z nosem tuż przy wyłogach jego munduru.

– Rozmyśliłem się.

Gdy wreszcie odważyła się spojrzeć mu w twarz, ujrzała, że patrzy na nią nieufnie.

– Zna pani jakiegoś markiza?

Pokręciła głową.

– Najwyżej postawiony człowiek, jakiego znam, to lord Rycliff, a on jest hrabią.

– Pójdę tam z panią.

– Nie trzeba. To przecież salon, a nie jakaś spelunka.

– Pójdę z panią tak czy owak.

Nim zdążyli skończyć tę dyskusję, Kate poczuła, że gospodyni popycha ją w kierunku salonu. Thorne szedł tuż za nią. Kilka mieszkańek pensjonatu stało w korytarzu i spoglądało na nią z wielkim zaciekawieniem.

Kiedy doszli do salonu, pani Nichols wepchnęła Kate w jego drzwi.

– Oto nareszcie panna Taylor, panowie i panie.

Z tymi słowami zamknęła za nią drzwi. Kate usłyszała jeszcze, jak po ich drugiej stronie wyprasza kobiety z korytarza.

Z początku była przekonana, że w salonie jest jakiś tuzin gości, choć po chwili doliczyła się tylko czworga. Zamożnych, eleganckich. A ona stała przed nimi w podartej, zabrudzonej sukni i nawet bez szpilek we włosach.

Dżentelmen w ciemnym stroju wstał i złożył jej ukłon. Kate ledwie zdołała jako tako dygnąć, gdy raptem chóralne westchnienie gości o mało nie zgasiło świec.

– To ona. To musi być ona!

Kate z trudem przełknęła ślinę.

– To znaczy, że ja... ee... muszę być kim?

Ładna młoda kobieta wstała z fotela. Wyglądała na młodszą od Kate o kilka lat. Miała na sobie suknię z nieskazitelnie białego muślinu i haftowany jasnozielony szal. Wyszła na środek pokoju z niesłychanie zdumioną miną.

– To bez wątpienia ona.

Dziewczyna wyciągnęła przed siebie dwa palce, wskazując znamię na skroni Kate.

Kate cofnęła się odruchowo. Już nazwano ją dziś z jego powodu wiedźmą i dzieckiem hańby.

A potem znalazła się nagle w czyimś uścisku.

Borsuk, przygnieciony ciałami obydwu kobiet, zaskomlał donośnie.

– Och, Boże! – Kate cofnęła się z przepaszającym uśmiechem na ustach. – Całkiem o nim zapomniałam.

Młoda kobieta naprzeciw niej się roześmiała.

– Pies ma powód do sprzeciwu. Gdzie się podziały moje dobre maniery? Lepiej przedstawmy się najpierw sobie. –

Wyciągnęła ku niej dłoń. – Jestem Lark Gramercy. Witam.

Kate uścisnęła podaną jej dłoń.

– Miło mi panią poznać.

Lark odwróciła się i wskazała na swoją towarzyszkę.

– A to moja siostra Harriet.

– Harry – sprostowała tamta. Wstała z krzesła i potrząsnęła mocno jej ręką. – Wszyscy mnie tak nazywają.

Kate usiłowała nie gapić się na nią w oszołomieniu. Harriet (lub też Harry) była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziała. Nawet bez różu i klejnotów twarz miała absolutnie doskonałą: jasna, świetlista cera, wielkie oczy, usta czerwone jak wino. Małe znamię na kości policzkowej dodawało uroku ciemnym, wygiętym rzęsom. Czarne jak węgiel włosy z przedziałkiem pośrodku, upięte w prosty kok, podkreślały łabędzią linię szyi. Ale mimo tej klasycznej w stylu kobiecej urody ubrana była w coś nasuwającego myśl o męskim stroju. Koszulowej bluzki nie zdobiła ani jedna falbanka, kamizelkę skrojono jak dla mężczyzny i – co najbardziej szokujące – rozdzielona na dwoje spódnica z szarej wełny była przynajmniej o parę cali za krótka, co urągało wymogom skromności.

Wielkie nieba, Kate mogła nawet dostrzec jej kostki!

– Mój brat Bennett podróżuje teraz po Hindukuszu, a nasza droga siostra, Calista, wyszła za mąż i żyje na północy Anglii. Ale jest z nami ciotka Marmoset<sup>[1]</sup>. – Lark położyła dłoń na ramieniu starszej kobiety siedzącej w fotelu.

– Chyba się przesłyszałam? – spytała ze zdziwieniem Kate. – Czy pani powiedziała: „ciotka”...

– Marmoset. – Lark uśmiechnęła się. – Właściwie nazywa się Millicent, ale jako dziecko nie potrafiłam tego imienia należycie wymówić, no i już tak zostało.

– Z każdym rokiem bardziej na to miano zasługuję – powiedziała dobrodusznie ciotka.

– A jakże, kochana staruszko – wtrąciła cierpko Harry. – Jeszcze mi kiedyś przyjdzie narzekać, że muszę cię zdejmować z kolejnego drzewa.

– Och, milcz. Myślałam o tym, że jestem malutka, ruchliwa i nieodparcie urocza! – Drobną starszą pani wyciągnęła ku Kate kościstą dłoń. Uścisk jej był serdeczniejszy i mocniejszy, niżby się spodziewała. – Ogromnie się cieszę, że mogę cię poznać, moja mała.

Nim Kate zdołała zrozumieć, co ma na myśli, Lark przedstawiła ostatnią z osób.

– A to nasz brat Evan. Lord Drewe.

Kate odwróciła się ku mężczyźnie stojącemu przy oknie. A więc to jest ten markiz?

Lord Drewe złożył jej głęboki, oficjalny ukłon, na który usiłowała odpowiedzieć możliwie najelegantszym dygnięciem. Był mężczyzną w tak zwanym kwiecie wieku. Przystojnym, pewnym siebie, światowcem. A choć bez wątplenia był odpowiedzialny za setki, jeśli nie tysiące dzierżawców i podwładnych, wydawał się jedynie panem samego siebie.

Kate poczuła się nieswojo w jego obecności. Zrozumiała teraz w pełni podniecenie pani Nichols.

– Nasza rodzinna siedziba leży w Derbyshire. Mamy też jednak majątek ziemski w Kenmarsh – wyjaśniła jej Lark. – Nazywa się Ambervale. To w istocie wiejski domek. Spędzamy tam lato.

– Miło mi państwa poznać. – Kate opadła na krzesło, żeby markiz również mógł usiąść. – A co państwa sprowadza do Spindle Cove?

– Rzecz jasna, pani osoba, panno Taylor.

– Ach, chodzi zapewne o naukę muzyki? Udzielam lekcji śpiewu, gry na fortepianie i harfie...

Wszyscy czworo wybuchnęli śmiechem.

Z tyłu za nią kapral Thorne chrząknął i zabrał głos.

– Panna Taylor ma za sobą ciężki dzień. Chyba można z tym poczekać do jutra?

– Cenimy sobie pańską troskę, panie... – Lord Drewe odparł uprzejmie.

– Thorne.

– Kapral Thorne – uściśliła Kate. – Kapral dowodzi naszą strażą miejską.

Mogła jakoś ładniej to ująć, dodając „jest przyjacielem lorda Rycliff” albo „służył zaszczytnie pod rozkazami Wellingtona na Półwyspie Iberyjskim”. W tej chwili nie była jednak do niego zbyt

życzliwie nastawiona.

Uniosła w rękach Borsuka.

– Podarował mi tego pieska.

– I to ślicznego – zachwyciła się ciotka Marmoset.

Lark klasnęła niecierpliwie w dłonie.

– Kapral Thorne ma słuszość. Zrobiło się strasznie późno.

Harry, pokaż jej zaraz ten obraz.

Harry wstała i wystąpiła naprzód, trzymając prostokątny przedmiot owinięty w papier.

Gdy go zdejmowała, Lark ciągnęła:

– Widzicie, chciałam coś mieć do roboty w lecie. Ambervale to spokojny zakątek, a ja po prostu wariuję, jeśli nie mam się czym zająć. Postanowiłam więc pójść na strych. Znalazłam tam trochę rupieci i parę zniszczonych książek, ale też wsunięty pod krokwie ten obraz. – Podniosła głos ze zniecierpliwieniem. – Och, pospiesz się, Harry.

Harry nie przejęła się wcale.

– Nie bądź taka prędką.

Wreszcie rozpakowała to coś i przysunęła ku światłu.

Kate gwałtownie wciągnęła dech.

– Och, Boże święty.

Zasłoniła usta dłonią, przerażona przypadkowym bluźnierstwem. Bluźnić w obecności markiza?

Gramercy nie przejęli się jednak wcale. Siedzieli wszyscy spokojnie i bez słowa, gdy Harry pokazywała jej olśniewający akt. Naga kobieta leżała pośród rozrzuconej pościeli na czerwonej aksamitnej narzucie. Pełne piersi z różowymi sutkami wyglądały jak dwie poduszeczki nad wypukłym, śmietankowej barwy łonem. Kobieta z portretu była najwyraźniej brzemienna.

Wyglądała zaś całkiem jak Kate. Przypominała ją ogromnie, inne były tylko jej oczy i linia podbródka, no i nie miała żadnego znamienia.

Podobieństwo biło w oczy, było wręcz zdumiewające i oczywiste dla wszystkich zebranych w pokoju.

– Och, Boże święty – powtórzyła Kate.



– Czyż to nie wspaniałe? – spytała rozpromieniona Lark. – Kiedy tylko go znaleźliśmy, od razu stało się jasne, że musimy panią odszukać.

– Schowajcie to. – Thorne wystąpił naprzód. – To malowidło jest wstrętne.

– Bardzo przepraszam – sprzeciwiła się Harry, z dumą stawiając akt na gzymsie kominka i cofając się o krok, żeby go podziwiać. – Ciało kobiece jest piękne, widziane w całej swojej naturalnej krasie. To dzieło sztuki.

– Schowajcie to gdzieś – powtórzył Thorne głuchym, groźnym tonem – bo inaczej to spalę.

– On tylko chce się okazać opiekuńczy – powiedziała ciotka Marmoset. – Trochę jest za gwałtowny, ale ma dobre intencje.

Harry zerwała zielony szal z ramion Lark i zawiesiła go na płótnie, zakrywając większą część aktu.

– Ach, ci małomiasteczkowi Filistyni! Kiedy pokazaliśmy go proboszczowi, oniemiał i czerwone plamy wystąpiły mu na twarz.

– Czy państwo... – odezwała się z trudem Kate, wciąż wpatrzona w malowidło nad kominkiem – ...pokazali to pastorowi?

– Ależ oczywiście – odparła Lark. – Właśnie w ten sposób zdołaliśmy panią odszukać.

Kate skrzyżowała ręce na piersi. Czowała się całkiem jak obnażona, choć w niewytłumaczalny sposób. Nachylona ku malowidłu, wpatrzyła się w twarz kobiety.

– Ale przecież to nie mogę być ja!

– Nie, panno Taylor. To nie pani. – Lord Drewe z głębokim westchnieniem wstał i powiedział do sióstr: – Narobiłyście niezłego bigosu, chyba same rozumiecie. Jeśli ona teraz nie będzie chciała nas znać, możecie mieć pretensję tylko do siebie.

O czym on mówi? Kate miała w głowie jeden wielki zamęt.

Kapral zwrócił się do obecnych poważnym, rozkazującym tonem:

– Daję wam jedną minutę na wyjaśnienia, bo w przeciwnym razie każę się wszystkim stąd wynosić. Nie dbam, żeście lordowie

i damy. Panna Taylor jest pod moją opieką i nie pozwolę jej krzywdzić!

Lord Drewe powiedział do niej:

– Krótko mówiąc, jak moja siostra próbowała już wyjaśnić, jestem głową tego wędrownego cyrku, przysparzającego mi niemałych kłopotów. Szukaliśmy pani, bo sądzimy, że może pani być jego częścią.

– Przepraszam – spytała – częścią czego?

Wykonał szeroki gest ręką, jakby chodziło o coś całkiem oczywistego.

– Naszej rodziny.

*Pokój* zawirował jej przed oczami. Borsuk zeskokczył na podłogę, a Kate nie zrobiła nic, żeby go schwycić. Wokół niej Gramercy spierali się zawzięcie.

– Mówiłem ci, że nie powinniśmy byli zaskoczyć jej w ten sposób.

– Przecież to właśnie nas wszystkich zaskoczyło. Przecież wcale nie wiedzieliśmy, zaczynając dziś rano...

– Och, mój drogi. Jak ona strasznie zbladła!

Wszyscy byli tacy... tacy familijni. Kate z trudem potrafiła uwierzyć, że mogłaby być częścią tej rodziny. Pokusa nadziei była jednak wielka, a optymizm łatwo jej przyszedł. Nie chciała jednak postępować niemądrze. Najpierw należało się w tym wszystkim nieco zorientować.

Gdy pozostali zawzięcie rozmawiali, ciotka Marmoset siadła koło niej. Wyciągnęła z kieszeni coś małego w papierku.

– Weź sobie korzenny cukierek, moja droga.

Kate ujęła go machinalnie w palce.

– No, dalej – zachęcała ją staruszka. – Włóż go do ust.

Kate, nie wiedząc, jak jej odmówić, rozwinęła cukierek i zrobiła to.

Och, jakże ją zapiekło.

Łzy napłynęły jej natychmiast do oczu. Słodki ogień palił ją w język. Z największym trudem zdołała się powstrzymać przed wypluciem cukierka.

– Mocny, co? Z początku bardzo piecze, ale bądź cierpliwa, a po jakimś czasie poczujesz słodycz. – Ciotka Marmoset poklepała ją po ramieniu. – Ta rodzina całkiem go przypomina.

A potem rzuciła cierpkim tonem, zwracając się do wszystkich obecnych w pokoju:

– Hej, wy tam, uspokójcie się.

Natychmiast ucichli. Nawet ten markiz.

– Myślę, że nie ma innej rady, tylko trzeba opowiedzieć całą tę historię. – Sucha jak papier, pokryta starczymi plamami ręka ciotki Marmoset spoczęła na jej ramieniu. – Był sobie kiedyś mężczyzna, który się nazywał Simon Gramercy, młody markiz Drewe. Podobnie jak wszyscy Gramercy, miał skłonność do gwałtownych i niestosownych namiętności. Szczególnie upodobał sobie sztukę i bardzo nieodpowiednią dziewczynę. Córkę dzierżawcy z jego majątku w Derbyshire, wyobrażasz to sobie?

Kate kiwnęła głową, wciąż z okropnym korzennym cukierkiem przyklejonym do języka.

– Matka Simona, wdowa, była tym strasznie zgorzonna. Rodzice dziewczyny wydziedziczyli ją. Simon nie chciał jednak o niczym słyszeć. Uwił sobie z tą swoją muzą miłosne gniazdko w Ambervale. Ukrywali się w nim przez kilka miesięcy, spędzając wesoło czas na malowaniu, pozowaniu i namiętnym...

– Ciotko Marmoset...

– Doprawdy, kiedy się zobaczy ten portret, nic już chyba nie może człowieka mocniej poruszyć – ciągnęła stara dama. – Ale tak czy owak zdrowie biednego Simona bardzo podupadło. Następną rzeczą, jaką rodzina o nim usłyszała, była wieść, że nie żyje. Zmarł nagle i tragicznie. A nikt nie wiedział, co się stało z córką farmera. Najwyraźniej znikła bez śladu. Może i ona zachorowała? Może stała się muzą innego mężczyzny? Nikt nie potrafił dojść prawdy. Tytuł przeszedł na kuzyna Simona, mojego szwagra. A potem, po jego śmierci, na Evana. – Wskazała na lorda Drewe.

– Czy wciąż pani nic nie rozumie? – spytała Lark.

– Sporządzimy później dla pani dokładny opis – powiedziała Harry.

Kate wpatrywała się w malowidło.

– Jestem do niej podobna, przyznaję, ale mam tylko dwadzieścia trzy lata. No i... – Wskazała na swoje znamię.

– Och, to rys rodzinny – stwierdziła Lark. – Ma je wielu Gramercych. U Harry to tylko nieduży pieprzyk, a moje znamię zakrywają włosy. Evan ma je za uchem. Pokaż jej, Evan.

Lord Drewe odwrócił się natychmiast, żeby widać było jego

kark. Tak, miał ciemnoczerwone znamię pod starannie zawiązanym halsztukiem.

– Teraz chyba wszystko jest zrozumiałe? – spytała Lark. – Gdy znaleźliśmy ten obraz na strychu, stało się jasne, że musi przedstawiać ukochaną Simona. Nikt z nas jednak nie wiedział, że była brzemienna. Co się stało z dzieckiem?

– Doszliśmy do wniosku, że zmarło – przyznała Harry. – Bo inaczej z pewnością coś byśmy o nim usłyszeli. Ale Lark nie potrafiła oprzeć się pokusie poszukiwań.

Lark uśmiechnęła się.

– Uwielbiam tajemnice. Gdyby dziecko przyszło na świat w Ambervale, wiedzielibyśmy, że musiał zostać jakiś ślad po jego narodzinach. Poszliśmy więc do miejscowej parafii, ale powiedziano nam, że kościół spalił się w 1782 roku i odbudowano go dopiero po dziesięciu latach. Jakiś wypadek z kadzielnicą i obiciem ściennym...

Lord Drewe chrząknął.

– Ogranicz się do tego, co najważniejsze, Lark. Ze względu na pannę Taylor.

Lark skinęła głową.

– A więc nie było żadnych dokumentów. Później zaś parafię podzielono między trzy sąsiednie kościoły. Postanowiliśmy zrobić rodzinne wycieczki, odwiedzając każdy z nich co tydzień.

– Tylko nasza rodzina – powiedziała Harry – mogła uznać za wspaniałą rozrywkę znużone przeglądanie zmurszałych ksiąg parafialnych w poszukiwaniu martwo urodzonej kuzynki.

Lark zignorowała słowa siostry.

– Zaczęliśmy od kościoła St. Francis, bo leżał najbliżej. Nie mieliśmy szczęścia. W tym tygodniu musieliśmy wybierać między kościołem St. Anthony w Glen oraz St. Mary of the Martyrs. Przyznaję, że byłam za kościołem St. Anthony, bo podobała mi się ta pastoralna nazwa, ale...

– Ale nasza siostra postawiła na swoim i okazało się, że to właśnie był ten kościół, co trzeba.

– Dzięki Bogu. Evan, pokaż księgę.

Lord Drewe podał Kate opasły tom, który okazał się solidnie podniszczonym rejestrem parafialnym. Zdziwiło ją, że pozwolono mu zabrać ją z kościoła. No, ale w końcu to właśnie on płacił za utrzymanie pastora. Przypuszczała, że wszelkiemu żądaniu miejscowego markiza trudno było odmówić.

Otworzył księgę na zaznaczonej uprzednio stronie, odnalazł palcem odpowiednią rubrykę i przeczytał głośno:

– Katherine Adele, urodzona dwudziestego drugiego lutego w roku 1791. Ojciec, Simon Langley Gramercy. Matka, Elinor Marie.

– Katherine? – Serce Kate zaczęło gwałtownie łomotać. – Powiedział pan: Katherine?

Lark podskoczyła gwałtownie w fotelu, podniecona.

– Tak. Przejrzeliśmy księgi z kilku następnych lat. Żadnej wzmianki o śmierci. O chrzcie też nie, ale ani słowa o śmierci. Spytaliśmy pastora, czy słyszał o jakiejś Katherine w tej okolicy, która byłaby w odpowiednim wieku. Odrzekł, że nie. Powiedział jednak, że niedawno otrzymał list....

– List? – Borsuk trącił ją nosem w nogę, posadziła go więc sobie na kolanach. – Mój list?

Przez kilka ostatnich lat grywała na organach podczas niedzielnych nabożeństw w kościele pod wezwaniem św. Urszuli. Nie żądała za to zapłaty, tylko pewnej przysługi. Każdego tygodnia pan Keane pozwalał jej przez całą godzinę przeszukiwać archiwa probostwa. W jego ogromnej księdze adresowej Kościoła anglikańskiego wybrała jedną z parafii i napisała do niej list, prosząc o odnalezienie w jej rejestrach danych dotyczących wszystkich dziewczynek urodzonych między 1790 a 1792 rokiem i ochrzczonych jako Katherine, które potem nie były już wymieniane w lokalnych dokumentach. Zaczęła od parafii w pobliżu Margate i kontynuowała te poszukiwania, posuwając się coraz dalej po okolicy.

Robiła to powoli. Przez tygodnie, miesiące i lata.

Pastor podpisywał i wysyłał te listy za nią. Wyświadczył jej też inną przysługę: utrzymał wszystko w sekrecie. Wielu

mieszkańców miasteczka wyśmiałoby ją za poświęcanie tak wiele czasu i wysiłku na bezcelowe przedsięwzięcie. Byliby zdania, że równie dobrze mogłaby wkładać kartki do butelek rzuconych w morze.

Kate jednak nie potrafiła zrezygnować ze swoich zamiarów. Pokładała nadzieje w tym cotygodniowym zwyczaju. Za każdym razem, gdy poczta przynosiła jej kolejne, przygnębiające „nie” – lub, jeszcze gorzej, gdy całe miesiące mijały bez żadnej odpowiedzi, co pozwalało jej sądzić, że znowu nie odkryła niczego – słuchała głosu rozbrzmiewającego wewnątrz niej: „Bądź dzielna, moja Katie”.

A teraz...

Teraz cukierek ciotki Marmoset niemal się już rozpuścił w jej ustach i okazało się, że starsza pani miała rację. Kate poczuła na języku gęstą, cudowną słodycz.

Delektowała się nią.

– Owszem – przytaknęła Lark – to był twój list. A ja poczułam w duszy, że naszą Katherine musisz być ty. Natychmiast wyruszyliśmy i jechaliśmy przez całe popołudnie, żeby tu przybyć kilka godzin temu.

– Pokazaliśmy twojemu pastorowi to – Harry wskazała na obraz – i gdy tylko oprzytomniał po doznanym wstrząsie, powiedział nam, że panna Kate Taylor jest niezwykle podobna do osoby z tego portretu.

– Oczywiście w górnych partiach – zwróciła się Lark z dyskretnym uśmiechem do kaprała Thorne’a.

– No i właśnie byłaś to ty, moja droga. – Ciotka Marmoset poklepała Kate tym razem po kolanie. – Znaleźliśmy cię. Wszystko wskazuje, że jesteś zapewne zagubioną dawno temu córką markiza.

Te słowa niemal zwały ją z nóg, ale potem podniecenie nagle minęło. Tego było dla niej za wiele. Miała rodziców, którzy nazywali się Simon i Elinor. Znała datę swojego urodzenia. Miała drugie imię.

Jeśli to prawda. Jeśli temu wszystkiemu można było

uwierzyć!

– Ale ja nigdy nie żyłam w okolicach Kenmarsh – powiedziała. – Wychowywałam się w Margate School jako jej podopieczna i skończyłam ją ledwie cztery lata temu. Stamtąd przyjechałam tu, żeby dawać lekcje muzyki.

– A gdzie byłaś, nim się dostałaś do Margate? – spytał lord Drewe.

– Niestety nie pamiętam tego dokładnie. Chciałam spytać o szczegóły moją nauczycielkę. – O Boże, czyżby okropna wizyta u panny Paringham odbyła się tego samego popołudnia? – Powiedziała mi, że byłam podrzutkiem.

Kate spojrzała na kobietę z portretu, zapewne swoją matkę. Czy zmarła? Czy oddała niemowlę obcym, niezdolna wychować je na własną rękę? Ale czułość, z jaką trzymała dłoń na zaokrąglonym łonie, świadczyła, że kochała dziecko, które w nim spoczywało. Jakież to zdumiewające, że ona, Kate, jest na tym obrazie wewnątrz jej ciała, że porusza się w nim jako płód i...

Że jest kochana.

– Moje biedactwo – szepnęła Lark – nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak musiałaś cierpieć. Nie zdołamy już cofnąć tych lat, ale zrobimy dla ciebie, co tylko można.

– Naturalnie – przytaknął jej Drewe. – Musimy zainstalować cię w Ambervale najszybciej, jak to tylko możliwe. Kiedy wrócę wieczorem do domu, przyślę tu służącą, żeby ci się pomogła spakować.

– Nie potrzeba.

– Czy masz własną służącą?

Kate roześmiała się z zażenowaniem.

– Nie, ale rzeczy do spakowania nie będzie zbyt wiele. Myślę tylko, że może nie wypada wam zapraszać mnie do waszego domu.

Lord Drewe zdziwił się, zaskoczony.

– Ależ oczywiście, że wypada. Przecież to nasza siedziba rodzinna.

Siedziba rodzinna...

Słowa te sprawiły, że boleśnie zaparło jej dech.



– Ale... czy nie będę tam osobą kłopotliwą?

– Skądże znowu! – rzuciła Harry. – Nasz brat Bennett skutecznie odgrywa taką właśnie rolę i zazdrośnie strzeże swojego przywileju przed wszelkimi domniemanymi uzurpatorami.

– No i dlaczego miałybyś okazać się osobą kłopotliwą, moja droga? – spytała ciotka Marmoset.

– Jeśli nawet to, o czym mówicie, jest prawdą... jestem tylko nieślubną, daleką kuzynką waszej rodziny, a urodziła mnie córka dzierżawcy.

Kate czekała, jakie wrażenie wywrą na nich te słowa. Czyżby ludzie tak wysoko postawieni jak Gramercy chcieli się spoufalać z nieślubną krewną?

– Możesz się nie martwić, że wyniknie z tego jakiś skandal – powiedziała Lark. – Skandal zawsze łączy się z naszym nazwiskiem, podobnie jak spora zamożność, ale nikt z nas o to zbyt nie dba. Ciotka Marmoset od dzieciństwa wpajała nam naukę, że...

– Należy się wystrzegać korzennych cukierków – wtrąciła Harry.

– Rodzina przede wszystkim – ciągnął lord Drewe. – Może jesteśmy dziwnymi arystokratami, ale trzymamy się razem i wspieramy podczas skandali, niepowodzeń oraz rzadkich chwil triumfu. – Wskazał na rejestr parafialny. – Simon uznał swoją córkę i dał jej nazwisko. Jeśli więc jest nią pani, panno Taylor...

Dramatyczna pauza sprawiła, że powietrze w pokoju jakby zgęstniało.

– ...to nie jest pani wcale panną Taylor, tylko Katherine Adele Gramercy.

Katherine Adele Gramercy?

Akurat!

Thorne zacisnął szczęki. Nie był człowiekiem, któremu słowa przychodzą z łatwością, a ta sytuacja wymagała elokwencji. Natomiast on myślał tylko o działaniu. Miał szczerą ochotę otworzyć drzwi na oścież i wykopać tych wszystkich wygadanych arystokratów na zewnątrz. A potem porwać pannę Taylor w

ramiona i zanieść ją na górę, żeby sobie wypoczęła, jak należy, bo potrzebowała tego po kilku ostatnich godzinach. Była śmiertelnie blada.

Sam zaś chciałby położyć się tam koło niej, ale nie śmiał tego zrobić. W przeciwieństwie do tych zarozumiałych intruzów był bowiem człowiekiem powściągliwym. Słyszał o arystokratycznym potomstwie, które bywa głupawe i ma kiepskie zęby. Ta rodzina wyrażała się z kolei tak, jakby cierpiała na chorobliwy słowotok. Wszystko, co ci ludzie gadali, wyglądało na bzdury.

Nie mógł uwierzyć, że chcieli zabrać ze sobą pannę Taylor. Nie mógł uwierzyć, że ona bierze to pod uwagę. Przecież była rozsądna.

Zaraz też dała do zrozumienia, że nie wszystkiemu wierzy.

– Jesteście bardzo uprzejmi, ale obawiam się, że nie mogę opuścić Spindle Cove zbyt szybko. Mam tutaj pewne zobowiązania. Lekcje, uczniów. Doroczny jarmark odbędzie się już za tydzień, a ja jestem odpowiedzialna za muzykę i tańce podczas niego.

– Och, uwielbiam jarmarki! – Najmłodsza z zebranych znów podskoczyła na krześle.

Thorne zauważył to i uznał za irytujący nawyk.

– To dosyć skromny festyn, ale bawimy się na nim doskonale. Urządza się go głównie dla dzieci, w zrujnowanym zamku. Kapral Thorne i jego ludzie również przy tym pomagają.

Po chwili wahania panna Taylor ciągnęła:

– W każdym razie państwo zapewne chcieliby potraktować to... to... pokrewieństwo trochę bardziej formalnie przed zaproszeniem mnie. No, bo gdyby wasze przypuszczenia okazały się mylne i gdybym wcale nie była waszą kuzynką...

– A ten portret? – zaprotestowała młodsza z dam. – A rejestr parafialny? A zamię?

– Panna Taylor ma słuszość – uznał lord Drewe. – Musimy dowieść, że to nie tylko jakaś koincydencja. Wyślę ludzi, żeby zebrali wiadomości w szkole i zbadali okolicę wokół Ambervale.

Nie wątpię jednak, że dość łatwo odkryjemy powiązania między pani dzieciństwem a szkołą w Margate, jeśli przeprowadzimy dokładne poszukiwania.

Thorne wiedział, że ludzie lorda Drewe nie znajdą żadnych powiązań między rejestrem parafialnym a szkołą w Margate. Mógłby wyjaśnić im dokładnie, gdzie Kate Taylor spędziła najwcześniejsze lata życia. Przekonałaby się wtedy, jak długo ci ludzie będą obstawać przy tym, że jest ich krewną. Byłby to niesłychany skandal, a chodziłoby o krańcowe, niemoralne plugastwo.

Powiedział jednak tylko tyle:

– Panna Taylor nigdzie z państwem nie pojedzie. Wszystko, o czym tu była mowa, to tylko domysły. A my nawet nie wiemy dobrze, kim jesteście.

Panna Taylor przygryzła wargę.

– Kapralu Thorne, jestem pewna, że...

– Nie, nie – zaprotestowała ta z sióstr, która nosiła się jak mężczyzna – nasz zacny kapral ma zupełną słuszność, panno Taylor. Możemy być przecież szajką handlarzy białymi niewolnikami, krwiożerczymi ludożercami albo okultystami szukającymi dziewicy stosownej do złożenia jej w ofierze.

Thorne nie sądził, żeby Gramercy byli szajką handlarzy białymi niewolnikami czy okultystów, lecz wydawali mu się łagodnymi wariatami. A choć wiedział, sporo o dzieciństwie Kate Taylor, musiał przyznać, że nie ma pewności, czy nie są czasem jej kuzynami. Całkiem możliwe. Nie urodziła się tutaj. Zgadzało się też imię i rok urodzenia. Wszystkiego tego, łącznie z obrazem i znamieniem, nie można było łatwo odrzucić.

A jednak coś mu się tu nie podobało. Nie ufał tym ludziom ani całej tej historii. Może pomylili się co do domniemanego pokrewieństwa, a wtedy panna Taylor doznałaby upokorzenia i zapewne stała się pośmiewiskiem. Równie dobrze jednak mogli rzeczywiście być jej krewnymi i w jakiś dziwny sposób zaniedbywali jej istnienie przez ponad dwadzieścia trzy lata, pozwalając jej wieść nędzne życie w samotności i ubóstwie.

W najlepszym razie byli niedbali. W najgorszym postąpili karygodnie.

Nie ufał im, gdyby nawet chodziło o najbliższe pięć minut przyszłości panny Taylor, a co dopiero o całe jej życie.

– Ona nie pojedzie z wami – powtórzył. – Nie pozwolę jej.

– Może wyjaśni mi pan – powiedział chłodnym tonem Drewe – kim właściwie jest dla panny Taylor.

Thorne zrozumiał, jakiego wyboru ma dokonać. Było to jasne jak słońce. Albo powie głośno to, co już miał na końcu języka – słowa, o których nawet mu się wcześniej nie śniło – albo pozwoli pannie Taylor zabrać się stąd razem z rodziną Gramercy i tym samym zrzeknie się wszelkich praw do dbania o jej bezpieczeństwo i szczęście. Raz na zawsze.

Nie miał wyboru. Wypowiedział te słowa.

– Jestem jej narzeczonym – oznajmił. – Zaręczyliśmy się i wkrótce weźmiemy ślub.

Kate poruszyła się gwałtownie na krześle. Chyba się przesłyszała. Zaręczyny? Ślub?

– Gratuluję ci, moja droga. – Ciotka Marmoset uścisnęła jej rękę. – Masz tu jeszcze jeden korzenny cukierek.

– Ależ doprawdy – Kate wreszcie odzyskała mowę – ja wcale nie...

Nim zdołała głośno zaprotestować, wielka dłoń Thorne’a spoczęła na jej ramieniu i ścisnęła je mocno. Był to krótki, ale jednoznaczny sygnał.

Nie protestuj.

– Nikt nam nie wspomniał o twoich zaręczynach – powiedział lord Drewe, wodząc podejrzliwym wzrokiem od Kate do Thorne’a i z powrotem. – Ani proboszcz, ani gospodyni...

– Jeszcze nikomu o tym nie mówiliśmy – odparł Thorne. – Zaręczyliśmy się całkiem niedawno.

– A kiedy?

– Przyjęła moje oświadczenia dzisiaj, kiedyśmy wracali z Hastings. – Thorne zdjął rękę z ramienia Kate i strzepnął źdźbło słomy z jej włosów, dając jej dyskretnie do zrozumienia, że powinna się uczesać.

Kate poczerwieniała, bo jego aluzję zauważono w całym salonie. Wszyscy unieśli brwi.

Lark była rozpromieniona.

– Och, wiedziałam, że coś się między wami szykuje. No, bo dlaczego wróciłaś do domu późno, wyglądając tak... – tu zawiesiła głos i przyjrzała się zabrudzonej sukni Kate, a także jej zwichrzonym włosom – tak... naturalnie.

Nogi krzesła zaskrzypiały, gdy Kate zerwała się z niego gwałtownie.

– Kapralu Thorne, czy moglibyśmy zamienić kilka słów na osobności?

Posłała Gramercym nerwowy uśmiech na znak przeprosin.

– Co pan najlepszego zrobił? – syknęła, gdy poszedł w ślad za nią do kąta koło fortepianu. Wiedziała z doświadczenia, że mogą tam spokojnie porozmawiać i nikt ich nie usłyszy. – Ledwie pan mi powiedział, że do mnie absolutnie nic... nie czuje, a teraz usłyszałam, że jesteśmy zaręczeni!

– Czuwam nad panią.

– Czuwa pan? I śmie pan mówić, że my... że jesteśmy...

– Oni już tak wcześniej myśleli – powiedział. – Proszę mi wierzyć. Przywiozłem panią do domu w nocy, a wygląda pani, jakby się w sianie wytarzała.

– Ja...

– A potem jeszcze usłyszeli, że dałem pani szczeniaka. No to co innego mogli sobie pomyśleć?

Policzki ją paliły. Odwróciła wzrok.

– A te rumieńce też coś mówią.

Cóż mogła na nie poradzić? Zaczerwieniła się jeszcze mocniej, kiedy przypomniała sobie, z jaką śmiałością przesunął palcami po jej włosach.

– Nie ma rady – ciągnął. – Nie obejdzie się bez ślubu.

– Ależ my nie... – W ciszy, jaka potem nastąpiła, Kate złękła się, czy w jej głosie nie zabrzmiało rozczarowanie. – Oczywiście, że nie możemy. Nie mam najmniejszej ochoty wychodzić za pana. Powiem im o tym natychmiast.

– Byłby to błąd. – Jego ręce znów powędrowały ku jej ramionom, osadzając ją w miejscu. – Proszę mnie posłuchać. Nie ma pani innego wyjścia.

– Nie mam innego?

Głos się jej załamał. Była zdruzgotana, wyczerpana, dezorientowana. Przynajmniej częściowo z jego winy. Może nawet w większej części z jego winy.

Musiała mu przyznać, że się tego nie zapierał.

– Kończy się bardzo długi dzień – zaczął. – Stara nauczycielka źle panią potraktowała. Woźnica także. A potem pojawili się ci ludzie i wyjechali ze swoją bajeczką, a także

kieszeniami pełnymi słodyczy. Chce ich pani widzieć z jak najlepszej strony, bo taką już pani ma naturę. Ale ja powiadam: coś tu nie jest w porządku i z nimi, i z tą ich historyjką.

– Czemu pan tak mówi?

Po długim westchnieniu odparł:

– Coś takiego czuję.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego gniewnie.

– Czuje pan? Coś podobnego. Myślałam, że pan nie czuje niczego.

Zignorował jej uszczypliwą uwagę.

– Nie wie pani dokładnie, o co im chodzi. A oni znów nie całkiem ufają pani. To ryzykowna sytuacja, a pani nie ma opiekuna ani krewnych, którzy by dbali o pani interes. Tylko mnie. Ale ja nie mogę zadbać o panią, bo nie mam po temu żadnych praw, chyba że sam jakieś zgłoszę.

Nie miał do niej praw. Kate nie wiedziała, jak ma przyjąć te słowa. Przez całe życie nikt nawet nie próbował zgłaszać do niej żadnych praw. A tego wieczoru zdarzyło się to aż dwukrotnie.

Coś w tym wszystkim było nierealnego. Późna pora, zbieg okoliczności, całkowita obcość przyjezdnych. Nie wiedziała, komu w tej chwili może wierzyć. Po szalonym dniu, po tym, jak po południu spotkała Thorne'a, najmniej chyba mogła polegać na własnym zrozpaczonym sercu.

Potrzebowała sprzymierzeńca. Ale czy akurat jego?

– Czy pan naprawdę sądzi, że powinniśmy się zaręczyć? Pan i ja?

Zmarszczył brwi.

– Ja nie udaję, panno Taylor. Nie ma w tym żadnego oszukaństwa. Myślę o prawdziwych zaręczynach, żeby pani ofiarować prawdziwą opiekę. Ale jak tylko pani sytuacja się wyklaruje, może pani ze mnie zrezygnować.

– Zrezygnować – powtórzyła za nim.

– Zrezygnować z zaręczyn. Dama zawsze może je zerwać, a jej reputacja na tym nie ucierpi. Jeśli się okaże, że jest pani naprawdę krewną Gramercych, nikt nie będzie się spodziewać, że

mnie poślubi.

– A jeśli nie uda się dowieść mojego pokrewieństwa?

Zmarszczył czoło.

– Nawet i wtedy nikt się tego nie będzie spodziewał.

Również tak przypuszczała. Całe Spindle Cove wiedziało, że pasowali do siebie z Thorne'em akurat tak, jak ogień i woda.

– W takim razie, dlaczego pan to zrobił? – spytała, usiłując wyczytać coś z jego twardych rysów. – Czemu panu na tym zależało?

– Czemu... – Z głuchym westchnieniem puścił ją. – Mam obowiązek dbać o panią, panno Taylor. Za dwa tygodnie poproszę, żeby lord Rycliff zwolnił mnie honorowo ze służby. Gdybym oddał najbliższą przyjaciółkę jego żony pod kuratelę podejrzanym obcym ludziom, mógłby odnieść się niezyczliwie do mojej prośby.

– Ach, to już wygląda sensownie – przyznała.

No wreszcie. Twarda, pozbawiona emocji odpowiedź była czymś względnie swojskim.

– Przepraszam – powiedziała, odwracając się ku Gramercym. – Powinnam była wcześniej wspomnieć o zaręczynach. – Sięgnęła po dłoń Thorne'a, usiłując spojrzeć mu czule w oczy. – Ale one były czymś tak niespodziewanym! Nie mieliśmy nawet czasu, żeby powiedzieć o tym naszym przyjaciołom, prawda... – urwała, uświadomiwszy sobie, że nie zna nawet jego imienia.

Posłuż się jakimś czułym słówkiem, powiedziała sobie w duchu. Mój drogi, mój kochany, kochanie, najdroższy. Jakimkolwiek.

– ... mój miły? – zakończyła, uśmiechając się błogo.

Ach. Teraz błękit tych oczu przestał być lodowaty. Thorne mocniej uchwycił jej dłoń. Wyraźnie się zirytował, a ona poczuła nie wiadomo czemu ulgę. W jakiś dziwny, niespodziewany sposób sprawienie mu przykrości spowodowało, że wszystko znów zdawało się wracać do normy.

Lord Drewe stanął na środku pokoju, emanując wręcz godnością i władczym charakterem.

– Niech się więc tak stanie.



Kate poczuła nagle absolutną pewność, że cokolwiek lord Drewe powie, to naprawdę się stanie. Nawet gdyby oświadczył, że z nieba zaczną spadać korzenne cukierki.

– Panno Taylor, widzę, że przybyliśmy trochę nie w porę. Ma pani pewne zobowiązania, niedaleki jarmark i osobiste sprawy do załatwienia. No i, oczywiście, nie ma pani ochoty odjeżdżać stąd tuż po zaręczynach.

Wsparła się na ramieniu Thorne'a.

– Ależ oczywiście.

– A więc nie możemy żądać, by zaraz opuściła pani Spindle Cove.

Odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu, lord Drewe był trzeźwo myślącym człowiekiem i wszystko zrozumiał. Powróci teraz do Ambervale, będzie nadal prowadził poszukiwania i powiadomi ją o rezultacie. Może raczej na piśmie niż podczas wizyty o późnej porze.

– Ma pani wiele do roboty – ciągnął – podczas gdy my jesteśmy właściwie na wakacjach. Dlaczego jednak nie mielibyśmy ich spędzić tutaj?

Kate poczuła, że dławi ją w gardle.

– A więc... a więc państwo zamierzacie się tu zatrzymać? W Spindle Cove? W Królowej Ruby? Wszyscy?

– Czyż jest jakaś inna gospoda w miasteczku?

Pokręciła głową.

– Nie, ale ta nie przyjmuje męskich gości.

Lord Drewe wzruszył ramionami.

– Zauważyłem tawernę po drugiej stronie miejskich błoni. Z pewnością jej właściciel ma jakiś pokój do wynajęcia. Nie wymagam niczego nadzwyczajnego.

Och, oczywiście że nie. Tylko że jest markizem.

Były to nieprzewidziane komplikacje. Inną rzeczą było powiedzieć tym ludziom, że zaręczyła się z Thorne'em, a inną – mieszkać tu, w Spindle Cove, jako jego narzeczona.

O Boże. Nikt z miasteczka jej nie uwierzy.

Drewe znów zabrał głos.

– Pomówię z panią Nichols o pokojach dla pań i zaraz poślę po nasze rzeczy.

– Ależ to chyba niekonieczne – powiedziała Kate.

– Wakacje rzadko są koniecznością – odparła ciotka Marmoset. – W tym właśnie cały ich urok, kochanie.

– Nie chcę sprawiać państwu kłopotu.

– To żaden kłopot. Spindle Cove jest nadmorską miejscowością dla nietypowych dam, prawda? – Lord Drewe rozłożył ręce, wskazując na siostry i ciotkę. – Tak się składa, że mam tu ze sobą trzy nietypowe damy, a wszystkie bardzo chciałyby się rozerwać. Co zaś do mnie, zwykłem moje sprawy załatwiać korespondencyjnie. Mogę to robić wszędzie.

– Umieram z ochoty, żeby zobaczyć jarmark – oświadczyła Lark.

– Trochę morskich kąpielei świetnie mi zrobi – powiedziała ciotka Marmoset.

– Ogromnie mi odpowiada myśl o zatrzymaniu się w Spindle Cove – stwierdziła Harry, obciągając kamizelkę i wstając z fotela.

– Ames zzielenieje z zazdrości, co mnie niesłychanie cieszy.

– Jak pani zatem widzi, panno Taylor, jest to idealne wyjście. W ten sposób nie musimy odrywać pani od przyjaciół i będziemy mieć mnóstwo czasu, żeby tu pozawierać znajomości.

– Owszem, tylko że... – Kate przygryzła wargę. – To jest małe miasteczko. Czy mogę prosić, byśmy zachowali dla siebie świadomość mego możliwego pokrewieństwa? Chciałabym ograniczyć do minimum domysły i plotki... gdyby to wszystko miało spełznąć na niczym.

Mogła tylko żywić nadzieję, że co najmniej trzy dziewczyny nie podsłuchują ich teraz pod drzwiami salonu.

– Oczywiście. – Lord Drewe urwał i zastanawiał się przez chwilę. – My też szczerze nienawidzimy plotek. Wychowano nas w niechęci do poufałości, choć to smutne. A co do ludzi spoza tego pokoju... to zatrudnimy panią w charakterze nauczycielki muzyki dla Lark. Wystarczy?

Lark podeszła do niej.

– Prawdę mówiąc, mogłabym na tych lekcjach skorzystać. Jestem do niczego, jeśli chodzi o grę na fortepianie, ale może spróbowałabym sił na harfie?

Ciepły uśmiech Lark wzruszył szczerze Kate, podobnie jak aprobata Harry, budzące zaufanie słowa lorda Drewe, a także smak cukierka ciotki Marmoset na języku.

Byli rodziną i chcieli spędzić czas razem z Kate. Chcieli ją poznać. Nawet jeśli miałyby to potrwać tylko kilka dni, warto było podjąć takie ryzyko. Nawet jeśli miało się to łączyć ze znoszeniem kłopotliwego narzeczeństwa z Thorne'em. Aż za dobrze wiedziała, co on teraz czuje.

– Zgoda – powiedziała, patrząc kolejno na wszystkich Gramercych z ostrożnym uśmiechem. – Sądzę, że sprawa jest załatwiona.

Załatwiona.

Gdy położyła się później do łóżka, czuła, że nic nie jest załatwione.

Kiedy po raz ostatni w nim poprzednio spała, była sierotą i starą panną. W ciągu tego szalonego dnia okazało się, że ma czworo potencjalnych kuzynów, dostała w prezencie wielorasowego pieska i zawarła tymczasowe narzeczeństwo.

Nic nie zostało załatwione. Wręcz przeciwnie. W głowie jej wprost szumiało z podniecenia i rysujących się przed nią możliwości.

No i ten pocałunek.

Mimo wszystkiego, co się łączyło z rodziną Gramercy, nie mogła o nim zapomnieć.

Co za okropność. Była straszliwie znużona i wyczerpana. Rozpaczliwie pragnęła zasnąć, ale gdy zamykała oczy, za każdym razem czuła żar jego silnych ust na swoich.

Za każdym razem.

Gdyby tylko zdołała nie zamykać oczu podczas pocałunku, uniknęłaby zapewne skojarzeń. Ale nie. Wystarczyło je zamknąć, a wspomnienie zaraz powracało. Kiedy przymykała powieki, wargi jej nabrzmiwały, a całe ciało drżało od jakiegoś gwałtownego i

zarazem niepożądanego wrażenia. Powinna się była dać komuś pocałować kilka lat wcześniej, może wtedy to wrażenie nie byłoby tak dojmujące. Któż to dziewczyna całuje się po raz pierwszy w dwudziestym trzecim roku życia?

Nawet się jej nie podobał. Co za okropny, nieczuły człowiek.

Myśl o rodzinie – upominała siebie samą, wpatrując się w belki sufitu. – Myśl o urodzinach w lutym. O bezwstydnie obnażonej kobiecie z obrazu, z taką czułością gładzącej wypukły brzuch. Może była twoją matką.

Jeśli ma przeleżeć całą noc bezsennie, to niech właśnie te myśli nie dadzą jej usnąć. Nie pocałunek bez znaczenia, pocałunek mężczyzny, który nic do niej nie czuł, a w zaręczynach z nią widział jedynie sposób na ułatwienie sobie pewnych zamiarów.

Nie wolno jej myśleć o nim dłużej. Nie wolno.

Schwyciła poduszkę, ukryła w niej twarz i jęknęła głucho. A potem przycisnęła ją z całej siły do piersi.

*Spójrz, w ogrodzie piękne kwiatki,*

*Róże, orchidee rzadkie...*

Na wpół śpiewała, na wpół szeptała w ciemności znane sobie dobrze słowa, pozwalając, żeby melodia otulała ją wokoło niczym kołdra. Niemądra dziecinna rymowanka była jej najwcześniejszym wspomnieniem z dzieciństwa i zawsze koła jej nerwy.

*Chryzantemy krągłe z listkiem*

*Tańczą, tańczą dla was wszystkie...*

Gdy ucichła ostatnia nuta, powieki Kate zamknęły się i już więcej nie podniosły. Śniła o gorącym, gwałtownym pocałunku, który trwał całą noc.

**O**ch, panno Taylor! Miałam nadzieję, że się tu pani dziś pokaże.

Kate zamarła, stojąc w drzwiach sklepu z towarami mieszanymi.

Sally Bright, miejscowa sklepikarka i plotkarka, uniosła głowę znad książki rachunkowej i uśmiechnęła się do niej chytrze.

– Nie mogę się doczekać, żeby o wszystkim usłyszeć.

– Och, proszę nie pozwolić, żeby ta plotka obiegła całe miasteczko.

Kate sama ledwie mogła uwierzyć w rozmowę z rodziną Gramercy poprzedniego wieczoru, a jeszcze mniej miała ochoty na wyjaśnienia.

– Usłyszeć o czym?

– O pani i o kapralu Thorne. Panno Taylor, musi mi pani o tym opowiedzieć. Daruję pani cały kredyt, ale chcę znać każdy szczegół. Podobno się pani zaręczyła. – Dziewczyna z naciskiem wymówiła ostatnie słowo.

Kate przymknęła oczy. Ach, o to chodziło. Sprzedawczyni chciała usłyszeć o niej i o kapralu. Z trudem mogła widocznie w to uwierzyć.

– Mówi pani, że się zaręczyłam?

Oczami wyobraźni Sally widziała już koronkowy czepek.

Kate poprawiła ciężki koszyk na ramieniu. Pani Highwood stała w najdalszym kącie sklepu. Towarzyszyła jej najstarsza z trzech córek, Diana.

– Kto się zaręczył? – spytała starsza dama.

Pani Highwood miała już swoje lata, ale gdy ktoś wspominał o małżeństwie, odznaczała się zdumiewająco wyczulonym słuchem, godnym psa gończego. Kate znalazła się jak w potrzasku między tą matroną, niesłychanie ciekawą wszystkiego, co dotyczyło małżeństwa, a złąknioną plotek Sally.

Niech już raz będzie po wszystkim.

– Panna Taylor z kapralem Thorne – oznajmiła gorliwie Sally. – Dopiero co, wczoraj, kiedy wracali z Hastings.

– Skąd pani już o tym wie? – spytała ze zdumieniem Kate.

– Pani nowa uczennica przyszła tutaj. Lady Lark. Tak się nazywa, prawda? Zajrzała do sklepu z samego ranka, żeby kupić proszek do zębów, i powiedziała mi o wszystkim.

Pani Highwood podeszła jak najbliżej do kontuaru.

– Panna Taylor zaręczona z kapralem Thorne’em? Nie mogę uwierzyć.

– Czy to prawda, Kate? – spytała Diana. – Doprawdy, co za... niespodzianka.

Oczywiście, że to musiała być niespodzianka. Obie z Dianą były przyjaciółkami i Kate nie tylko nigdy nie powiedziała starszej pani Highwood, że podoba się jej kapral Thorne, ale wręcz napomykała, że go nie cierpi.

No, bo istotnie go nie cierpiała. Był okropny, obojętny, bez głębszych uczuć, a teraz...

– Prawda – odparła, choć w duchu zżymała się nieznośnie. – Zaręczyliśmy się.

Przecież tylko tymczasowo, upomniała siebie samą bez słów.

– Ale jak do tego doszło? – spytała Diana.

– Niespodziewanie. – Kate zrzuciła pychę z serca. –

Pojechałam do Hastings po nowe nuty i spóźniłam się na ostatni dyliżans. Na ulicy spotkałam przypadkiem kaprala, a on się zaofiarował, że odwiezie mnie do domu.

– No i co potem?

– Potem zatrzymaliśmy się za roгатką, żeby koń odpoczął... i porozmawialiśmy o tym, co było i co będzie. A kiedy późnym wieczorem wróciłam do Królowej Ruby, byliśmy już zaręczeni.

No i to wszystko było przecież prawdą.

Sally odęła wargi.

– To najmniej ciekawe opowiadanie, jakie kiedykolwiek słyszałam! Powinna nam pani zdradzić więcej. Czy ukląkł na jednym kolanie i oświadczył, że panią kocha? Czy był jakiś

pocałunek?

Kate nie wiedziała, co jej odpowiedzieć. Owszem, był pocałunek. Pierwszy pocałunek powinien być okazją do tego, żeby aż kipieć z podniecenia i zdradzić wszystkim przyjaciółkom zapierające dech szczegóły. A tymczasem ona pragnęła jedynie ukryć swoje upokorzenie.

– Proszę tylko na siebie spojrzeć – powiedziała Sally. – Jest pani czerwona jak lak do pieczęci. To musiał być bardzo solidny pocałunek. Ten mężczyzna nie jest mnichem. Będzie pani szczęśliwą panną młodą, panno Taylor. Słyszałam o różnych historiach...

Zapisała coś w księdze rachunkowej.

Pani Highwood z głośnym trzaskiem rozłożyła wachlarz i zaczęła nim gwałtownie poruszać.

– Upał jest nie do zniesienia. Słabe zdrowie Diany zmusiło nas do pobytu w tej nadmorskiej miejscowości, właśnie wtedy gdy cała Anglia świętuje zwycięstwo sił sprzymierzonych. Tkwimy tutaj skazane na to, by nie przegapić szans matrymonialnych, całkiem jakbyśmy wypatrywały statków na brzegu. A teraz słyszymy, że panna Taylor się zaręczyła!

Diana uśmiechnęła się do Kate przepraszająco.

– Mamo, chciałaś, jak sądzę, powiedzieć, że cieszymy się z tej wiadomości i życzymy Kate wszystkiego najlepszego?

– Wszystkiego najlepszego – mruknęła pani Highwood. – O tak, panna Taylor może się cieszyć, ale my? Diano, pytam cię, z czego my miałybyśmy się cieszyć? Z czego? – Ostatnie słowo wypowiedziała tak przeciągle, jakby to był lament. – Każdy, kto się liczy, jest tego lata w Londynie. Łącznie z twoją siostrą, która – przypominam ci o tym – poślubiła niedawno wicehrabiego.

– Pamiętam o tym, mamo – odparła Diana i odkaslnęła z przygnębieniem w chusteczkę. – Niestety, moje zdrowie nagle się pogorszyło.

– Jesteś dziś bardzo blada – powiedziała Kate.

Obie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Niedawne małżeństwo Minervy Highwood z lordem Payne było przyczyną

tego wykrętu. Gdyby pani Highwood postąpiła zgodnie z własnymi chęciami, zwałaby się na głowę nowożeńcom już w dniu ich przyjazdu do Londynu, żądając składania wizyt zapoznawczych i wydawania balów. Diana zaś chciała, by jej siostra spokojnie spędziła swój miesiąc miodowy, stąd nagle i tajemnicze „pogorszenie się” jej zdrowia.

– Powiadam ci – mruknęła pod nosem pani Highwood – że nawet suchoty, malaria i tyfus razem wzięte nie odwiodłyby mnie od świętowania pokoju.

– Ale chyba nie bawiłaby się pani wtedy zbyt dobrze – Kate nie potrafiła powstrzymać się od ciętej uwagi – z kaszlem, dreszczami i gorączką?

Pani Highwood spojrzała na nią ze szczerą niechęcią.

W tejże chwili Sally zamknęła gwałtownie swoją książkę rachunkową.

– Masz ci los! Panno Taylor, wszystko się rozsypie!

Tym, co miało się rozsypać, była zawartość koszyka Kate. Borsuk zaczął się w nim wiercić, skórzana pokrywka pękła z trzaskiem i pies wyskoczył na zewnątrz, po czym zaczął biegać po całym sklepie, śmigając błyskawicznie z kąta w kąt.

– Szczur, szczur! – wrzasnęła pani Highwood i z chyżością godną kobiety o dziesięć lat młodszej wskoczyła natychmiast na pobliską drabinę sklepową.

– To nie szczur, pani Highwood!

Szczeniak wcisnął się pod regały.

Kate przykucnęła, usiłując odnaleźć go pod nimi.

– Borsuk! Borsuk, wyłaź zaraz stamtąd!

– Jeszcze gorzej! – jęknęła pani Highwood. – To borsuk!

Która z młodych kobiet nosi borsuka w koszyku?! Koniec świata!

– Chyba to tylko szczeniak, mamó – odezwała się Diana i uklękła koło Kate, pomagając jej w poszukiwaniach. – Gdzież on się podział?

Kate na czworakach zajrzała pod regał. Borsuk wślizgnął się pod samą ścianę. Kate wsunęła tam z trudem rękę i usiłowała chwycić go za kark. Niestety, nie mogła psa dosięgnąć.



Diana przysunęła się do niej.

– Biedne stworzenie. Musiał się czegoś przestraszyć.

– Niech pani spróbuje zwabić go tym! – Sally podała jej kawałek solonego boczku z baryłki w magazynie. – Zanim zrobi kałużę.

Kate westchnęła głęboko, odgarniając pasmo włosów, które spadło jej na oczy. Szczeniak zrobił już dwie kałuże w jej pokoju. Jedną na podłodze, a drugą w łóżku. Nim wróciła ze śniadania, niosąc mu plasterek szynki i bułeczkę, zdążył też pogryźć rączkę jej najładniejszego wachlarza i jeden z najwygodniejszych pantofelków.

– No chodź, chodź, Borsuk! Dobry piesek – powtarzała zachęcająco. Szczeniak prychnął i trochę się do niej zbliżył, ale nie na tyle, by móc go schwytać.

Kate przypomniała sobie, jak kapral Thorne gwizdał na niego poprzedniego dnia, i spróbowała zrobić tak samo, stulając wargi. Poskutkowało! Piesek wypadł spod półek i skoczył jej prosto na kolana.

Kate podniosła się z westchnieniem ulgi. Z uśmiechem patrzyła, jak Borsuk łapczywie pożera boczek i oblizuje jej palce.

– Ale mi narobiłeś kłopotu – mruknęła. – A ja nie potrafię cię nawet zbesztać, jak należy!

Borsuk o tym dobrze wiedział. Przekrzywił na bok łepki, zmarszczył nos, pomerdał ogonem. Całkiem jakby chciał powiedzieć: „spójrz, jaki potrafię być uroczy... i zadrżij”.

– Och, cóż za nieznośne stworzenie! – westchnęła. – Właśnie z jego powodu tutaj przyszedłam. Sally, czy masz coś, z czego mogłabym zrobić smycz? W koszyku nie sposób go nosić. Albo coś, co mógłby sobie gryźć? Zeszłej nocy pozwoliłam mu potarmosić cały egzemplarz *Mądrych rad* pani Worthington.

Sally skrzyżowała ręce na piersi.

– Może mam tu gdzieś smycz. A co do tego gryzienia... – zastanawiała się przez chwilę, aż wreszcie strzeliła palcami.

– Już wiem! Może dać mu starą skórzaną protezę Finna? Ma teraz dużo lepszą.

Kate wzdrygnęła się na myśl o Borsuku gryzącym jakikolwiek ludzki członek, choćby nawet sztuczny. Co za makabryczny pomysł.

– To jest... ee... bardzo ciekawy projekt, ale zostanmy lepiej przy pani Worthington. Będzie przynajmniej z tej książki jakiś pożytek.

Pani Highwood zeszła ostrożnie z drabinki sklepowej.

– Skąd pani wzięła tego paskudnego kundla?

Kate szybko pogłaskała Borsuka.

– Kapral Thorne dostał go od jakiegoś farmera.

Sally ożywiła się raptownie.

– To jego pies?

– Teraz mój. – Zakryła szczenięciu uszy, żeby nie mógł słyszeć, jak mu uwłaczają. – Przecież jest tylko kundelkiem. Kapral wziął go, bo taką miał akurat fantazję.

Kate wiedziała, że nie ma warunków, żeby trzymać w domu psa. Mogła go jednak kochać, a tego mu było najbardziej potrzeba.

Sally pokiwała głową.

– Na pewno? Rufus mi mówił, że Thorne potrzebuje psa gończego i chce mieć właśnie takiego, specjalnie ułożonego do polowań. Ale, rzecz jasna, szczeniaki są urocze.

Kate spojrzała na tego, którego trzymała w ramionach. Czyżby miał jakąś wartość? Był tylko zabawnym, ruchliwym kłębuszkiem sierści z długimi, cienkimi łapkami, niezbyt prostymi i raczej skąpo owłosionymi.

Gdyby Thorne go cenił, na pewno by jej o tym wspomniał.

– Sally, czy się nie mylisz? To chyba nie o tego psa chodziło?

– Na świętą Urszulę! – krzyknęła pani Highwood, podbiegając do okna. – Właśnie dlatego tę miejscowość przezywają Spinster Cove, przytuliskiem starych panien! Niemądre dziewczęta, zawracacie sobie głowę kundlem, a tu idzie sobie ulicą prawdziwy dżentelmen! Wysoki, z prezencją i laseczką, która musiała sporo kosztować. A wcale nie wygląda mi na żonatego!

– Mamo – powiedziała ze śmiechem Diana – przecież nie

możesz się tego domyślić tylko z wyglądu.

– Ależ mogę. Intuicja nigdy mnie nie zawodzi.

– To lord Drewe – wyjaśniła Kate. – Przyjechał tu na wakacje z dwiema siostrami i ciotką. – Urwała dla lepszego efektu i odczekała dłuższą chwilę. – A poza tym to markiz.

– Mar... – Pani Highwood aż się zachwiała. – Nieżonaty markiz! Och, moje nerwy. Chyba zaraz zemdleję!

Członkowie straży miejskiej w Spindle Cove nie byli zbyt zaintrygowani wizytą markiza. A to, że w Królowej Ruby zainstalowało się kilka kolejnych kobiet, nie było niczym odbiegającym od normy.

Nie każdego dnia mieli jednak sposobność, żeby dokuczyć swojemu dowódcy.

– Zaręczyłeś się z panną Taylor?! – wykrzyknął Aaron Dawes, gdy tylko rano skończyła się musztra.

Thorne zignorował jego pytanie. Przekrzywił głowę na bok tak mocno, że aż zatrzeszczało mu w karku.

– Myślałem, że wybierasz się do Hastings po psa myśliwskiego, a nie po żonę – ciągnął Dawes. Kował pokiwał głową. – Ani mi w głowie nie powstało, do czego to dojdzie.

– Żadnemu z nas w głowie nie powstało – powiedział Fosbury. – Jakiś ty ją w ogóle poderwał?

– To wcale na niego nie patrzy – uznał Dawes. – On nie podrywa. On rozkazuje.

– Ale panna Taylor nic by sobie z tego nie robiła. Ma łeb na karku.

– Nie pozwoli z siebie kpić – dokończył pastor. – No i ma rozsądek.

Thorne w duchu zgadzał się z nimi. A także miała urodę, która mogła zawrócić w głowie, i takie słodkie usta, że całą noc o nich śnił i zbudził się z zeszywniałym przyrodzeniem.

– O tak, panna Taylor to bardzo miła dziewczuszka – powiedział Fosbury. Zerknął ku kapralowi z dobrodusznym zaintrygowaniem. – Ale co ona w tobie widzi?

Nic. Nie powinna niczego widzieć.

– Dość tego! – odparł. – Mamy sporo do roboty, nim damy urzędzą swój jarmark. Nie troszczcie się o mnie.

– Nie myśl, że się troszczymy o ciebie – zaczął znów Dawes. – My się troszczymy o nią. Panna Taylor ma wielu przyjaciół w Spindle Cove. Żaden z nas nie chce, żeby ją ktoś skrzywdził. Tylko tyle.

Thorne zaklął w duchu. Gdyby wszyscy ci przyjaciele panny Taylor znali całą prawdę, byłiby mu szczerze wdzięczni. On chciał ją tylko chronić przed dużo gorszym zagrożeniem. Przed rodziną Gramercy.

Po cóż się tak skwapliwie zainstalowali w Spindle Cove? A jeszcze mniej sensu było w tym, że lord Drewe we własnej osobie pragnął się tutaj zatrzymać. Thorne mógł z tego wyciągnąć tylko jeden wniosek: markiz nie chciał panny Taylor spuścić z oczu. Czemu tak się gorliwie troszczył o daleką kuzynkę i to nieślubną?

Thorne nie znał się na wyższej matematyce, ale potrafił dodać dwa do dwóch.

– Kapralu Thorne! – zawołał Rufus Bright z wieżyczki strażniczej. – Panna Taylor tu idzie!

Thorne kazał się im rozejść jednym krótkim skinieniem.

– To już wszystko na dziś. Idźcie pomóc sir Lewisowi przy katapulcie.

Burczeli trochę, ale posłuchali go. Przeszli pod sklepieniem i pomaszerowali ku cypłowi, na który sir Lewis Finch wtoczył swoją monstrualną machinę.

Mieszkańcy Spindle Cove zanosili w duchu modły, gdy tylko ten ekscentryczny staruszek brał się do cyngła, lontu lub podsypywania prochu – a w tym przypadku do średniowiecznej katapulty, służącej niszczeniu całych miast. Tylko że teraz, zamiast wyrzucać płonące kule na ufortyfikowane cele, katapulta służyła tylko do wystrzeliwania melonów w morze. Żeby uświetnić letni jarmark.

Mechanizm tej średniowiecznej broni był najwyraźniej bardziej delikatny i wrażliwy niż wewnętrzna strona kobiecych ud. Musiano dokonywać licznych prób, nim wreszcie wszystko było,

jak należy.

Donośny baryton sir Lewisa rozległ się ponad ruinami zamku.

– Gotowi? Trzy... dwa...

Potężny łomot i huk rozległ się przy słowie „jeden”, gdy członkowie straży zwolnili przeciwwagę katapulty. Wielka rzemienna pętla najpierw się wznosiła, potem gwałtownie przechylała na bok i zamierała bez ruchu, aż wreszcie posyłała pocisk ku górze, w stronę morza.

Właśnie. W stronę morza. Bo nie zawsze tam trafiał.

Sądząc z doniosłego plaśnięcia, pocisk nie mógł przelecieć więcej niż pięćdziesiąt stóp, nim roztrzaskał się, rozpryskując miąższ na skały.

– Kapralu Thorne!

– Panna Taylor?

Nadeszła nie wiadomo skąd, kiedy on myślał o czym innym. Borsuk trącał ją nosem w kostkę u nogi.

– Muszę panu coś powiedzieć. Czy możemy porozmawiać w cztery oczy?

Poprowadził ją przez resztki sklepionego przejścia i wokół niskiego murku z piaskowca do zakątka odosobnionego wprawdzie, ale nie odgradzonego. Arsenał nie był dla niej odpowiednim miejscem, ale on nie mógł jej zabrać do swojej kwatery, skoro przyszła tu sama jedna.

Bo gdyby się znalazł z nią sam na sam tuż koło łóżka... To wtedy tymczasowe narzeczeństwo przestałoby być tymczasowym.

Wystarczyło spojrzeć na nią tego ranka. Słońce nadawało jej włosom odcień cynamonu i sprawiło, że w oczach błyszcząły jej złote cętki. Gdy się wspinała w stronę cypla, widać było jej figurę w najkorzystniejszy sposób. A zniamię w kształcie podobnym do serduszka było najgorsze i najlepsze ze wszystkiego. Boleśnie mu uświadamiało, że nie była niezmiernym zjawiskiem, ale kobietą z krwi i kości, której ciepło czułby, biorąc ją w ramiona.

Karcił siebie w duchu: ona nie była dla niego. Tak samo jak te utrefione starannie loki i nowe, nieskazitelnie czyste rękawiczki,

które nadawały jej dłoniom wygląd bladej rozgwiezdy. Miała na sobie jasnobłękitną suknię z materiału, który wyglądał raczej jak delikatna pianka niż muślin. Subtelna koronka barwy kości słoniowej okalała czworokątny, głęboki dekolt. Nie powinien był wcale patrzeć na tę koronkę. A już na pewno nie należało wlepić w nią uparcie oczu.

Spojrzał jej raptownie prosto w twarz.

– Co się stało? Czego pani chce?

– Nic się nie stało, po prostu nie jestem przyzwyczajona do mieszkania ze szczeniakiem w jednym pokoju.

– Chce go pani oddać?

– Skądże. Uwielbiam go. – Poglaskała szybko pieska. – Ale jak go powstrzymać przed tarposzeniem moich rzeczy!

– Nie ma rady. Po to się urodził, żeby łapać drobną zwierzynę i rozrywać ją na strzępy.

– Ojej, mały dzikus.

Wyciągnął z kieszeni trochę schowanego tam suszonego królika. Część rzucił psu, resztę wręczył jej.

– Trzeba dawać mu to co jakiś czas. Wystarczy tego co najmniej na parę dni.

– Czy można takie mięso kupić w sklepie, kiedy mi się skończy?

– Nie wiem. Ono nie jest ze sklepu.

Spodziewał się, że spojrzy teraz na strzępki mięsa z lekkim obrzydzeniem. A jednak patrzyła na nie z taką samą łagodną czułością, jak na pieska.

– Przygotował pan to wcześniej? A więc ona miała rację. Pan sobie ceni tego psa.

– Kto miał rację?

Włożyła do kieszeni resztki królika.

– Sally Bright mi mówiła...

– Sally Bright mówi różne rzeczy.

– ...że pan chciał tego szczeniaka wyszkolić na psa gończego. I jeszcze, że szczeniaki bywają cenne. Kapralu Thorne, jeśli panu zależy na Borsuku, zwróć go. Chcę tylko wiedzieć, czy

się ktoś o niego będzie troszczył.

– Pies będzie mój i tyle.

– Czy jest coś złego w tym, że się lubi jakieś stworzenie?

Uczę muzyki, jak pan dobrze wie, a muzyka to jakby drugi język. Po ćwiczeniach nieznane zwroty stają się zrozumiałe. Niech pan powtórzy za mną, powoli: „Troszczę się o tego psa”.

Nie powiedział nic.

– Co za onieśmielająca mina – drażniła się z nim. – Założę się, że pan ją ćwiczy w lustrze. Pewnie wpatruje się pan w lustro tak groźnie, że ono później pęka.

– Niech pani będzie rozsądna i pójdzie sobie stąd.

– Niestety, nie mogę. Przyszłam tu, żeby pomówić z panem w cztery oczy, bo trzeba postawić sprawę jasno. Całe miasteczko słyszało już o pańskich zaręczynach. Wszyscy mnie pytają, jak do tego doszło, a ja nie wiem, co mam im odpowiedzieć. Czy ludzie nie pytają o to również i pana? Co im pan wtedy mówi?

Wzruszył ramionami.

– Nic.

– Oczywiście. Jak mogłam zapomnieć? Nikt się przecież nie spodziewa, żeby pan coś powiedział. Ale co innego z kobie...

Przerwał jej wrzask z drugiej strony muru.

– Gotowi? Trzy, dwa...

Rozległ się łomot.

A potem, po kilku sekundach, plusk.

– Dosypać więcej piasku do przeciwwagi! – krzyknął sir Lewis do swoich ludzi. – Już prawie się nam udało!

– Z kobietami jest inaczej – panna Taylor podjęła zdanie tam, gdzie je przerwała. – Pan tego nie rozumie. Kiedy dziewczyna się zaręcza, inne chcą wiedzieć o wszystkim. O spojrzeniach, o uściskach, o każdym wyszeptanym słowie. Nie mogę skłamać, nie ścierpiałabym tego, wolę więc, żebyśmy trzymali się prawdy. Zaręczyliśmy się wczoraj. Nasz pierwszy pocałunek nastąpił podczas powrotu z Hastings. My...

Przerwał jej w pół słowa.

– Zaraz, zaraz. To pani gada ludziom o pocałunku?

Zaczerwieniła się.

– Jak dotąd jeszcze nie. Ale myślę, że będę musiała. Nie ufają mi. Nikt nie chce uwierzyć, że się do siebie zalecaliśmy. No bo przecież nie robiliśmy tego. – Spuściła oczy. – Och, to beznadziejne. Nie powinnam się była nigdy zgodzić.

– Skoro to pani przysparza tyle kłopotu, niech pani zerwie zaręczyny.

Otworzyła szeroko oczy.

– Nie mogę tego zrobić od razu. Wzięto by mnie za osobę kapryśną, a nawet wyrachowaną. Która kobieta zaręcza się z mężczyzną jednego dnia, a następnego dnia z nim zrywa tylko dlatego, że zmieniła zdanie?

– Sporo kobiet tak robi.

– Ale ja nie jestem jedną z nich.

Thorne wiedział o tym doskonale.

– Może Gramercy naprawdę są moimi krewnymi – ciągnęła – i chcę, żeby mnie polubili i poznali taką, jaką naprawdę jestem. A ja nie jestem kobietą, która zawiera małżeństwo z rozsądku. Będę się więc czuła osobą nieuczciwą, chyba że zaczniemy trochę udawać.

Thorne zmarszczył brwi. Czy ona chciała, żeby się zachowywał jak zainteresowany nią wielbiciel? Nawykł do tego, by się kryć z uczuciem do niej. Nie był pewien, czy potrafi zachowywać się odwrotnie.

Otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, gdy spoza muru rozległ się kolejny krzyk:

– Gotowi?!

A potem nastąpiło kolejne odliczanie:

– Trzy, dwa...

Padł jeszcze jeden strzał z katapulty. Tym razem po kilku sekundach ciszy Thorne usłyszał odległy plusk wody.

– Lepiej! – zawołał sir Lewis. – Siła strzału jest w porządku, ale chybiliśmy celu. Muszę wyregulować mechanizm.

– Zróbmy tak – powiedział Thorne, gdy mężczyźni zamilkli – jak pani mówi.



– A więc, przede wszystkim, co będziemy robić po ślubie?  
Podobno wybierał się pan do Ameryki?

– Rzeczywiście. A więc pewnie pojechałaby pani ze mną.

– Do Nowego Jorku? Do Bostonu?

– Do Filadelfii, ale tylko po to, żeby się tam we wszystko zaopatrzyć. Zamierzam kupić trochę ziemi w Indianie.

– W Indianie? – Mina jej zrzędała. – To brzmi bardzo...  
prymitywnie.

Thorne przestąpił z nogi na nogę. Przez szczyby w ruinach zamku mógł dostrzec błękitnozielony połysk zatoki i wody Kanału poza nią. Najwyraźniej rozległe przestrzenie nie pociągały jej tak jak jego. A on snuł już od pewnego czasu plany o własnym kawałku ziemi. Przyłgnął do niej myślami tak mocno, że niemal czuł ją namacalnie pod palcami. Byłoby tam dużo urodzajnej gleby dobrej do uprawy, zwierzyny do polowania i łowienia w sidła, a także mnóstwo drzew do wyrębu.

Prawdziwa wolność i szansa, żeby żyć własnym życiem.

– Gdzie byśmy mieszkali? – spytała.

– Zbudowałbym dom.

– A co byłoby z moją muzyką? Nie mogę z niej tak łatwo zrezygnować. Teraz mówimy o mnie. Każdy wie, że nie zgodziłabym się wyjść za pana – ani za nikogo innego – gdybym musiała ją porzucić.

– Postarałbym się dla pani o fortepian. – Nie miał pojęcia, jak dałoby się go przewieźć w głąb lasów, ale takie kłopoty niewiele dla niego znaczyły.

– A uczennice?

Machnął niecierpliwie ręką.

– W końcu pojawiłyby się dzieci.

– Uczyłam córki książąt i lordów. A tam miałabym się zajmować dziećmi sąsiadów?

– Nie, ja miałem na myśli nasze własne. Nasze dzieci.

Uniosła brwi. Uplynęła dłuższa chwila, nim wreszcie powiedziała:

– Och.

Nie przeprosił ją za tę insynuację.

– Teraz mówimy o mnie. Wszyscy wiedzą, że nie złożyłbym pani ani innej osobie propozycji ożenku, gdyby nie miało chodzić o małżeńskie pożycie.

Zarumieniła się. Thorne ujrzał nagle oczami wyobraźni ich oboje w chacie z grubo ciosanego drewna, na wypchanym słomą sienniku i pod pikowaną kołdrą. Tylko ich gorące ciała o pizmowej woni. Osłoniłby ją przed zimnem i zgrają wilków. Usypiałby, czując zapach jej włosów.

To był obraz niemal rajski, a tym samym nieosiągalny. Rozumiał jednak, że jej wcale by się taki nie wydawał.

– A co z miłością? – spytała.

Uniósł raptownie głowę, zaskoczony.

– Z miłością?

– Czy kochałby mnie pan? A co z tymi wszystkimi dziećmi, które mielibyśmy spłodzić? Czy mam uwierzyć, że śmiałyby się pan i bawił razem z nimi, że otworzyłby pan przed nimi swoje kamienne serce?

Wpatrywał się w nią. Gdyby sądził, że może jej kiedykolwiek coś takiego dać, zrobiłby to już kilka miesięcy temu.

– Nikt nie musi myśleć, że tu chodzi o miłość.

– Ależ będą tak myśleć. A ja również chciałabym tak myśleć.

– Panno Taylor...

– To się nigdy nie uda. – Potarła czoło dłonią. – Nikt nie uwierzy, że zgodzę się porzucić przyjaciół, pracę, dom i kraj. Z jakiego powodu? Żeby przepłynąć ocean i zakopać się gdzieś w odległej chacie wśród dziczy z mężczyzną, który nie rozumie, czym jest miłość? I to jeszcze w Indianie?

Ujął ją za ramiona, zmuszając do patrzenia mu prosto w oczy.

– Nie pasujemy do siebie. Wiem o tym. Nigdy nie byłaby pani ze mną szczęśliwa. O tym także wiem. Dużo niżej stoję od pani i mogę jej dać w najlepszym razie nędzny ułamek tego, na co sobie zasłużyła. Nie trzeba mi o tym przypominać.

Spojrzała na niego łagodniej. Czowała żal.

– Przepraszam. Bardzo przepraszam. Nie powinnam była...  
– Nie trzeba przeproszać. Powiedziała pani prawdę. Mogę się tylko z tym zgodzić.

– Nie, nie. Nie pozwolę, żeby pan sądził, że ja bym... –  
Wyciągnęła ku niemu ręce.

O Boże. Wyciągnęła ku niemu ręce, a nim zdążył skulić się, cofnąć albo wbić sobie w ciało szpadę, żeby temu zapobiec, jej obleczone rękawiczką dłoń spoczęła na jego policzku. Dotknęła go, ciepła i jedwabista. Odczuł to dotknięcie całym ciałem.

Kiedy się odezwała, powiedziała spokojnie, ale stanowczo:

– Nie stoi pan wcale niżej ode mnie. Nigdy tak nie myślałam.

Owszem, stoisz niżej, przypomniał sobie w duchu, broniąc się przed przepełniającą go błogością. Nie próbuj sobie nawet wyobrażać, że leżysz na niej czy też zwijasz się w kłębek obok niej. Albo że w nią wnikasz, a ona...

Do diabła. Że też mógł w ogóle o tym myśleć. Niby wstrętny prostak. Nie zasługiwał nawet, żeby go dotykała, choćby nawet najlżej. Zrobiła to tylko z poczucia winy, żeby go przeprosić. Gdyby z tego skorzystał, byłby nikczemnikiem.

Wiedział to wszystko.

A jednak objął ją ramionami i przyciągnął do siebie.

– Żałuje pani, że uraziła moje uczucia? – mruknął.

Przytaknęła nieznacznym ruchem.

– Ja nie mam uczuć.

– Zapomniałam o tym.

Niesłychane. Zdumiała go jej naiwność. Po wszystkim, co powiedział, żałuje, że go uraziła? Tę drobną, niedużą kobietę przepełniało takie mnóstwo skrywanych uczuć, że musiała nimi obdarzać uczniów, kundle albo niezasługujących na nie prostaków. Jak mogła w ogóle żyć, kryjąc w sobie niezwykle skarby? Jak mogła w ogóle istnieć?

Czy gdyby ją pocałował tak, jak należy, i mocno objął, coś z tego żaru przeszłoby na niego?

– Poczekajcie! – doleciał ich z oddali okrzyk. – Nie teraz!

Może był to głos jego sumienia? Kate otworzyła szeroko

oczy. Wydały mu się teraz większe i piękniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Jakież mnóstwo możliwości się otwierało wraz z tymi ciemnymi źrenicami.

A potem... Jej wzrok powędrował gdzieś w górę i w bok. Usta rozchyliły się ze zdumienia.

Jakiś dziwny cień padł na jej twarz.

Cień ten był okrągły i z każdą sekundą robił się coraz większy. Całkiem jakby jakiś pocisk błyskawicznie się do nich zbliżał.

O Jezu, nie!

Thorne niejednokrotnie przeżył coś zbliżonego. W bitwach, potyczkach, podczas oblężeń. Miejsce myśli zajął w nim instynkt. Chwycił Kate z całej siły za ramiona. Coraz szybszy łomot serca dodał mu siły.

Z gardła wydarł mu się krzyk:

– Padnij!

A potem rzucił się na Kate, osłonił ją rękami i przycisnął ku ziemi.

Właśnie wtedy, gdy pocisk eksplodował.

Kate dopiero po kilku sekundach zrozumiała, co się stało. Chwilę wcześniej patrzyła z niedowierzaniem na to, co leciało prosto ku niej. Znieruchomiała ze zdumienia. To było wprost absurdalne. Jakiś dziwny, okrągły obiekt zamajaczył na tle nieba, coraz większy, coraz bliższy... i coraz zieleńszy.

Potem poczuła tylko tyle, że znalazła się na ziemi, a kapral Thorne leży na niej i obydwójce są pokryci jakąś wilgotną, lepką miazgą. Mięszem melona. Kawałki jego skóry leżały wszędzie dokoła. Wyostrzone zmysły zalała dojmująca słodycz. Najwyraźniej sir Lewisowi nie udało się należycie wyregulować mechanizmu katapuły.

Doprawdy, nie sposób było tego wytłumaczyć inaczej. Nie mogła powstrzymać śmiechu. Najpierw był cichy, lecz wkrótce cała się od niego zatrzęsała.

Thorne nie podzielił jej rozbawienia. Nie podniósł się ani nie obrócił na bok. Nadal trzymał ją w ramionach, osłaniając własnym ciałem. Wszystkie mięśnie w nim zeszywniały. Gdy poszukała wzrokiem jego oczu, spostrzegła, że patrzą gdzieś w dal, jakby tam czegoś wypatrywały. Nozdrza miał rozdęte, dyszał chrapliwie.

– Czy nic się panu nie stało?

Nie odpowiedział. Nie sądziła zresztą, by w ogóle zdolny był odpowiedzieć.

Był gdzieś daleko.

Tylko w ten sposób mogła to określić. Jego ciało leżało na niej, ciężkie jak wór ziarna. Wiedziała wprawdzie, że żyje, bo czuła bicie jego serca tuż koło swojego, ale jego umysł przebywał gdzie indziej. Na jakimś dymiącym, osmolonym przez ogień polu bitwy, gdzie okrągłe pociski spadające z przestworzy były o wiele bardziej niszczycielskie niż przejrzały melon.

Dotknęła ostrożnie jego twarzy.

– Thorne? Już wszystko dobrze. To był tylko melon! Nie

jestem ranna! A pan?

Ścisnął ją ramionami tak mocno, że aż skrzywiła się z bólu.

Z trudem wydał z siebie chrapliwy pomruk przez zaciśnięte zęby. Ten dźwięk był nieludzki, tak że zjeżyły się jej nawet drobne włoski na ramionach, jakby na znak kapitulacji, a tętno aż zadudniło w uszach. Bała się. O siebie i o niego. Leżała pod nim, słaba i bezbronna. Jeśli pomylił ją z wrogiem na swoim urojonym polu walki, mógł jej wyrzucić krzywdę.

Pogładziła go po twarzy drżącymi palcami, usiłując odgarnąć z niej włosy. Czuła się tak, jakby gładziła nowo narodzone źrebię. Włosy, gęste i miękkie jak aksamit, zalane były miąższem melona. Serce się jej ścisnęło ze wzruszenia.

– Wszystko jest w porządku. Nic się nam nie stało. To jest Rycliff Castle, Spindle Cove. – Kate usiłowała mówić cicho i spokojnie, jakby chciała uspokoić i jego, i siebie samą. – Jest pan tam, gdzie przedtem. A to tylko ja, panna Taylor. Uczę muzyki, pamięta pan? I znam pana dobrze.

Zacisnął szczęki bynajmniej nie po przyjacielsku.

Nigdy nie była bardziej świadoma brutalnej siły męskiego ciała. Gdyby chciał, mógłby rozedrzeć ją na dwoje. Tylko że zapewne na nierówne części – co było, jak uznała, jeszcze jednym powodem, by chcieć tego uniknąć. W jakiś sposób musiała jednak przypomnieć mu, że jest człowiekiem. Że jego kości, ścięgna i mięśnie mogą też działać łagodniej.

– Jestem panną Taylor – powtórzyła. – Wczoraj przyszedł mi pan z pomocą w Hastings. Przywiózł mnie pan do domu na koniu. Zatrzymaliśmy się, żeby zjeść chleb, i... i pan mnie pocałował. Na wrzosowisku, o zachodzie słońca. Próbowałam o tym zapomnieć, ale nie potrafię o niczym innym myśleć. Może pan sobie o tym przypomnieć?

Musnęła kciukiem jego usta.

Zarys ich złagodniał trochę i pod palcami poczuła słaby, drżący oddech. Uznała, że spojrział na nią nieco przytomniej.

– Tak – powiedziała, chcąc dodać mu otuchy. – Nic się nie stało. Obydwoje jesteśmy cali i zdrowi. To tylko ja.

Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Zamrugał gwałtownie, przyglądając się uważnie jej twarzy.

Wychrypiał głucho:

– Katie?

O mało się nie rozpłakała z ulgi.

– Tak, to ja.

Spojrzał półprzytomnie na miąższ melona pokrywający jej ramię.

– Jest pani ranna.

– Nie. Nie, to nie krew! Straż miejska chciała wyregulować katapultę sir Lewisa, ale zdarzył się wypadek. Spadł na pana melon, który mógł uderzyć we mnie.

Uśmiechnęła się, ale drżącymi wargami.

On też się trząsł. Cały.

Już nie znajdował się gdzieś daleko, ale też nie całkiem jeszcze stamtąd powrócił.

Przesunęła dłoń po jego włosach, rozpaczliwie usiłując zwalczyć i tę przeszkodę. Być może zdołałaby się jakoś wydostać z jego uścisku, ale nie mogła przecież zostawić go w tym mrocznym świecie bomb, krwi i niewyobrażalnej grozy, w którym wciąż jeszcze częściowo przebywał.

– Wszystko w porządku – szeptała – można tu już wrócić! – Uniosła głowę i ucałowała delikatnie kąt jego warg. – Jestem tutaj.

A potem pocałowała go drugi raz. I trzeci.

Za każdym zetknięciem się ich warg jego usta były coraz cieplejsze. Modliła się w duchu, by z jego sercem stało się podobnie.

– Proszę wrócić – szeptała. – Tu, do mnie.

I wrócił. Och, jak najbardziej wrócił.

Zaszła w nim gwałtowna zmiana, ale z kolei cały jej świat stanął na głowie.

Ponownie brakło jej tchu i ledwie sobie zdawała sprawę z tego, co się wokół niej dzieje. Wiedziała tylko, że całowała go w całkiem niewinny sposób.

Ale teraz jego język wniknął w jej usta, a ona poczuła, że

staje się jakby częścią Thorne'a i palce ma splątane z jego lepкими od melona, zmierzwionymi włosami.

Stopili się ze sobą. Tworzyli jedno ciało, a ona zdolna była tylko do jednej jedynej myśli: słodycz. Co za słodycz.

Słodki zapach melona był wszechobecny. Całowała Thorne'a zapamiętale, pragnąc, by tych pocałunków było jeszcze więcej, i niebywale szczęśliwa, że wrócił, że jest tu, a nie gdzieś daleko, na krańcach świata. Wciąż miała świadomość pierwotnej, przerażającej siły skrytej w jego ciele. Tylko że teraz nie chodziło już o przeżycie, lecz o inny, równie przemożny żywioł.

Pożądanie.

– Katie – wycharczał, przyciągając ją ku sobie. Przyłgnęła płasko do jego szerokiej piersi. Gdy ją całował, jego sprężone ciało otarło się twardo o jej sutki. Było to czymś nie do zniesienia błogim. Przeniknęło ją do głębi i kazało zapomnieć o wszystkim.

Jego nogi wślizgnęły się między jej własne, zmuszając ją, by je rozchyliła. Gdy zagłębił gwałtownie język w jej ustach i uderzał biodrami o jej biodra, poczuła, że narasta w niej jakaś zdumiewająca rozkosz. Jęknęła, pragnąc nieświadomie doznać jej jeszcze więcej.

Potem zaś Thorne nagle się pohamował, dysząc ciężko. Uniósł głowę i zaklął.

A wtedy Kate zdała sobie sprawę z tego, czego przedtem nie była w stanie dostrzec, usiłując przywrócić go do przytomności i trzymając w objęciach.

Wszyscy się na nich gapili. Sir Lewis Finch, członkowie straży miejskiej, a także... och, Boże... nawet pastor. Przybiegli tam w ślad za wystrzelonym melonem, a potem natknęli się na nich, złączonych w uścisku. Całujących się zapamiętale niczym para kochanków.

Thorne obrócił się na bok, zasłaniając ją przed ich wzrokiem. Kate najchętniej zapadłaby się pod ziemię. On jednak zwymyślał tylko mężczyzn za złe celowanie i kazał im wrócić na miejsca.

Kiedy odeszli, Borsuk wypadł z ukrycia i rzucił się na nią z wigorem, zlizując melon z jej rąk i twarzy.



Thorne wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po niewielkim zakątku.

– A niech to diabli.

Ręce wciąż mu się jeszcze nieco trzęsły. Zacisnął je w pięści.

– Wszystko z panią w porządku? Nie zrobiłem pani nic złego?

– Nie.

– Naprawdę? Chcę mieć pewność, czy nie zrobiłem pani krzywdy w jakikolwiek sposób. Bo ja...

Nie dokończył zdania.

– Nic mi nie jest. Daję słowo. Ale co z panem?

Nadal chodził w kółko i zbył jej pytanie lekceważącym machnięciem ręki. Jakby to, co się z nim działo, nie miało wcale znaczenia.

– Czy... czy działo się tak z panem już wcześniej?

– Nie jestem wariatem – odparł. – Jeśli pani to ma na myśli.

– Ależ nie. Oczywiście, że nie. To był tylko przypadek.

Żołnierz wie, co robić, gdy wokół niego lecą granaty i kule armatnie. Nikt się jednak nie spodziewa, że trafi w niego melon. Rozumiem to doskonale.

Zatrzymał się raptownie. Nie patrzył na nią.

Przymknęła oczy, zgnębiona.

– Nie powinnam była tak się wyrazić, bo w gruncie rzeczy niczego nie rozumiem. Nie umiem sobie wyobrazić, jak to jest na wojnie. – Podeszła do niego i ostrożnie położyła mu dłoń na ramieniu. – Ale gdyby pan chciał coś powiedzieć, jestem gotowa słuchać.

Spoglądał na nią przez dłuższą chwilę zimnymi, błękitnymi oczami.

– Nigdy nie będę pani tym obarczał.

– Mogłabym tego wysłuchać. Czemu nie? Przecież jestem pańską narzeczoną.

– Wciąż jeszcze?

Skinęła głową. Nie mogła zaprzeczyć, że coś się między nimi zmieniło. Obydwoje powrócili z pola bitwy, nawet jeśli nie była to

bitwa prawdziwa. Przerażliwy łomot jej serca był czymś realnym, pot na jego czole także.

Długo uważała Thorne'a za wroga, ale teraz...

Znaleźli się po tej samej stronie.

Obydwoje. Przeciw wszystkim melonom na świecie.

Kate uśmiechnęła się. Końcami palców strzepnęła pestki melona z jego rękawa.

– Musi pan przyznać, że to rozwiązuje pewien problem.

Wszyscy już teraz wierzą w nasze zaręczyny.

– Jeden problem być może to rozwiązuje, ale tworzy kilka innych.

Zrozumiała, co miał na myśli. Jej reputacja zniknęła wraz z mięszem melona. Jeśli nie znajdzie się dowód, że naprawdę jest krewną Gramercych, co pozwoliłoby jej żyć poza Spindle Cove – to zerwanie zaręczyn będzie prawie niemożliwe.

Kate odrzuciła propozycję Thorne'a, który chciał ją odprowadzić do domu, i pospiesznie wróciła do Królowej Ruby. Gdy dotarła do tylnych drzwi, popołudniowe słońce wysuszyło już plamy na jej ubraniu. Wbiegła na schody, przeskakując po dwa stopnie, i wpadła do swojego pokoju, żeby umyć się i przebrać.

Znużony Borsuk wtulił się w jej zniszczoną suknię i zwinął na niej w kłębek, a potem usnął.

Gdy uznała, że znów może się pokazać ludziom, zeszła na dół, gdzie zastała wszystkich Gramercych zebranych w saloniku. Już miała tam wejść, ale zamarła bez ruchu w drzwiach.

Och, Boże, obraz!

Wciąż jeszcze stał na gzymsie kominka. Co prawda częściowo był zakryty, tak że zasłaniało to większą część nagiego ciała. Miała nadzieję, że nikt jeszcze nie zwrócił na niego uwagi. Powinna go zabrać do swojego pokoju.

– Panna Taylor! – Lark podniosła wzrok znad książki. – Co za miła niespodzianka.

Lord Drewe, jak prawdziwy dżentelmen, wstał i złożył jej ukłon.

– Nie spodziewaliśmy się pani. Sądziliśmy, że udziela pani

lekcji muzyki w Ukwieconym Byku.

– Nie w tej chwili. Myślałam, że przyjdę i... i posiedzę tu trochę, jeśli nie będzie to państwu przeszkadzać.

– Nie mów głupstw, moja droga. – Ciotka Marmoset wskazała jej ręką miejsce na kanapie. – Przecież przyjechaliśmy tu z twojego powodu. Jakże mogłoby nam to przeszkadzać?

– Ależ niech państwo sobie nie przerywają. Proszę robić to samo, co przedtem.

Harry zaśmiała się ze swojego miejsca przy biurku. Odłożyła pióro i posypała list piaskiem.

– Tylko że my wcale nie jesteśmy czymś zajęci. Lark sobie czyta, ciotka Marmoset spokojnie siedzi, a ja właśnie skończyłam wylewać swoje żale w liście do Ames. A co do Evana... – wskazała na brata, siedzącego przy kominku – to siedzi nad swoimi bezcennymi pismami rolniczymi i próbuje udawać, że nie kłębią się w nim dzikie namiętności.

– Co takiego? – Evan spojrział na siostrę znad rozłożonej gazety. – Nic się we mnie nie kłębi.

– Ależ oczywiście, że się kłębi. Tak jak inni namiętnie piją brandy. Codziennie po trochu, tak z nawyku, i więcej niż to dla nich dobre, gdy tylko nikt nie patrzy.

Lord Drewe westchnął ze znużeniem i spojrział ku Kate.

– Czy ja wyglądam na człowieka, w którym coś się kłębi?

– Ani trochę – odparła, przyglądając się jego spokojnej minie i obojętnym zielonym oczom. – Wygląda pan na wcielenie opanowania.

– No właśnie, Harriet. Zadowolona jesteś? – spytał i znów się zagłębił w lekturze.

– Lepiej się nie dać zwieść pozorom, panno Taylor – szepnęła Lark. – Mój brat tylko wygląda na opanowanego. Już jakieś pięć razy się pojedykował.

– Pięć razy?

– Och, tak. – Oczy Lark błysnęły. Policzyła na palcach. – Zaraz. Jeden o Calistę. Wcześniej trzy o Harry...

Kate spojrzała na Harry, która miała na sobie tę samą rozciętą

spódnicę i męską kamizelkę. Wyglądała jak w stroju do konnej jazdy, tylko że... w salonie wcale nie było konia.

– O Boże, lady Harriet. Trzy?

Harry wzruszyła ramionami, po czym złożyła i zapieczętowała list.

– Miałam bardzo urozmaicony sezon.

– No i jeden o Claire – skończyła wyliczanie Lark, zaginając mały palec.

– Claire? – spytała Kate. – A kim ona jest?

Ciotka Marmoset uniosła brwi.

– My o niej nie mówimy.

– Wprost przeciwnie – odezwał się lord Drewe zza gazety. – Mówicie o niej bez przerwy. Odmawiam włączenia się w tę dyskusję.

– Bo wolisz, by się w tobie kłębiły namiętności – odparła Harry.

– Bo nieładnie jest źle mówić o zmarłych. – Ton jego głosu mówił każdemu, że lord Drewe uważa rozmowę za zakończoną. Ostry szelest gazety postawił kropkę nad „i”.

Zapadła przeraźliwa cisza.

– Och, moja droga – powiedziała Lark. – Miałam nadzieję, że uda się tego uniknąć. Harry, sądzę, że byłoby dobrze, gdybyś powiedziała pannie Taylor całą prawdę.

Prawdę?

– Jaką prawdę? – spytała Kate. Serce waliło jej jak szalone. Może Thorne ma rację, że oni coś przed nią ukrywają?

Harry odsunęła kałamarz i papier listowy.

– Prawdą jest, że... jak to bywa w arystokratycznych rodzinach, my, Gramercy, nie jesteśmy, jak by to pani mogła nazwać...

– Ludźmi cywilizowanymi – podsunęła jej ciotka Marmoset.

– Typowymi – poprawiła ją Harry. – To chyba się łączy z naszym dzieciństwem. Spędziliśmy je w całości na północy, w Rook's Fell. W ogromnym starym domostwie, gdzie było więcej pajęczyn niż zaprawy w murach. Nasz ojciec cierpiał przez całe

lata na wyniszczającą go chorobę, a nasza matka pielęgnowała go z oddaniem. Służba nie zajmowała się nami i nikt nawet nie myślał o posłaniu nas do szkoły. Nikt się też oczywiście nie spodziewał, że Evan odziedziczy tytuł; miał on przypaść w udziale tej gałęzi rodu, z której pochodził twój ojciec. Rośliśmy więc niczym dziczała winorośl w zaniedbanej winnicy, dopóki ciotka Marmoset się nami nie zajęła, a nawet i to przyszło za późno dla najstarszych z nas. Z wyjątkiem naszej drogiej Lark wszyscy staliśmy się w jakiś sposób zbakierowani.

– Zbakierowani? – powtórzyła jak echo Lark. – Harry, to zabrzmiało bardzo perwersyjnie.

– Skoro Kate ma stać się jedną z nas, powinna o tym wiedzieć. Oczywiście nie można nas uważać za to, co się nazywa „dobrym towarzystwem”. Ale jesteśmy wprost nieprzyzwoicie bogaci, wysoko postawieni i tak fascynujący, że socjeta nie może na nas kręcić nosem.

– Ale to się wkrótce zmieni – powiedział lord Drewe. – To znaczy nastawienie socjety. Zrobię wszystko, żeby Lark miała taki debiut, jak na to zasługuje. Dwa razy mi się nie udało zapewnić siostrze sukcesu. Sezon Harriet był kompletną katastrofą.

– Tylko jeśli go osądzasz wedle standardów „dobrego towarzystwa”.

– Ale przecież o to właśnie chodzi, żeby być osądzanym wedle jego standardów. A po tym twoim sezonie byliśmy nie tylko przez nie osądzeni, ale potępieni, uwięzieni, postawieni pod pręgierzem i skazani na wygnanie przez ładnych kilka lat. – Lord Drewe złożył gazetę, odłożył ją na bok i potarł nos. – A Calista nigdy nawet nie wybrała się do Londynu.

– Bo nie chciała – odparła Lark i wyjaśniła Kate – gdyż zakochała się w głównym stajennym, panu Parkerze. Żyją teraz razem w Rook’s Fell, a myśmy się stamtąd wynieśli tego lata, żeby oni mogli tam gospodarzyć. Calista zawsze uwielbiała konie i razem z Parkerem zajęli się gorliwie ich hodowlą.

Ciotka Marmoset zachichotała. Kate siła się, żeby nie pójść w jej ślady.

– Co ja takiego powiedziałam? – Lark rozejrzała się dokoła zdumiona.

– Ależ nic – uspokoiła ją Harry. – Nie zamartwiaj się tym dziecino. Jesteś tylko zacna i naiwna, nic więcej.

Lark uśmiechnęła się niepewnie do Kate.

– Teraz już wiesz. Kiedy się jest jednym z Gramercych, człowiek grzęźnie po uszy w jednym skandalu po drugim. Czy już nami gardzisz? Czy pragniesz, żebyśmy się stąd wynieśli?

– Ależ skąd. – Kate rozejrzała się po pokoju. – Jestem tak szczęśliwa, że nie potrafię tego wyrazić. Zachwyca mnie, że nie okazujecie się zaściankowi i przyzwoici, bo nigdy bym do was nie pasowała. Czuję się jak w niebie, kiedy słucham waszych rozmów, żartów i szelestu gazet. Nie macie pojęcia, jaką mi sprawia radość bycie razem z rodziną. Z jakąkolwiek rodziną.

– My nie jesteśmy „jakąkolwiek” rodziną – powiedziała Lark – my możemy być twoją rodziną.

– Jeśli tylko nas zechcesz – dodała Harry – bo nie będę cię wcale potępiać, jeśli nie będziesz chciała.

Kate rozejrzała się wokoło i spojrzała na ich pełne nadziei twarze.

– Niczego w życiu nie pragnęłam bardziej.

Gdy jednak wypowiadała te słowa, miały one lekki posmak kłamstwa. Wcześniej tego samego dnia pragnęła dotyku mężczyzny z dziką, pierwotną intensywnością. Pragnęła go bardziej niż dobrobytu, bardziej niż rodziny. Bardziej niż oddechu. Wciąż jeszcze czuła, jak domaga się go boleśnie jej ciało.

Przymknęła oczy, odpędzając niepożądane wrażenia.

– Chciałabym tylko, żeby można się w jakiś sposób upewnić co do mojego pokrewieństwa.

– Rozpocząłem już poszukiwania – odparł lord Drewe. – Poleciałem listownie, by wysłano kogoś z moich ludzi do Margate, żeby się przekonać, co można tam wykryć. Będziemy też próbowali dojść czegoś innymi drogami.

– Chyba nie można zbyt liczyć, żebyś... przypomniawszy sobie coś? – spytała Lark. – Nie chcę cię do niczego przymierzać,

ale sądziliśmy, że może po obejrzeniu portretu i pobycie wśród nas przyjdzie ci na myśl jakiś zapomniany szczegół?

– Może z czasem. Ale doprawdy moje wspomnienia są nieliczne. – Kate wpatrzyła się w przestrzeń. – Mnóstwo razy próbowałam je odtworzyć. Czułam się, jakbym szła długim mrocznym i bezkresnym korytarzem, na którego końcu tkwi moja przeszłość. Gdybym tylko zdołała otworzyć drzwi na drugim końcu korytarza, przypomniałabym sobie wszystko. Ale nigdy tam nie dotarłam. Słyszę tylko dźwięki fortepianu i pamiętam coś niebieskiego.

– Może to ten brelok? – spytała Lark i wskazała portret nad kominkiem. – Ten, który ona ma na szyi?

Kate wpatrzyła się uważnie w obraz. Zauważyła już wcześniej wisiołek, ale poprzedniego dnia, w nocnym mroku, wydawał się jej czarny. Teraz widziała, że w rzeczywistości miał głęboki błękit indygo. Zbyt ciemny jak na szafir. Może brelok zrobiono z lapis-lazuli?

Uniosła głowę, podniecona.

– Chyba to ten błękit. Zwłaszcza jeśli moja matka zawsze nosiła swój klejnot.

– Musiała tak właśnie robić – uznała Harry. – Nawet wtedy, gdy nie miała na sobie nic innego.

Kate drgnęła.

– Och, i jeszcze ta piosenka. O kwiatkach. Zaczynała się tak: „Spójrz, w ogrodzie piękne kwiatki...” Miałam ją ciągle w pamięci, ale przez cały ten czas, kiedy uczyłam muzyki, nie spotkałam nikogo, kto by ją znał. Zawsze sobie wyobrażałam, że matka mi ją śpiewała. Czy ktoś z was ją słyszał?

Wszyscy pokręcili przecząco głowami.

– Ale to, że jej nie znamy, o niczym nie świadczy – stwierdziła Lark. – Nigdy przecież nie zetknęliśmy się z twoją matką.

Kate wyznała z przygnębieniem:

– Jakie to byłoby miłe, gdyby ta piosenka mogła być brakującym ogniwem, żeby czegoś dowodziła. Ale chyba miałam

zbyt duże nadzieje.

– Nadzieje nigdy nie są zbyt duże. – Ciotka Marmoset poklepała ją po ręce. – No i, moja droga, musimy zdecydować, jak się do ciebie zwracać. Jeśli mamy być rodziną, „panna Taylor” niezbyt dobrze brzmi.

– W gruncie rzeczy to wcale nie jest moje nazwisko – przyznała Kate. – Nazwano mnie tak w Margate. Bardzo bym się cieszyła, gdybyście zwracali się do mnie „Kate”. Tak jak moje przyjaciółki.

Wprawdzie naprawdę nazywała się Katherine, ale przywykła do Kate. Po prostu Kate do niej pasowało. Katherine było imieniem zbyt wyrafinowanym i królewskim. „Kitty” przywodziło na myśl kapryśną dziewczynę. Kate brzmiało jak imię rozsądnej, bystrej młodej kobiety z mnóstwem przyjaciół.

Była Kate i tyle.

Tylko że dla kogoś zwała się niegdyś Katie.

„Bądź dzielna, moja Katie”.

A dzisiaj, gdy Thorne przygwoździł ją swoim ciałem, żeby chronić jej życie nawet za cenę własnego... nawet gdy zagrażał jej tylko źle wycelowany owoc, a nie pocisk z mózdzierza... również nazwał ją Katie. Dziwne. Bardzo dziwne.

– Czy pokażesz nam miejscowe widoki? – spytała Lark. – Wprost umieram z chęci obejrzenia tego starego zamku na urwistym cyplu.

Kate przygryzła wargę.

– Może jutro? Straż miejska odbywa tam właśnie ćwiczenia. Ale z radością pokazałabym wam wieżę kościelną.

– Poczekaj z tym na razie. – Lord Drewe odłożył gazetę, którą się zasłaniał. – Chyba przywieziono nasze rzeczy.

Kate patrzyła oniemiała, jak przed Królową Ruby zatrzymują się aż trzy pojazdy wypełnione po brzegi walizkami i kuframi. Było tam tyle różnych rzeczy, że starczyłoby ich do założenia małej kolonii.

– Dzięki Bogu – westchnęła ciotka Marmoset – że mam jeszcze moje trzy ostatnie korzenne cukierki.





Thorne miał swoje stałe nawyki.

Tego wieczoru, gdy wszyscy już poszli do siebie, powrócił do swojej samotnej kwatery w jednej z czterech wieżyczek strzelniczych zapewniających niegdyś Rycliff Castle obronę. Otrzeptał kurz z oficerskiego szynela i wyczyścił do połysku buty, żeby gotowe były na następny dzień.

Potem usiadł przy małym skromnym stoliczku, żeby zrobić w myśli przegląd wydarzeń tego dnia.

Również i to było rutyną. W piechocie służył pod pułkownikiem Bramwellem, teraz lordem generałem Rycliffem. Po każdej bitwie Rycliff siadał nad mapami i dziennikiem, aby z bolesną dokładnością odtworzyć bieg wypadków. Thorne pomagał mu przywołać w pamięci szczegóły. Wspólnie omawiali je po raz wtóry. Jaki był dokładny przebieg wypadków? W którym momencie podjęto rozstrzygające decyzje? Jakie zdobyto tereny, ilu stracono ludzi?

Najważniejszym z pytań, które sobie zadawali, było: czy istniała możliwość, by coś zrobić inaczej, uzyskać korzystniejszy wynik.

Uczciwa odpowiedź na ogół brzmiała: nie. Gdyby mogli wszystko powtórzyć, postąpiliby tak samo. Ten rytuał tłumił w nich wszelkie echo żalu czy poczucia winy. Gdyby go poniechali, echo to rozbrzmiewałoby wewnątrz nich, wzmagając się coraz bardziej, szybciej, groźniej wraz z upływem tygodni, miesięcy i lat.

Thorne znał te echa. Wystarczająco dużo z nich tłukło mu się po głowie. Nie potrzebował wcale nowych. A zatem tego wieczoru nalał sobie szklaneczkę whisky i zrobił przegląd wypadków najnowszego konfliktu.

Bitwy z melonem.

Czy mógł należycie przewidzieć niebezpieczeństwo

zagrożające pannie Taylor?

Przypuszczał, że nie. Katapulta strzelała zawsze w stronę morza, choć z różną siłą. Sir Lewis powiedział później, że nie mógłby powtórnie skierować pocisku w tym samym kierunku, nawet gdyby próbował. Był to błahy wypadek, nic więcej.

Czy jednak Thorne postąpił prawidłowo, chwytając ją w ramiona?

I tym razem nie mógł czuć się winny. Nawet gdyby miał świadomość, że pocisk jest tylko melonem, zapewne zrobiłby tak samo. Gdyby owoc był trochę mniej przejrzasty, mógł się nie rozpaść przy uderzeniu. Zostałaby wówczas poważnie ranna. Głowa wciąż go jeszcze bolała od tego ciosu.

Nie, chodziło o to, co się stało później. Właśnie wtedy popełnił błąd. Wstrząs jakby go przeniósł w jakieś inne miejsce, pełne dymu i odoru krwi. A on czołgał się na brzuchu w stronę dźwięku jej głosu. Przez całe mile, jak mu się zdawało, z otartymi kolanami i rękami. Póki nie trafił na źródło – czyste, spokojne zwierciadło wody pośród tych okropieństw, gdzie widniało odbicie jej twarzy, a nie jego. Pochylił głowę, aby się z niego napić, zaczerpnąć tego chłodnego, orzeźwiającego płynu. Ale nie tylko tego chciał. Pragnął też zanurzyć się w nim, zatopić w niej.

Ten pocałunek...

Nawet gdy wróciła mu przytomność, nie mógł się wycofać. Przynajmniej nie od razu, a trzeba było właśnie tak zrobić. Nigdy sobie tego nie daruje. Mógł ją skrzywdzić.

O Boże, ale była taka słodka.

Uniósł do ust – i wkrótce opróżnił – całą szklaneczkę whisky. Nie pomogło mu to. Nawet druga doza płynnego ognia nie zdołała usunąć z jego warg jej smaku. Pozwolił głowie opaść tak daleko w tył, że aż stuknęła o nierówną kamienną ścianę.

Taka słodka. Taka miękka w jego ramionach. Chryste, ona znalazła się pod nim, dokładnie tak ciepła i żywa, jak mu się wcześniej zdawało. Gładziła go po twarzy i włosach, szepcząc coś łagodnie. Wspomnienie to sprawiło, że poczuł w piersi ból, a w pachwinie sztywność.

Dobry Boże. Dobry Boże.

Znów sięgnął po whisky. Gdy usiłował ją przełknąć, jęknął głucho z ostrego bólu i z tego pragnienia. Nawet cała butelka whisky nie byłaby zdolna go stłumić.

Wiedział tylko, co go pohamowało.

Wobec tych dziwnych, zagadkowych Gramercych z ich obrazem ona wciąż potrzebowała jego opieki. Musiał być stale czujny. Gdyby się do niej zanadto zbliżył, ryzykował skompromitowanie jej i utracenie własnego celu, do którego dążył. A zatem nie mogło już dojść między nimi do żadnej fizycznej bliskości. Tylko do koniecznego jej minimum, jak pomoc przy wysiadaniu z powozu i tak dalej. Może byłby czasem zmuszony podać jej rękę.

Jednego był pewien.

Nie będzie więcej pocałunków. Nigdy.

Ktoś załomotał do drzwi.

– Kapralu Thorne! Kapralu Thorne, proszę wyjść!

Serce zaczęło mu gwałtownie bić. Wciągnął pospiesznie buty i wstał. Biegając ku drzwiom, zerwał z kołka szynel.

– Co się dzieje?

Otworzył na oścież drzwi i znalazł się naprzeciwko Rufusa Brighta, całego czerwonego i bez tchu.

– Musi pan zaraz zejść do miasteczka!

– Co się stało? Gdzie?

– Coś w Ukwieconym Byku. Nie umiem tego opisać. Sam pan zobaczy.

Thorne nie potrzebował więcej wyjaśnień. Puścił się biegiem. Pędził, choć sam nie wiedział, w jakim celu. Nie miał pojęcia, co zaszło. Czy się rozchorowała? Czy coś jej zagrażało? Czy Gramercy usłyszeli o incydencie z melonem i odjechali z niesmakiem, zostawiając ją osamotnioną i ze złamanym sercem?

Do diabła. Do diabła. Do diabła.

Droga z zamku do miasteczka zajmowała mu zwykle ze dwadzieścia minut. Teraz mniej, bo zbiegał po zboczu, ale było już ciemno i musiał uważać, gdzie stawia nogi.

A mimo to znalazł się na ulicach Spindle Cove ledwie po jakichś pięciu minutach. Kilka chwil później przemknął błyskawicznie przez błonia miejskie i wpadł do tawerny.

Do diabła ciężkiego! Chyba wszyscy ludzie z całego Spindle Cove zgromadzili się tam. Ujrzał mieszkańców miasteczka, straż miejską, damy z Królowej Ruby stłoczonych jak ryby w beczce. Tworzyli jeden zwarty tłum ruchliwych ciał i wszyscy mieli pootwierane gęby.

Odwracali się kolejno ku niemu, bez słowa, gdy wbiegł prosto w drzwi tawerny. Dyszał, splotywał potem i pomrukiwał złowrogo pod nosem, chcąc zrozumieć, co u licha, się tam dzieje.

– Gdzie ona jest?

Tłum zaszemrał i rozstąpił się, wypychając pannę Taylor przed siebie, jaby była ziarnem, które należy oddzielić od plew.

Spojrzał na jej ciało, a potem wpatrzył się w twarz. Była cała i zdrowa. Nie krwawiła. Oczy miała czyste, a nie czerwone od łez. Już to wystarczało, by uznał, że nigdy nie widział nic piękniejszego. Zdołał dostrzec, że głęboko wydekoltowana i dopasowana żółta suknia pozwala dokładnie ujrzeć całe jej ciało. Nie miała żadnych siniaków ani złamań czy innych uszkodzeń pod tym lśniącym jedwabiem.

– To niespodzianka – wyjaśniła. – Przyjęcie.

– Przyję... – Thorne odetchnął z trudem. – Przyjęcie?

– Tak. Przyjęcie zaręczynowe. Na naszą cześć.

Powiódł wzrokiem po zatłoczonej tawernie. To mogło się zacząć jako przyjęcie, a skończyć jako czyjś pogrzeb.

– Czy to nie był miły pomysł? – spytała z wymuszonym uśmiechem. – Urządzili je pańscy ludzie.

– Och, oni?

Thorne spojrzał ku kontuarowi, gdzie jego podkomendni stali w nierównym szeregu, nieporządnie. Wydymali wargi jak trębacze, usiłując zdusić głośny śmiech.

Chętnie by ich wszystkich wymordował. Jednego po drugim. Niestety, zostawił pistolet w zamku. Ale za to miał tutaj pod dostatkiem noży.

Podeszła kilka kroków bliżej. Wraz z każdym gwałtownym oddechem docierał teraz do niego przyprawiający go o zawrót głowy zapach cytryny i koniczyny. Pod pewnymi względami uspokajał on Thorne'a, ale pod innymi burzył w nim krew.

– To był mój pomysł – szepnęła ze spuszczonej oczami. – Widzę, że się pan przeląkł. Strasznie mi przykro.

– Nie przeląkłem się – uciał.

Gotów był tylko stanąć do walki. A ona powinna była dać sobie spokój z tym pełnym żalu spojrzeniem, bo miał szczerą chęć wybić pięścią dziurę w ścianie.

Fosbury, gospodarz tawerny i cukiernik, wyszedł z kuchni w haftowanym fartuchu, dźwigając wielką tacę.

– No dalej, kapralu Thorne. Nawet pan musi raz coś świętować. Spójrz pan, jakie ciasto zrobiłem.

Thorne spojrzał na nie.

Miało kształt melona i przybrane było zielonymi lodami. Widniały na nim napisy – zapewne jakieś życzenia – ale jego zanadto rozpierała wściekłość i zmęczenie, żeby je odczytać. Ta ostatnia zniewaga ubliżająca jego dumie dopełniła miary i sprawiła, że zrobiło mu się czerwono przed oczami.

– Mucha na nim siedzi – powiedział.

Fosbury cały się zjeżył.

– Gdzież tam.

– Siedzi. Proszę lepiej popatrzeć. Na samym środku.

Fosbury nachylił się i spojrzał.

A wtedy Thorne złapał go za włosy i przygniół mu głowę, wpychając ją prosto w warstwę lodów. Fosbury poderwał się natychmiast, mrugając i wypluwając zieloną słodką pianę.

– A co, widzisz ją teraz? – spytał Thorne.

Gęsty sopel lodów skapnął Fosbury'emu z czoła i pacnął z donośnym plaśnięciem na podłogę. Cała sala zamarła bez słowa.

Wszyscy patrzyli na niego ze strachem, a ich przerażone spojrzenia zdawały się mówić: „Co cię napadło? Przecież jesteśmy twoimi sąsiadami i przyjaciółmi. Czy nie wiesz, jak się trzeba bawić na przyjęciu?”

Nie wiedział.

Nikt mu nigdy nie urządził przyjęcia przez całe jego życie. A sposób, w jaki się na niego gapili, mówił wyraźnie, że nikt się więcej nie ośmieli tego zrobić.

Potem zaś wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pierwsza zaśmiała się melodyjnie panna Taylor, po niej coraz głośniej inni, aż wreszcie przerodziło się to w istną kaskadę rechotu.

Ona się śmiała. Do niego. Śmiała się z tego głupiego ciasta, z pokrytej zieloną mazią twarzy Fosbury'ego. Salwy melodyjnego, serdecznego śmiechu odbiły się echem od belek sufitu, a potem zatrzęsły jego własną piersią.

Nim serce Thorne'a zdołało uchwycić ich rytm, wszyscy się już zaśmiewali. Nawet Fosbury. Nastrój zmienił się z groźnego w roziskrzony jak tęcza, iryzujący niby morskie muszle. Przyjęcie znów było przyjęciem.

Do licha. Gdyby miał w sobie dość miłości, gdyby mógł dać jej to, czego potrzebowała – zabrałby ją stąd i zachował na zawsze przy sobie. Żeby się z nim przekomarzała, żeby śmiała się radośnie, podczas gdy on trzymałby swoich przyjaciół w strachu. Żeby niemal poczuł się człowiekiem. W każdym calu człowiekiem.

Niemal człowiekiem.

– Na litość boską – powiedziała, wciąż się śmiejąc spoza dłoni, którą zasłoniła usta – ktoś powinien temu nieszczęśnikowi dać serwetkę.

Jedna z posługaczek, chichocząc, zerwała serwetkę z kontuaru, a panna Taylor wzięła od Fosbury'ego ciasto, żeby mógł sobie wytrzeć twarz do czysta.

Wetknęła palec w lody, a gdy go oblizywała, spostrzegła, że Thorne na nią patrzy.

– Wspaniale! – Wyciągnęła przed siebie tacę. – Czy ktoś chce spróbować?

O Boże w niebiesiech. Żaden mężczyzna by się temu nie oparł. Ostatecznie musiał znieść tak wiele.

Sięgnął – nie, nie po ciasto, ale po jej nadgarstek. Gdy

spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, on również zanurzył jej palec w lodach, a potem wsadził go sobie do ust.

Lizał tę gęstą, słodką masę, a potem jeszcze słodszy rzecz, którą był koniuszek jej palca. Przesuwał po nim językiem w górę, w dół i dookoła niego. Tak samo postąpiłby z jej sutkiem, a także z tym skrytym miejscem między jej nogami.

Odetchnęła krótko i gwałtownie, a on wyobraził sobie, że zrobiła to z satysfakcji.

Gdyby należała do niego, postarałby się, aby wydawała ten dźwięk każdej nocy.

Puścił jej dłoń i oznajmił:

– Naprawdę wspaniale.

Cały zgromadzony tłum wydał gardłowy okrzyk radości.

Spojrzała na niego karcąco. Policzki miała tak czerwone, jak jego mundur.

Wzruszył ramionami, nie mając zamiaru przeproszać.

– To nasze przyjęcie zaręczynowe. Trzeba ludziom pokazać, co tu przyszli oglądać.

Jakiś czas później Kate siedziała przy narożnym stoliku z Thorne'em i trojgiem Gramercych. Napoczęte porcje ciasta stały przed każdym z nakryć.

Trudno się jej było spodziewać rozmowy – nie tylko dlatego, że w tawernie zrobiło się jeszcze głośniejsze po dwóch kolejnych toastach, ale dlatego, że jej myśli zaprzętał całkowicie czyjś język.

Jego język.

Zapoznała się z nim dzisiaj gruntownie. Był giętki, zuchwały i miał zwyczaj zatrzymywać się na tych miejscach jej ciała, gdzie go wcale nie oczekiwała. Dawał jej też zaznać aż za wiele przyjemności, gdy nie używał go do prawienia jej przykrych słów.

Teraz jednak był zapewne znużony tym, co robił w ciągu całego dnia, bo wcale się nim nie posługiwał. Siedział przy stoliku co najmniej od pół godziny i nie powiedział jeszcze ani słowa.

– Dlaczego nie mówiłaś nam o tym, jak się z kapralem Thorne'em poznali? – spytała ciotka Marmoset.

Kate spojrzała na niego nerwowo.



– Och, to nudna historia.

Harry uniosła kieliszek.

– Nic nie może być nudniejsze od zarządzania majątkiem ziemskim i uprawy roli, a o tym zawsze słyszymy od Evana.

Kate pod blatem stolika splotła kurczowo ręce na kolanach. Nie potrafiła zmyślić ładnej historyjki o zalotach. Nie chciała Gramercym kłamać w żywe oczy, a posępny nastrój Thorne'a mógł zniweczyć wszelką romantyczną idyllę, jaką zdołałaby wykoncypować.

– To się stało przed jakimś rokiem – powiedziała. – Dawno temu. Doprawdy, nie mogę sobie nawet przypomnieć, gdzie i kiedy po raz pierwszy...

– To było tutaj.

Te słowa wymówił Thorne. Milcząca wyrocznia przemówiła. Wszystkich tak to zaskoczyło, że aż zagrzechotała zastawa na stoliku.

Jeszcze bardziej zdumiewające okazało się to, że Thorne najwyraźniej miał zamiar dalej mówić.

– Przyjechałem tu z lordem Rycliff zeszłego lata, żeby pomóc przy formowaniu straży miejskiej. Pierwszego dnia poszliśmy do tej herbaciarni.

Lord Drewe rozejrzył się wokoło.

– Myślałem, że to tawerna.

– Przedtem była herbaciarnią – wyjaśniła Kate. – Nazywała się Pąsowy Bratek. Ale od zeszłego lata zmieniła nazwę na Ukwiecony Byk. Częściowo jest herbaciarnią, a częściowo tawerną.

– Niechże pan mówi dalej – ponagliła go ciotka Marmoset. – Wszedł pan do herbaciarni i...

– ...i była to sobota. Wszystkie damy zebrały się tutaj na swoim cotygodniowym salonie.

– Och – powiedziała żywo Lark – już widzę, do czego pan zmierza. Panna Taylor grała na fortepianie, prawda? Albo na harfie.

– Śpiewała.

– A więc ona też i śpiewa? – Drewe spojrzał ku Kate. – Musimy ją usłyszeć.

– Rzadko się to zdarzało – ciągnął Thorne. – Bo częściej towarzyszyła na fortepianie którejś z uczennic. Ale tamtego dnia śpiewała.

Lark, rozmarzona, wsparła podbródek na dłoni.

– No i od razu, w jednej chwili, zrobił na panu wrażenie jej niebiański głosik i niebanalna, eteryczna uroda?

Kate aż się skrzyła z zażenowania. Niebiański głosik? Lark stanowczo przesadziła. Z pewnością Thorne zaraz temu zaprzeczy.

Ale on mruknął tylko:

– Mniej więcej.

– Jakież to romantyczne! – westchnęła Lark.

Ze wszystkich słów, jakie można było skojarzyć z Thorne'em, „romantyczne”, zdaniem Kate, najmniej tu pasowało. Prawie tak samo, jak „rozmowny”, „urokliwy” czy „chłopięcy”. Musiała jednak przyznać, że udało mu się sprawić, by brzmiało ono wcale przekonująco, bez uciekania się do kłamstw. Pewnie się martwił, że zaprzeczyła prawdzie, gdy zaczęła się wahać i zająkiwać.

– A co miała na sobie?

Pytanie zadał lord Drewe. Pobrzmiwała w nim ironia, a nie życzliwa ciekawość. Jakby nie dowierzał temu, że Thorne mówił prawdę.

– Lordzie Drewe, to było dawno temu – wtrąciła się Kate, usiłując skierować rozmowę na inny tor. I tak miała prawdziwe szczęście, że jak dotąd nie doszło do jakiejś gafy. – Nawet ja nie pamiętam, jak byłam wtedy ubrana.

– Na białe. – Thorne spojrzał ku lordowi Drewe poprzez stół. – W suknię z białego muślinu. Na tym nosiła szal indyjski wyszywany w pawie. A we włosach miała niebieskie wstążki.

– Czy to prawda? – spytała ją Lark.

– Jeśli... jeśli kapral Thorne tak mówi, to pewnie ma rację.

Kate usiłowała ukryć zdumienie. Pamiętała ten szal.

Pożyczyła go jej pani Lange. Był to prezent od męża, z którym się

pogniewała, i dlatego pozwoliła go Kate nosić przez całe lato. Kate nigdy jednak nie przypuszczała, że Thorne go zapamięta. A jeszcze mniej, że będzie też pamiętał o dopasowanych do koloru pawie wstążkach w jej włosach.

Spojrzała na niego ukradkiem, gdy kelnerka zbierała puste kieliszki. Czy rzeczywiście zrobiła na nim „niesłychane wrażenie”, jak się wyraziła Lark?

– A zatem wpadłaś mu w oko właśnie tu, w herbaciarni – rzekła dramatycznym tonem Lark – i od razu zrozumiał, że musi cię zdobyć?

Kate zaczerwieniła się, zażenowana.

– Ależ skąd.

– Nic nie wiesz o mężczyznach, ty naiwne stworzenie – powiedziała Harry. – Przecież to było cały rok temu. A kapral Thorne jest człowiekiem czynu. Gdyby wbił sobie do głowy, że cię zdobędzie, zrobiłby to już dawno.

– Ależ on wcale mnie nie lubił – stwierdziła Kate. – Przynajmniej na początku. Może wchodziło tu w grę jakieś powierzchowne zainteresowanie, ale bez żadnego uczucia. – Spojrzała na Thorne’a znad swego kieliszka z winem. – On nic nie czuł względem mnie.

– Och, nie wierzę. – Ciotka Marmoset rozwinęła z papierka kolejny korzenny cukierek. – Myślę, że podobałaś mu się aż za bardzo. Tylko że postanowił trzymać się od ciebie z dala.

Kate znów spojrzała na Thorne’a i stwierdziła, że się w nią wpatruje uważnie, z denerwującą intensywnością.

– No i co? – spytała go Lark. – Czy moja ciotka ma słuszność?

Kate zadała mu to samo pytanie, ale bez żadnych słów.

Nie wiedziała, jaka odpowiedź tkwi w tych jego zimnych, niebieskich oczach, ale czuła, że wiele się w nich kryje. Jak na mężczyznę, który twierdził, że nie czuje niczego, to „nic” sięgało bardzo głęboko.

– Panno Taylor, czy chce pani zatrzymać naszych nowych przyjaciół wyłącznie dla siebie?

Kate ocknęła się raptownie. Za nią stała pani Highwood, a koło niej Diana i Charlotte.

– Przedstaw nas, moja droga. – Pani Highwood uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

– Ależ naturalnie. – Kate wstała. Mężczyźni siedzący przy stoliku zrobili tak samo. – Lordzie Drewe, lady Harriet, lady Lark, ciotko Marmoset, czy mogę wam przedstawić panią Highwood z córkami, Dianą i Charlotte?

– Mam także trzecią córkę – oznajmiła wyniośle pani Highwood – ale ona niedawno wyszła za mąż. Za wicehrabiego Payne’a z Northumberland.

Po czym odwróciła się i niezbyt zręcznie zatrzepotała wachlarzem.

– Moje gratulacje. – Lark uśmiechnęła się i do matrony, i do córek. – Wprawdzie widzieliśmy się już z panią w pensjonacie, ale cóż to za przyjemność, gdy się komuś zostaje przedstawionym wedle wszelkich reguł!

– Oczywiście – odparła pani Highwood. – To prawdziwy zaszczyt gościć tak znaczną rodzinę w Spindle Cove. Tego lata wprost tęskniliśmy tutaj za kimś z dobrego towarzystwa.

Po czym ponownie odwróciła się i znów zatrzepotała wachlarzem.

– Czy pani odgania osę? – spytała ciotka Marmoset.

– Och, skądże! – Pani Highwood spojrzała z niepokojem w kąt sali. – Nie ma tu żadnej osy. Pozwolą panie, że się na chwilę oddalę?

Na oczach Kate i wszystkich Gramercych odwróciła się jeszcze raz, odeszła o dwa kroki dalej i machnęła wachlarzem z taką energią, że uderzyła nim jakiegoś niepodejrzewającego niczego mężczyznę w tył głowy.

– Muzyka! – niemal krzyknęła. – Proszę grać!

Urażony mężczyzna potarł kark, ale wyciągnął zaraz skrzypce i zagrał niepewnie kilka pierwszych taktów tańca. W całej tawernie goście wstali od stołów i zaczęli odsuwać krzesła.

– Proszę tylko spojrzeć – powiedziała pani Highwood,

odwracając się raz jeszcze w stronę Gramercych z niewinnym uśmiechem. – Zaczynają się tańce. Co za miła niespodzianka.

Zmieszana Kate pokiwała głową. Najwyraźniej ta kobieta robiła, co tylko mogła, by jej najstarsza córka zatańczyła z lordem Drewe. Tylko że nie był to dobry pomysł. Kiedy Diana po raz ostatni tańczyła w tejże tawernie, dostała ataku duszności, i to bardzo poważnego.

– Lordzie Drewe, mam nadzieję, że wyświadczy nam pan ten zaszczyt – powiedziała pani Highwood. – W Spindle Cove nie ma wielu odpowiednich partnerów. – Po czym szturchnęła łokciem Dianę, dając jej znak, żeby wysunęła się naprzód. – Ehm...

Kate niemal wpadła w panikę. Nie wiedziała, jak zapobiec tańcom. Lord Drewe, mimo że nie był wcale zainteresowany Dianą, nie zrobiłby jej afrontu, jakim byłaby odmowa. A Diana z kolei, zbyt nieśmiała, nie sprzeciwiłaby się towarzyszącej jej matce.

Kate spojrzała błagalnie na Thorne'a. Musiał przecież rozumieć, na co się zanosi. Nie był zaś człowiekiem, którego etykieta powstrzymałaby od działania.

Wstał i podniesionym głosem zwrócił się do skrzypka:

– Żadnych tańców! Nie tego wieczoru!

Dźwięki muzyki zamarły szybko i jękliwie. Ludzie w całej sali zaczęli sarkać. Kolejny raz Thorne sam jeden zdołał zakłócić świąteczny nastrój.

Jedynie Kate знаła prawdziwy powód. Nie była nim opryskliwość ani też brak empatii. Wręcz przeciwnie. Postąpił zgodnie z dobrocią skrytą w nim głęboko. Nie miał jednak dobrych manier, które łagodziłyby jego postępowanie. Wybuchał co jakiś czas niczym wulkan, przerażając wszystkich naokoło. Obojętne, czy chodziło o sąsiadów, którym nie pozwolił na tańce, czy też niezamężne panny całowane na wrzosowisku.

Pamiętał, jakiego koloru miała wstążki we włosach pierwszego dnia, kiedy się spotkali. A ona przez cały czas nie potrafiła dostrzec jego prawdziwej natury.

– Oczywiście, że nie może być żadnych tańców –

powiedziała z uśmiechem Diana, odzyskując spokój. – Jak mogliśmy w ogóle pomyśleć o tym, skoro nie wypiliśmy jeszcze za zdrowie szczęśliwej pary?

– Prawda! – poświadczył ktoś z zebranych. – Musimy wznieść za nich toast!

– Powiem tu coś, jakem gospodarz. – Fosbury sięgnął do tyłu po kieliszek stojący na kontuarze. – Nie myślę, żebym mówił coś niewłaściwego, ale te zaręczyny zaskoczyły każdego w Spindle Cove.

Kate spojrzała na lorda Drewe z niepokojem. Czy podejrzewał, że coś tu nie jest w porządku?

A Fosbury tymczasem ciągnął:

– Przez cały rok patrzyliśmy, jak tych dwoje wadzi się przy każdej sposobności. Dowiedziałem się też z pewnego źródła, że panna Taylor ma kaprala Thorne'a za człowieka bez serca i zakuty łeb!

Przez tłum przetoczyła się fala śmiechu.

– No, a zważywszy takie niedostatki – tu oberzysta wskazał ręką, w której trzymał kieliszek, na Thorne'a – kto by pomyślał, że kapral dokona równie mądrego wyboru? – Fosbury uśmiechnął się do Kate. – My cię tu ogromnie lubimy, moja miła. Myślę, że powiem za całą naszą straż miejską: nie dalibyśmy ci wyjść za kogoś gorszego od ciebie. Albo kto gorzej niż on potrafi nas na służbie musztrować!

– Brawo, brawo!

Wszyscy huknęli śmiechem i wychylili kieliszki, a ta powszechna życzliwość sprawiła, że Kate ścisnęło w gardle. Co innego spowodowało, że ścisnęło się jej też serce.

Fosbury miał słuszność. Przez cały rok, otwarcie albo za plecami, urągała Thorne'owi, podczas gdy on co najwyżej ją ignorował. Dopiero dzisiejszego wieczoru pojęła, że z jego strony były to jedynie niezręczne próby, by się okazać człowiekiem rycerskim.

Znajdowała się wśród przyjaciół – i być może też krewnych – którzy sądzili, że ona go kocha. Że zaręczyła się z nim, bo chce

za niego wyjść. A tymczasem ona go w gruncie rzeczy źle traktowała.

Powiedziała, że nie ma w nim uczuć, nie można więc ich urazić, ale przecież nikt nie może być ich zupełnie pozbawiony. A jeśli pod jego szorstkimi manierami kryje się dobroć?

Spojrzała znowu na niego: skrzyżował ręce na piersi, rysy miał jak wyciosane z kamienia, spojrzenie lodowate. Jakby zakuty był w zbroję.

Nie zdradzi dobrowolnie żadnych sekretów. Jeśli naprawdę chciała poznać, co się w nim kryje, musi sprawić, by ta zbroja pękła. Ryzykowny zamiar. Rozumna, bystra dziewczyna – czyli Kate – winna się przed nim cofnąć.

Ale ona nie była w jego oczach Kate, tylko Katie. Katie zaś miała w sobie odwagę. Nawet mimo lęku.

„Bądź dzielna, moja Katie”.

Tak. Będzie jej teraz trzeba dzielności.

Muszę powiedzieć, że czuję się rozczarowana. On nie ma fallusa.

– Co takiego?! – Kate roześmiała się głośno.

Gdy dotarły na miejsce pikniku, Harry, z rękami na biodrach i cygarem w zębach, zaczęła przyglądać się wielkiemu zielonemu zboczcu poza pastwiskami.

– Wcale nie ma fallusa – stwierdziła, wypuszczając obłoczek dymu. – A spodziewałam się czego innego, zważywszy że nazywają go Długim Chłopem.

Kate i Lark wymieniły rozbawione spojrzenia, po czym zaczęły przypatrywać się gigantycznej postaci męskiej wyrytej na stoku kredowego wzgórza. Archaiczny ryt dominował nad całym zboczem, a jego białe kontury odcinały się ostro od zieleni.

– Ames i ja wybrałyśmy się kiedyś, żeby obejrzeć ryty z Cerne Abbeas w Dorset – ciągnęła Harry. – Gigant wyryty na tamtejszym zboczcu jest po prostu wspaniale pogański. Ma okropny grymas na twarzy i wymachuje ogromną pałą, którą trzyma w ręce. Nie mówiąc już o tym, że ma też wręcz monumentalną erekcję.

Lord Drewe zmarszczył brwi.

– Doprawdy, Harriet, dość już o fallusach. Nie uważam, byście obie z Ames powinny tak się nimi interesować.

Harry posłała bratu wiele mówiące spojrzenie.

– Ależ oceniam je tylko z artystycznego punktu widzenia. – Wskazała gestem na ryt. – Ten na przykład został ledwie naszkicowany. Twarz nie ma żadnego wyrazu. Jest raczej sztywny i statyczny, prawda? Ograniczony właściwie do konturu, jakby zamknięty w tych dwóch liniach.

– Wyglądają całkiem jak sztywne pały – podsunęła jej Kate. – Może brak mu monumentalnej erekcji, ale za to ma aż dwie imponujące pały.

Harry wyjęła z ust cygaro i spojrzała na nią zdumiona.



– Ależ... panno Taylor!

Kate przez chwilę ogarnęła czarna rozpacz. Dlaczego łamie wszelkie reguły i wyraża się tak dwuznacznie? Gramercy byli arystokratami. Ona – w najlepszym razie ich ubogą krewną, a w najgorszym kimś całkowicie obcym. Harry może sobie pozwalać na skandaliczne żarty, ale to nie znaczy, że Kate wolno było robić to samo.

Harry zwróciła się do brata:

– Lubię ją. Może zostać z nami.

– Zostanie, obojętne, czy ją lubisz, czy nie.

– Pewnie tak – odparła Harry. – Gdyby grzeczne słowa miały decydować o przynależności do rodziny, to Bennett powinien był się znaleźć na permanentnym wygnaniu już całe lata wcześniej.

Kate odetchnęła z ulgą. Wciąż ją jeszcze zdumiewało, że może być członkiem tej rodziny. Tych zwariowanych, nierozsądnych, ekscentrycznych, pełnych twórczej fantazji osób. Oni ją... lubili!

Ale czy Thorne by do nich pasował? Te pogańskie figury wyryte na odległym zboczcu brałyby żywszy udział w rozmowie niż on.

Oddalił się od nich pod pretekstem, by Borsuk mógł się wybiegać na wrzosowisku. Gdy Kate przyjrzała mu się uważniej, uznała, że Thorne tresuje psa. Nie mogła jednak zrozumieć, na czym tresura polega, bo przysiadł za każdym razem, gdy tylko chciał pochwalić lub upomnieć pupila, i zasłaniał go jej wtedy swoimi udami.

Ale nie tylko fizyczna krzepa Thorne'a przyciągała jej uwagę. Jego charakter również był solidny. Od dawna wiedziała, że jest surowy i mrukliwy, ale od czasu ich przyjęcia zaręczynowego zaczęła dostrzegać zalety maskowane małomównością. Cierpliwość, wytrwałość, wiara w siebie, stanowczość. Cechy te nie domagały się uznania, tylko po prostu... istniały, czekając, aż zostaną zauważone.

Przez kilka ostatnich dni zauważanie ich stało się jej ulubionym zajęciem. A im częściej je zauważała, tym bardziej

pragnęła wiedzieć o nim więcej.

– Świetnie, to znakomite miejsce na piknik – powiedziała ciotka Marmoset, dołączając do nich. – Uwielbiam widok dobrze zbudowanego mężczyzny.

– Nazywają go Długim Chłopem z Wilmington. – Lark zapisała coś w swoim dzienniku.

– Dziwne. Miałam wrażenie, że on się nazywa kapral Thorne. – Ciotka Marmoset zbliżyła się i włożyła rękę do kieszeni Kate. – Moja droga, trzymaj się go. Mocno, rękami i nogami.

Kate zaczerwieniła się.

– Nie wiem, co ciotka ma na myśli.

– Wiesz, wiesz. Obie mamy podobny gust.

Stara dama cofnęła rękę, a kieszeń Kate zrobiła się dziwnie ciężka. Zapewne od korzennych cukierków.

– Pamiętaj, co ci mówiłam – szepnęła ciotka Marmoset. – Strasznie ostre. Ale po jakimś czasie poczujesz słodycz.

Kate nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

– Zaczynam cię uwielbiać, ciociu Marmoset. Nawet jeśli nie jesteś moją prawdziwą ciotką.

Przez ostatnie kilka dni nauczyła się powoli rozeznawać w rodzinnych powiązaniach Gramercych. Choć Harry pewnego dnia mówiła o tym żartem, Kate zaczęła sobie po cichu tworzyć obraz ich drzewa genealogicznego. Ciotka Marmoset była siostrą matki Evana i zamieszkała przy Gramercych, gdy ich ojciec się rozchorował. Tym samym stara dama nie należała do rodziny, nie mogła więc być jej krewną. Nie zmniejszało to jednak starań ciotki, by traktować Kate serdecznie i życzliwie, a także dawać jej mnóstwo korzennych cukierków.

Wszyscy Gramercy łatwo włączyli się w życie Spindle Cove. Drewe słusznie zauważył, że miasteczko jest przytuliskiem niekonwencjonalnych kobiet – a Harry, Lark i ciotkę Marmoset z pewnością można było zaliczyć do tej kategorii. Z satysfakcją zaczęły robić to samo, co miejscowe damy: spacerowały po okolicy, kąpały się w morzu i sporządzały dekoracje z okazji jarmarku.

Dziś jednak rodzina zdecydowała się na wycieczkę – nie tylko po to, by Harry mogła zaspokoić swoją ciekawość co do Długiego Chłopa, ale żeby przez jakiś czas mogli być sami. W miasteczku zawsze istniało ryzyko wygadania się z czymś. Tutaj mogli rozmawiać swobodnie.

Kate z pewnym wahaniem podeszła do lorda Drewe. Jak zawsze jego arystokratyczny wygląd i męska prezencja onieśmiały ją. Już same tylko rękawiczki przykuwały jej uwagę idealną gładkością i kolorem karmelu. Dłonie, które okrywały, były zgrabne i eleganckie.

– Czy nie ma jakichś wiadomości od pańskich ludzi?

Nienawidziła tego, że musi go o coś pytać, ale dowiedziała się od Sally, że od czasu przybycia do Spindle Cove wyprawił gdzieś kilku specjalnych wysłanników.

– Z Margate nie nadeszła jakakolwiek cenna wiadomość – odparł z żalem. – Nie otrzymałem żadnych informacji.

Kate cieszyłaby się, gdyby umiała udawać zaskoczenie.

– Teraz jednak poszukują świadectw w Ambervale, rozglądając się za ludźmi, którzy niegdyś służyli u Simona. Może ktoś z nich przypomni sobie Elinor i dziecko.

– Całkiem możliwe.

Tylko że była to możliwość bardzo wątpliwa.

Dłoń w rękawiczce dotknęła jej łokcia. Spojrzała mu w twarz.

– Wiem, że trudno ci znieść niepewność, która nęka także i nas wszystkich. Zwłaszcza Lark coraz bardziej przywiązuje się do ciebie. Ale dziś powinniśmy po prostu czerpać przyjemność z tej wycieczki.

– Ach, oczywiście.

Dwóch służących w liberiach ustawiało w pocie czoła na płaskim, porośniętym trawą terenie płócienną pagodę przybraną na szczyt czerwonymi chorągiewkami, odcinającymi się od błękitu nieba.

Gramercy zawsze zmieniali wszystko w imponujące widowisko, co Kate zaczęła już rozumieć. Dwaj lokaje wyjęli z

powozów duże koszyki pełne po brzegi smacznych potraw i świeżo upieczonych ciast, których dostarczyła cukiernia z Ukwieconego Byka. Może to był i piknik, ale na pewno nie wiejski.

Gdy obie z Lark pomagały rozpakować i ułożyć na tacy kanapki z dżemem błyszczące jak małe klejnociki, Kate zdała sobie sprawę, że w jej imaginacyjnym drzewie genealogicznym istnieje luka, której nie potrafi zappełnić.

– Kim jest ten Ames, o którym zawsze wspomina Harry? Innym kuzynem? Przyjacielem domu?

– Nie – odparła Harry, która posłyszała jej pytanie. – Nie kuzynem, a już z całą pewnością wcale nie przyjacielem.

– Doprawdy, Harry – rzekła Lark – tylko dlatego, że obydwie miałyście małą sprzeczkę...

– Mała sprzeczką? – zakpiła ciotka Marmoset. – Raczej powtórzenie bitwy pod Trafalgarem, tyle że bez wody, z filiżankami i spodkami zamiast kul armatnich.

– Ames zatem przypadłaby w udziale rola Nelsona? – spytała Harry. – Bo odtąd jest ona dla mnie jak umarła.

– A więc to kobieta? – spytała Kate, która przedtem sądziła, że chodzi o jakiegoś mężczyznę.

Lark westchnęła i nachyliła się ku niej poufale.

– Kiedy moje siostry i ja byłyśmy młodsze, panna Ames była naszą płatną damą do towarzystwa. A teraz... teraz jest towarzyszką Harriet. Towarzyszką jej życia.

– Och – powiedziała Kate. A potem, powoli, gdy już całkowicie dotarło do niej znaczenie tych słów, raz jeszcze to powtórzyła.

– Wiem, że to dość niecodzienne. Ale w mojej rodzinie wszystko jest takie. Czy cię okropnie zgorszyłam?

– Nie... nie okropnie. – Tylko że ta rewelacja niewątpliwie kryła w sobie jeszcze coś innego. – Ale co z tymi wszystkimi zaręczynami? I z pojedynkami stoczonymi przez lorda Drewe?

– Harry starała się, jak mogła, podczas swego sezonu, no i bardzo się jej podobało, gdy wielbiciele bili się niemal o jej

względy. Tylko że nigdy nie potrafiła pogodzić się z małżeństwem – wyjaśniła Lark. – Jej serce należało wciąż do panny Ames. Niech cię nie zmyli jej pomstowanie. Obie są bardzo sobie oddane. Niekiedy zdarza im się poróżnić, ale zawsze po jakimś czasie się godzą.

– Słyszałam, co mówiłaś – odezwała się Harry. – Ale jesteś w błędzie, Lark. Tym razem zerwałyśmy na dobre. Gdybyśmy były dobrymi towarzyszkami, jak się wyraziłaś, Ames pozwoliłaby mi pojechać z nią do Herefordshire.

Lark przechyliła głowę na bok.

– Och, Harry. Wiesz przecież, że rodzina panny Ames nie jest tak wyrozumiała, jak nasza.

Chyba niewiele można by znaleźć takich rodzin, uznała Kate.

– Wiem o tym dobrze. Traktują ją okropnie. – Harry kopnęła słupek namiotu kwadratowym noskiem buta. – Zawsze zresztą tacy byli, bo inaczej nie musiałyby zostać płatną damą do towarzystwa. Gdyby mi pozwoliła z nią pojechać, ochroniłabym ją przed nimi.

– Z pewnością bardzo za tobą tęskni – powiedziała Lark.

Harry spojrzała w przestrzeń i westchnęła:

– Przejdę się trochę. Może fallus Długiego Chłopa jest tak żenująco mały, że da się go obejrzyć tylko z bliska?

Gdy Harry ruszyła ku pastwiskom, szeroko stawiając nogi w rozciętej spódnicy, Kate spojrzała w ślad za nią z pewnym smutkiem. Na pewno bolała nad rozłąką z ukochaną osobą.

A co sprawiało ból Harry, sprawiało go również i jej. Najwyraźniej zaczynała się przywiązywać do tych ludzi. Gdyby ich utraciła, byłoby to dla niej straszliwym ciosem.

Borsuk, jakby się domyślał, że Kate trzeba poprawić nastrój, wypadł nagle z łąki, skoczył jej na suknię ubłoconymi łapami i zaczął węszyć wokół potraw, liżąc ją i trącając cudownie chłodnym nosem.

Thorne pojawił się zaraz w ślad za nim, ale nie zachowywał się wcale tak jak Borsuk. Co za rozczarowanie!

Ciotka Marmoset poklepała Kate po ramieniu ze słowami:

– Tam stoi bardzo malowniczy kościół. Zauważyłam go po

drodze, ale nie mogę sobie przypomnieć, pod jakim jest wezwaniem. Bądź tak dobra, Kate, i pomóż mi zaspokoić moją ciekawość. Kapralu Thorne – dodała – może zechce jej pan towarzyszyć?

Kate wstała z uśmiechem, zadowolona z pretekstu do przechadzki. Schowała do kieszeni kilka pasztecików dla Borsuka i we troje poszli przez pola ku kościołowi.

Kiedy już nikt nie mógł ich usłyszeć, Kate powiedziała łagodnie:

– Powinien pan coś zrobić, żeby się okazać trochę bardziej towarzyski.

– Ja tam nie jestem wcale towarzyski – odburknął.

Uznała, że nie mijał się z prawdą.

– Czemu pan tak nie lubi Gramercych?

– Bo mam panią pod opieką. – Spojrzał przez ramię na piknik. – Coś z nimi jest nie tak.

– Są oryginałami, zgadzam się. Ale to tylko ekscentryczność. A właśnie dzięki niej są zabawni, interesujący i sympatyczni. Właśnie dlatego spodziewam się, że mogą mnie przyjąć do swojego grona i polubić. Cenią sobie rodzinne więzi bardziej niż skandale, niezgodę, konwenanse towarzyskie. To tylko pewne dziwactwo. Nie widzę powodu do podejrzeń.

– A ja tak. Nie ufam im ani temu, co mówią.

– Dlaczego? – spytała zirytowana. Im bardziej stawała się rozdrażniona, tym szybciej szła. Przyspieszyli kroku tak bardzo, że Borsuk musiał biec, żeby ich dopędzić. – Nie wierzy pan, że mogę być krewną lordów i dam?

Zatrzymał się nagle, odwrócił i spojrzał jej prosto w twarz.

– Jakbym przez ostatni rok nie miał pani za damę, to inaczej by wszystko między nami wyglądało.

Poczuła, że twarz ją pali. Zresztą inne części ciała także. Nie patrzyła na niego przedtem z tak bliska, a teraz...

Oszłomił ją. To było bolesne.

Choć niezbyt uprzejmy i bez uroku, zawsze jednak był starannie odziany, co teraz rzuciło się jej w oczy. Czy to w mundur,

czy – jak teraz – w dopasowane spodnie i prosty, ciemny płaszcz opięty na szerokich barkach. Nic nie było w jego stroju wyszukane, ale za to bardzo schludne. Całkiem jakby tkanina nie śmiała się na nim marszczyć. Żaden guzik nie wyskakiwał z równego szeregu. Buty miał tak wyczyszczone, że wprost oślepiały swoim połyskiem.

A jego twarz... Ledwie tydzień temu odwiózł ją do domu z Hastings i za każdym razem, gdy na niego patrzyła, wydawał się jej teraz w niewytłumaczalny sposób niesłychanie przystojny.

– Czy musi pan wszystko utrudniać? – spytała. – Jestem podenerwowana, zwłaszcza wobec Gramercych. Owszem, są bardzo mili. Chciałabym być szczerą i uczciwą, ale się boję, że mierzę za wysoko. Nie czuję się z nimi swobodnie, co już samo w sobie jest trudne do wytrzymania, a co dopiero, kiedy pan mi wchodzi w paradę. Czuję się, jakbym była popychana w różne strony.

– Ja tam nigdzie pani nie popycham. Trzymam się tylko blisko, żeby o panią dbać. W nic się nie wtrącam.

– Ależ wtrąca się pan. Nieznośnie, i to tak, że nie mogę nawet swobodnie oddychać. Nie mogę pana ignorować, nigdy zresztą nie mogłam, nawet gdy byłam na pana zła. A teraz nie mogę spokojnie nic zrobić ani powiedzieć, bo albo pan nie zwraca na mnie wcale uwagi, albo... albo patrzy na mnie tak, jak w tej chwili! Jakby pan był wygłodzonym zwierzęciem, a ja...

Zacisnął szczęki.

Dokończyła z zaciśniętym gardłem.

– ...czymś jadalnym.

Oddychał powoli, miarowo. Jak istny wzór powściągliwości.

– No, co? – spytała niecierpliwie. – Nie może pan zaprzeczyć. Coś się między nami zaczyna dziać.

– Prawie nic nas teraz nie dzieli, i to właśnie jest złe. Nie ma pani jakiejś skromniejszej sukni w garderobie? Do licha, proszę spojrzeć, w co się pani wystroiła.

Rzuciła okiem na swój strój. Włożyła z okazji wycieczki najlepszą podarowaną jej suknię z popielatego jedwabiu. Kolor był

całkiem skromny, rękawy dość długie jak na lato. Idąc za jego wzrokiem, przekonała się jednak, że uwagę Thorne'a przykuł rząd pętelek ze wstążki na przodzie stanika, łączących oba brzegi szarego jedwabiu za pomocą cienkiego wiązadła z białej koronki. Suknię uszyto tak zręcznie, że stwarzała złudzenie, iż tylko dzięki temu szeregowi zasnurowanych pętelek jest to odzienie skromne, a nie śmiały negliż.

– Wygląda pani – mruknął głucho – jakby się chciała komuś cała oddać. Mężczyzna nie może patrzeć na tę suknię, żeby nie pomyśleć o jej rozsznurowaniu.

– To... to tylko złudzenie – wyjąkała. – One są ze sobą zeszyte.

Nie spuszczał wzroku ze stanika. Przyglądał mu się uważnie. Rozwagał coś w myśli.

– Mógłbym je jak nic rozpruć zębami.

Poczuła niemądrą ochotę, żeby go raptem spytać: „No, a co potem?”

Stali tak, patrząc na siebie bez słowa, dysząc gwałtownie i na zbyt wiele pozwalając wyobraźni.

Wreszcie Borsuk zaczął węszyć koło jej pantofli, zniecierpliwiony tym przestojem. Nie mogli w końcu stać tak i patrzeć na siebie przez cały dzień.

– Trochę mnie poniosło – mruknął, kiedy znowu ruszyli. – To minie. Niedługo będzie pani mogła zerwać te zaręczyny.

Mogłoby ją to uspokoić, ale nie była o tym całkiem przekonana.

– Chciałabym coś o panu wiedzieć – powiedziała, gdy się zbliżali do kościoła. – Lark zawsze mnie pyta o pana. O nas oboje. A ja nie wiem, co mam jej odpowiedzieć. Kiedy na przykład obchodzi pan urodziny?

– Nie obchodzę ich. Nie wiem, kiedy się urodziłem.

Kate uznała, że to dosyć smutne, ale w końcu i ona żyła przez całe dwadzieścia trzy lata, nie znając daty własnych.

– Jaki kolor lubi pan najbardziej?

Spojrzał z ukosa na jej suknię.



– Szary.

– Proszę mówić serio. Jestem z panem zaręczona, choćby nawet tymczasowo, a nic nie wiem ani o panu, ani o pańskiej rodzinie czy dzieciństwie.

Po przyjęciu zaręczynowym wiedziała już, że bardzo uważnie ją obserwował.

– Nie warto o tym mówić.

– Niemożliwe. Wychowałam się w szkole dla ubogich dziewcząt, ale nawet ja mam zabawne wspomnienia z dzieciństwa. Pewnego razu przypadła na mnie kolej pomagania w kuchni i uznałam, że trzeba jakoś przyprawić zupę na kolację. Tylko że wsypałam do niej z rozmachu całą zawartość pieprzniczki i bałam się do tego przyznać. Nadeszła pora kolacji, a ja wciąż nie pisnęłam ani słowa. Nigdy nie zapomnę, jak patrzyłam na koleżanki i nauczycielki, kiedy brały pierwszą łyżkę do ust...

Przerwała i wybuchnęła śmiechem.

– Och, dostało mi się wtedy strasznie. Oczywiście wszyscy poszli spać głodni. Kazano mi potem przez kilka dni przepisywać *Przysłowia Salomonowe*.

Spodziewała się, że i on sobie przypomni coś w tym rodzaju. Przecież każdy chyba miał jakieś zabawne wspomnienia z czasów młodości. Ale czekała na próżno.

Nim zdążyła zadać mu kolejne pytanie, Borsuk nagle nadstawił uszu, które zaczęły mu sterczeć pionowo niczym dwie wieżyczki. Potem położył je po sobie i śmignął ku kościołowi jak błyskawica.

– Borsuk, stój! – krzyknęła, biegnąc za nim.

Thorne zrównał się z nią bez trudu.

– Nie trzeba go odwoływać. Zwęszył pewnie zająca, a może szczura. Ułożono go do polowania.

Borsuk wpadł na mały cmentarz przykościelny, za głównym korpusem budowli. Widocznie stworzenie, które gonił, uciekło przez dziurę u stóp kamiennego muru. Pies wślizgnął się w ten otwór i znikł im z oczu.

– Do licha – powiedziała zdyszana Kate – będziemy musieli

obejść kościół naokoło.

– Chodźmy tędy.

Okrążyli cmentarzyk, dochodząc do bramy z kutego żelaza. Thorne otworzył ją. Kate wbiegła na pełen grobów cmentarz. Omszałe nagrobki stały tam krzywo, niczym rzędy zepsutych zębów.

– Borsuk, Borsuk, gdzie jesteś? – Kate okrążyła rząd nagrobków, potykając się na nierównym gruncie i rozglądając wokoło. Przypomniała sobie o pasztecikach w kieszeni i wyciągnęła jeden z nich, wymachując nim jak przynętą. – Do nogi piesku! Mam coś dobrego dla ciebie!

Thorne okrążył duży grób, zatrzymał się na środku cmentarza i gwizdnął.

Po chwili Borsuk wybiegł zza rozsypującej się kamiennej płyty.

– Dzięki Bogu! Czy złowił coś?

Kate bała się niemal spojrzeć na psa.

– Nie. Ale następnym razem pobiegnie na pewno szybciej.

W głosie Thorne'a zabrzmiała prawdziwa duma. Ze szczerym wzruszeniem przykląkł, poskrobał Borsuka za uszami i pogłaskał. Z pewnością lubił go, choć się do tego nie chciał przyznać.

Było w nim o wiele więcej ludzkich uczuć, niż pozwalał się tego domyślać. A teraz, gdy znajdowali się daleko od Gramercych, od plotek Spindle Cove i w ogóle od całej reszty świata, mogła to być jedyna sposobność, żeby z niego wydobyć jakieś zwierzenia.

– Niechże mi pan coś powie o sobie – powiedziała błagalnie.

– O tym, co robił pana ojciec, jakie imiona nosiło rodzeństwo, o domu, gdzie pan wyrósł. O przyjacielu. O ulubionej zabawce. O czymkolwiek.

Thorne podniósł się z posępną miną.

– Na litość boską, ja nawet nie wiem, jak panu na imię!

Chciałam sobie przypomnieć, ale na próżno się nad tym głowiłam. Przecież ktoś w miasteczku musiał choć raz się zwrócić do pana po imieniu. Może było zapisane w książce rachunkowej Sally albo

lord Rycliff się nim kiedyś posłużył? Na przykład w kościele. Ale im dłużej rozmyślałam, tym bardziej nabierałam pewności, że... nikt w Spindle Cove go nie zna.

– To nie ma znaczenia.

– Ależ ma, na pewno. – Chwyciła go za rękaw. – Bo pan ma znaczenie. Trzeba, żeby pan komuś pozwolił je poczuć.

Spojrzał na nią tak, że zamarła w miejscu, i burknął z cicha:

– Proszę mi dać spokój.

Kiedy silny, nieprzewidywalny mężczyzna spojrzy w ten sposób na dziewczynę, instynktownie musi się ona cofnąć. Thorne to dobrze wiedział i posłużył się tym chwytem przeciw niej.

– Nie ustąpię – powiedziała – póki mi pan czegoś nie powie.

– Dobra – odparł i zaczął mówić bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem, jakby recytował ćwiczenie albo sporządzał jakiś spis. – Nie znałem mojego ojca. Nie chciałem tego zresztą. Zrobił mojej matce dziecko, kiedy była na to o wiele za młoda, w dodatku nieślubne, a potem porzucił nas oboje. Została wtedy dziwką i znalazła sobie miejsce w burdelu. Sypiałem tam na strychu, żeby się zanadto nie rzucać w oczy gościom. Nigdy nie chodziłem do szkoły ani nie wyuczyłem się żadnego fachu. Moja matka chłała tylko gin i coraz bardziej mnie nienawidziła, bo się robiłem coraz podobniejszy do ojca. Nie przepuściła żadnej okazji, żeby mi powiedzieć, że jestem do niczego, głupi, wstrętny i paskudny. A kiedy miała coś ciężkiego w ręce, łoła mi solidnie skórę. Uciekłem stamtąd, kiedy mi się tylko nadarzyła sposobność, i nigdy nie wróciłem.

Kate zaniemówiła. Brakło jej słów.

– No, masz – powiedział, biorąc od niej pasztecik, o którym całkiem zapomniała, i rzucając go wyczekującemu psu. – Miła historyjka, co? W sam raz do opowiadania przy śniadaniu.

Milczała. Chciała prawdy. Zmusiła go, żeby ją ujawnił, a teraz pozwoliła, żeby ją odepchnął.

Koniecznien chciała mu coś powiedzieć. Cokolwiek, co byłoby miłe.

– Ja... – przełknęła z trudem ślinę. – Ja... uważam pana za

niezwykle przystojnego.

– Panno Taylor... – Thorne spojrział na nią zdumiony.

– Ależ tak. Uważam, że pan jest niezwykle, niesłychanie wprost przystojny. Nie zawsze tak myślałam. Ale od kiedy wróciliśmy z Hastings... trudno mi nawet czasami spojrzeć na pana. Pewnie to dla pana nie jest niespodzianką, bo dobrze pan wie, że podoba się wielu kobietom.

Prychnął z ironią.

– Niekoniecznie dlatego, żebym był przystojny.

Kate zamilkła i nagle dotarła do niej świadomość innych jego przymiotów. Siły, władczości, instynktu opiekuńczego. Zapewne te właśnie cechy dały asumpt do „mnóstwa historii”, o których wspominała Sally w sklepie.

– Na pewno podoba się pan kobietom z wielu powodów. Ale ja mówię tylko za siebie. Uważam pana za ogromnie przystojnego.

Zmarszczył brwi.

– Po co to mówić? Nie potrzebuję tego słyszeć akurat od pani.

– Może i nie.

Była jednak przekonana, że jest inaczej.

Może nie potrafiła wyobrazić sobie okropności, jakim stawiał czoło na polu bitwy, ale wiedziała, co to znaczy być niechcianym dzieckiem, uważanym przez osobę, która się nim opiekuje, za brzydkie i nic nie warte. Wiedziała, jak nieżyczliwe słowa przez całe tygodnie, miesiące i lata niszczą jego wiarę w siebie. Siniaki znikną ze skóry, ale zniewagi już zawsze, niby wczepione w ciało pasożyty, niszczą jego duszę.

Wiedziała, jak wiele serdeczności trzeba, by temu przeciwdziałać i jak należy przy tym unikać banalnych komplementów, nawet gdy chodzi o dorosłych, aby nie odbierano ich jako nieszczerze. No, bo czy mogły być prawdziwe? Złe, okrutne słowa nieustannie bowiem tkwiły w duszy, odporne na wszystkie wysiłki. Były niczym ludzkie szczątki na tym cmentarzu. Mimo że zakopano je głęboko, mimo że rosły nad nimi kwiaty, i tak nadal tam istniały.

Nienawistne słowa mogą być trwalsze niż ziemia.

Tak, wiedziała o tym. Nie mogła patrzeć na jego ból i nie zrobić niczego, by go złagodzić.

– Uważam pana za ogromnie przystojnego – powtórzyła. – Wiem, że jest pan skromny, powściągliwy i wcale nie ma ochoty o tym słyszeć. Ale ja muszę o tym mówić.

Dotknęła ostrożnie jego policzka. Drgnął, grdyka uwydatniła mu się na szyi.

– Niech pani przestanie.

Z całą satysfakcją nie usłuchała go i ujęła jego twarz w dłonie. Musnęła czubkami długich palców ciemne włosy.

Zmierzył ją jednak tak lodowatym spojrzeniem, że poczuła dreszcz. Spojrzała więc na jego usta, dziwiąc się – nie po raz pierwszy – że te zaciśnięte wargi mogły się stać tak gorące podczas pocałunku. Powiodła kciukiem po wgłębieniu w policzku. Mogłoby się przeobrazić w miły dołeczek, gdyby go kiedykolwiek zmusić do uśmiechu.

Ogromnie pragnęła ujrzeć, jak się uśmiecha. Chciała, żeby się śmiał, donośnie i długo.

– Jest pan przystojny – powtórzyła znowu.

– Bzdury.

– Jeśli mówię bzdury, to pana wina. Ten ostry kant podbródka – przesunęła po nim palcem – nawiedza mnie w snach, a pana oczy... Jest w nich jakaś zagadka. Chciałabym ją rozwiązać.

– Lepiej nie próbować. Nie zna mnie pani. – Jego głos brzmiał głucho, ale we wzroku widniało pożądanie. Jawne pożądanie.

Poczuła, że jest już bliska triumfu.

– Wiem, że zasłonił mnie pan przed melonem wystrzelonym z katapulty. – Uśmiechnęła się. – A kiedy patrzy pan na mnie tak jak teraz, sama siebie nie poznaję. Czuję się wtedy tak bardzo kobietą, jak nigdy przedtem. Ale też i dziewczyną. Muszę uważać, żeby nie zrobić wtedy czegoś niemądrego, na przykład żeby nie rozburzyć sobie włosów albo stanąć na palcach. To chyba

ostateczny dowód, że pan jest przystojny. Przynajmniej w odczuciu jednej kobiety.

A może się myli... może ten błysk w jego oczach świadczy o głęboko skrywanym pragnieniu...

Kate uznała, że wystarczy, jeśli spodobała się jednemu mężczyźnie.

Objął ją w pasie i przyciągnął ku sobie. Zaparło jej dech. Zaskoczyły ją gwałtowność i siła tego gestu. Podejrzewała, że chciał, by tak się właśnie poczuła.

– Nie boję się pana – powiedziała.

– A powinna pani. – Objął ją jeszcze mocniej i błyskawicznie przygniół do muru w pobliżu. Gęsta zielona zasłona bluszczu otoczyła jej włosy i twarz. – A powinna się pani tego bać. Odkąd stoimy na tym cmentarzu, ryzykuje pani utratę reputacji. Może pani utracić wszystko, czego najbardziej pragnie.

Wiedziała, że mówił prawdę. Kilkaset jardów dalej znajdowało się czworo ludzi ofiarujących jej coś, o czym od dawna marzyła i co miała nadzieję uzyskać. Więzy towarzyskie, miłość rodzinną. Gramercy uosabiali jej najskrytsze pragnienia.

A jednak znalazła się tutaj, złączona z nim krańcowo niestosownym uściskiem, na poświęconej ziemi i tylko ze zmarłymi w charakterze przyzwoitek. Czyżby straciła rozum?

Być może.

A może spełniała czyjeś najgłębsze, bezgraniczne pragnienia? Czyż dziewczyna może chcieć czegoś więcej?

Gramercy sprawili, że poczuła się akceptowana. Ale to Thorne spowodował, że czuła się pożądana. Upragniona. Dawniej nie miała pojęcia, że można tego pragnąć tak gorąco.

– Co pan ze mną wyrabia? – wyszeptała.

– Dużo mniej niżbym chciał.

Uśmiechnęła się. Znow ten błysk cierpkiej, rozbrajającej ironii. Och, miała naprawdę straszny kłopot. Prędzej miód wytryśnie z kamienia, niż ona skłoni tego człowieka do okazania serdeczniejszych uczuć. Doprowadził ją jednak do tego, że nie mogła się oprzeć chęci sięgnięcia po coś więcej.

Nie kryj się przede mną – błagała go w myśli. – Nie cofaj się. – Przystojny – szepnęła, usiłując za wszelką cenę przebić pancerz, którym się osłonił. – Pociągający. Niezwykły. Szlachetny. Pięk...

Jego pocałunek zaprzeczył jej słowom.

Beztrąsko powiedziała mu, że się go nie boi – ale to było przedtem, zanim jeszcze zmiądzzył ustami jej wargi. Zanim jego język wtargnął do wnętrza jej ust, zanurzając się w nie coraz głębiej. Badając ich wnętrza, żądając czegoś. Wzbudzając emocje, których nie potrafiła kontrolować.

Z głuchym pomrukiem napierał na nią twardym, męskim ciałem, tak że zatonęli obydwój w gęstwinie bluszczu. Zalała ją ciemna lśniąca zieleń. Cienkie pędy zagarnęły ją całą, drapiąc jej skórę niczym małe pazurki i każąc poczuć się częścią czegoś większego od niej, czegoś żywiołowego i naturalnego, pradawnego.

Podczas pocałunku jego silne dłonie wędrowały po całym jej ciele, żądając czegoś, co z pewnością było złe, ale wydawało się niezbędne.

Gdyby była kobietą bardziej doświadczoną, to w jaki sposób powinna go była dotykać? Czy na przykład należało objąć go w pasie? A może wsunąć dłoń pod płaszcz, żeby wymacać tam kontur piersi?

Nie zdobyła się na to. Dotknęła tylko jego podbródka, wydatnego i twardego, gdzie już mimo dość wczesnej pory kiełkował zarost. Przesunęła dłonią wokół potężnej jak kolumna szyi, pozwalając sobie końcami palców musnąć włosy na karku. Pogłaskała je ostrożnie i czule. Bo każdy zasługuje na to, by okazać mu nieco czułości, a i ona sama rozpaczliwie jej pragnęła.

On zaś dał jej zaznać czegoś o wiele bardziej pierwotnego.

Chwycił ją mocno, jęknął i przywarł do niej ciasno. Poczowała gwałtowny wstrząs w najdalszych nawet zakątkach ciała, który ją całą rozpałił.

Thorne wymamrotał niewyraźnie jakieś przekleństwo, gdy jego wargi ześlizgiwały się wzdłuż jej szyi, jakby całował ją

wbrew własnej woli, na przekór wszystkiemu. Zadrzała, słysząc, że zaklął na poświęconej ziemi. Zdumiała ją świadomość, że właśnie tu, na tym małym, otoczonym murem cmentarzu, zdołała przełamać jego opory. Utracił poczucie obowiązku, puściły wszystkie jego hamulce. I ona tego dokonała.

A potem...

A potem stało się to, co się stało.

Całował ją coraz niżej po lewej stronie szyi, a jego prawa ręka sunęła w górę, powyżej talii, całkiem jakby i usta, i ręka miały się zetknąć razem w określonym punkcie. A ten krągły, zaróżowiony, zbawienny punkt, który teraz uwypuklał się i nabrzmiewał pod jej suknią, skwapliwie tego oczekiwał.

Przemknęła jej przez głowę myśl, że powinna temu położyć kres. Przemknęła i znikła bez śladu, bo Kate nie dbała już o nią wcale.

Gdy jego dłoń pogładziła jej pokrytą tkaniną pierś, niemal osłabła z rozkoszy i ulgi. Dłoń spłaszczyła pierś, a potem jego kciuk odnalazł sprężony czubek sutka i zaczął go trącać w zachwycający sposób. Całe jej ciało przeniknęła ostra, bolesna błogość. Ucałował potem wrażliwą skórę nad jej bijącym donośnie sercem i uniósł całą pierś w dłoni ku górze, wtulając twarz w ciepłe, kobiece ciało.

Wtulił się w nią. Kto by powiedział, że ten zimny, bezlitosny mężczyzna może się w cokolwiek wtulić?

– Katie – wychrypiał. – Pragnę cię. Pragnę.

Było to tylko parę wypowiedzianych zdławionym głosem słów, ale ona uznała, że w ustach kogoś tak małomównego równają się całym tomom poezji.

Pragnął jej.

Te słowa tchnęły zarem. Były niebezpieczne jak pożar.

Żar pożądania odmienił ją. Pończochy tak teraz paliły jej skórę, że zapragnęła zedrzyć je z siebie. Pomiedzy nogami czuła bolesną nabrzmiałość. Piersi rozpychały gorset za każdym razem, gdy gorączkowo nabierała tchu. Uniosły się ku górze i drżały, jakby błagając o więcej jego zręcznych dotknięć.



Zaczepił o stanik sukni zgiętym palcem i pociągnął nim w stronę jej ramienia na tyle, by z niego zsunąć tkaninę. Kciukiem obniżył brzeg dekoltu, całując jednocześnie jej szyję.

Już prawie dotykał obnażonej piersi.

Zamierzała mu pozwolić, żeby tak zrobił.

Niech to się stanie zaraz. Natychmiast. Błagała o to.

Ucałował jej usta, wsuwając jednocześnie palce pod stanik i obejmując nimi pierś. Z zadowoleniem powitała jego głuchy, zmysłowy pomruk. To, czego doznawała, było tak intensywne, że wygięła się cała w łuk i wsparła o porośnięty bluszczem mur, bezwiednie podając mu usta. Jej brzuch zetknął się z czymś zeszywniałym i pulsującym.

O Boże!

Przypomniały się jej słowa lady Harriet. No, tak. W Wilmington doszło mimo wszystko do monumentalnej erekcji!

Wydał głuchy pomruk tuż przy jej ustach, ściskając i gładząc jej ciało, wodząc końcem palca po sutku, a potem okrążając go nim raz za razem. Kate czuła coś tak cudownego, że wprost pragnęła wyskoczyć ze skóry.

– Ja muszę. – Thorne przestał ją całować, dysząc ciężko. – Katie, ja muszę cię mieć. Muszę.

– Tak – przynagliła go. – Tak.

Wsunęła dłoń pomiędzy ich ciała, sięgając ku pętelkom ze wstążki. Niezupełnie kłamała, gdy wcześniej powiedziała, że są z suknią zszyte.

Owszem, były zszyte, wszystkie prócz jednej.

Patrzyła, jak się zdumiał, gdy poluzowała wiązadelko. Całkiem jakby mu dała teraz cały stos prezentów, na Boże Narodzenie i na urodziny za jednym zamachem. Nie martwiła się już tym, że zawsze uważała swoje piersi za zbyt małe, a obwódki wokół sutków za zbyt ciemne... Wszystko to rozwiało się w jednej chwili, gdy szarpnął za suknię, wystawiając je na chłód powietrza i własne rozpalone, zachłanne spojrzenia.

Może nie była idealnie piękna, ale najwyraźniej spodobało mu się to, co ujrzał.

A przynajmniej doszła do takiego wniosku, gdy usłyszała jego szept:

– Boże przenajświętszy!

Pokręcił jednak głową, choć nadal wpatrywał się w jej nagie piersi.

– To się nie może stać!

– Ależ może. Już się przecież staje.

Miała nadzieję, że jeszcze więcej stanie się za chwilę.

– Nigdy nie nadużyję zaufania kobiety. Przenigdy.

– Przecież to wcale nie nadużycie.

– A także nie wykorzystam niewinnej dziewczyny. Za nic.

Na litość boską, on jej wcale nie wykorzystywał, a poza tym nie była już dziewczyną. Może trzeba go poprosić? Czy to by pomogło?

Im dłużej zwlekał, tym bardziej nabrzmiewał czubek jej sutka. Był już prawie tak duży, jak malina. Malina na łyżeczce pełnej bitej śmietany. Gotowej do łapczywego połknięcia.

– Thorne! – Kate wyginała się, przyciskając pierś do jego dłoni. – Mnie... mnie czegoś trzeba.

Przygwoździł ją wzrokiem.

– Dobrze wiem, czego – powiedział tak głuchym głosem, że odczuła jego słowa całym ciałem.

– Błagam. – Wpiła palce w jego płaszcz, chcąc przyciągnąć go bliżej. – Błagam.

Po długim wahaniu naciągnął suknię z powrotem na jej ramię i zakrył pierś.

– Tu trzeba czegoś więcej niż ukradkowych uścisków – powiedział. – Starania, afektu. I kochania.

Raptem zasznurował pętelki przy staniku i się cofnął.

– Potrzeba pani innego mężczyzny. Lepszego niż ja.

Ledwie to zrobił i cofnął się, choć cały jeszcze rozgorączkowany, na cmentarz wbiegła Lark Gramercy.

Szybko stanął za kamiennym krzyżem, na szczęście dość wysokim. Nie był on jednak w stanie skryć jego głośnego dyszenia. Zresztą Kate również dyszała.

– Och, tutaj jesteście? – spytała Lark z uśmiechem. – Przez chwilę obawiałam się, że to coś w rodzaju schadzki. A za nic nie chciałabym sprowokować Evana do szóstego pojedynku. – Wybuchnęła śmiechem. – Pięć to już niemało, ale sześć... sześć zakrawałoby na złą wróżbę.

Katie (panna Taylor, jak upomniał w duchu samego siebie) strzepnęła liść bluszczu z włosów, odsuwając się od muru. Policzki i szyję miała mocno zaróżowione.

– Mieliśmy pewien kłopot – powiedziała. – Borsuk wślizgnął się na cmentarz przez dziurę w murze i poszliśmy go szukać.

Niech to diabli porwą! Thorne rozglądał się wśród grobów. Pies znów się gdzieś zapodział.

Co za nędznik z niego. Nie tylko o mało co nie odebrał cnoty pannie Taylor – i to na cmentarzu! – rujnując nieodwracalnie jej przyszłość, odbierając nadzieję na zamożność i wygodne życie, ale w dodatku zgubił przekłete psisko. Przejechał dłonią po włosach, wściekły na siebie.

– Proszę wrócić z lady Lark – odezwał się do panny Taylor. – Już ja go znajdę.

Potrzebował kilku minut, żeby okiełznać swoje pragnienia.

Gdy tylko obie odeszły, gwizdnął. Pies przybiegł do niego natychmiast.

A potem Thorne przez dobry kwadrans odczytywał napisy na każdym z cmentarnych nagrobków, robiąc to, jak zwykle, w boleśnie wręcz powolnym tempie. W końcu spoufalił się jakoś z tymi ludźmi, którym dał ujrzeć tak nieprzyzwoite widowisko.

Później, gdy już obszedł całe cztery rzędy z grobami zmarłych mieszkańców Wilmington, a jego ciało odzyskało spokój, uznał, że może znów przytomnie myśleć. Gdy opuszczał cmentarz z Borsukiem u nogi, przejechał po włosach obydwoma rękami.

Co on, u diabła, zrobił? Czyż nie oznajmił jej wcześniej, że to się nie powtórzy? Wiedział, jak powstrzymać fizyczną pokusę, ale jej urok był siłą, z jaką nigdy się jeszcze nie zetknął.

Gdyby się w odpowiedniej chwili nie powstrzymał... gdyby lady Lark przybiegła ledwie kilka sekund wcześniej... Katie... nie, panna Taylor... zostałyby zaskoczona w jego objęciach, i to na wpół rozebrana. A on był półprzytomny niczym napalony smarkacz, któremu po raz pierwszy udało się pomacać babski cycek.

Thorne powiedział Kate prawdę. Nigdy nie zniewolił kobiety. Dorastał w burdelu i dlatego pogardzał każdym amatorem płatnej miłości. Widywał już mężczyzn, którzy odwoływali się do władzy, przywilejów, majątku i fizycznej przemocy, żeby tylko dogodzić swoim chęciom.

Czasami brzydził się wtedy, że jest mężczyzną.

Tylko że on nim również był. Takim jak wszyscy inni, podległym niskim popędom. Brał sobie więc kochanki – ale tylko wtedy, gdy wiedział, że obydwu stronom to wystarczy, będzie nieskomplikowane i potrwa niedługo.

W przypadku panny Taylor nic jednak nie było nieskomplikowane. A co do krótkości... to w końcu coś ich łączyło od całych dziesięcioleci.

Tylko że dziś kusiło go, by tak czy inaczej ją zniewolić. Och, upierałby się, że też tego chciała. Wiedział jednak, czego w życiu pragnęła naprawdę. Z pewnością nie opierania się o cmentarny mur i obnażania piersi przed prostakiem, niewykształconym byłym więźniem. Gdyby uległ jej błaganiom i własnej pożądliwości, to by ją właśnie zniewolił. Czułby się wtedy mocniejszy, silniejszy.

A także bardziej ludzki.

Powiedziała mu, że jest kimś zasługującym na uznanie. Że

powinien dać to komuś poznać.

Nikt nie mógł jednak poznać jego prawdziwych uczuć. Opancerzył się przeciw temu solidnie. Nikt prócz niej. Była mu bliska na długo przedtem, nim ów pancierz powstał. A choć nie pamiętała ani jego twarzy, ani imienia, zdołała pokonać wszystkie przeszkody i utorować sobie drogę do jego duszy.

A w niej kryły się wszelkie możliwe demony.

Musiał znaleźć sposób, żeby ją od nich odgradzić, nim spotka ją jakaś krzywda. I tak za wiele jej zdradził ze swojej przeszłości. Nie mógł pozwolić, żeby dowiedziała się czegoś więcej.

Zrujnowałoby jej to życie.

Gdy groteskowa pagoda pikniku Gramercych ukazała się jego oczom, stanął pośrodku łąki i zaczął się jej przypatrywać. Najwyraźniej ci ludzie wszędzie, gdzie tylko się znaleźli, zaczęli wznosić swoje małe, prywatne królestwo – a on zawsze pozostawał poza jego zasięgiem.

Borsuk siedział tuż przy nim, czekając na rozkaz.

Thorne rzucił mu w nagrodę za cierpliwość trochę suszonego mięsa wyciągniętego z kieszeni.

Od dawna chciał mieć takiego właśnie psa. Wysoko urodzeni mogli sobie sprawiać rasowe charty, żeby potem urządzać polowanie na lisa. Zwykłym ludziom wystarczał mieszaniec, zwinny, bystrooki i rozumny. Taki pies mógł łowić króliki i dzikie ptactwo. A nawet lisy i sarny.

Pies w rodzaju Borsuka byłby dobrym towarzyszem w amerykańskiej puszczy. Przyuczony do posłuszeństwa, szybkiego biegu, pogoni i uśmiercania zdobyczy.

Panna Taylor by o to wszystko nie dbała. Oczami wyobraźni widział, jak załamuje ręce na samą myśl o Borsuku łapiącym polną mysz.

A jednak mówiła, że go lubi. Za co? Za zbyt długi pysk albo łaty na sierści? Za to, że zawzięcie tarł jej rzeczy?

Im dłużej patrzył na psa, tym bardziej mu się to wydawało bezsensowne.

Co ona, u diabła, w nim widzi?

– Och, Borsuk! Co my oboje widzimy w tym człowieku?

Gdy Kate baraszkowała tego wieczoru ze szczeniakiem, wyciągnęła mu z sierści ukrytą zadrę.

– Ty go też lubisz – powiedziała do niego. – Nie próbuj zaprzeczać. Rozpływasz się z zachwyty, kiedy okaże ci choć trochę serdeczności, a jeśli się do ciebie zbliży, cały aż ziejiesz z radości.

Westchnęła, gładząc spiczasty pyszczek.

– Zdradzić ci pewien sekret? Ze mną jest całkiem podobnie i tak samo rzuca się to w oczy.

Borsuk złapał w zęby skórzaną oprawę *Mądrych rad pani Worthington dla młodych dam*.

– Jazda, rozerwij ją na strzępy – zachęcała go. – I tak zostanie mnóstwo innych.

Tej nieznośnej i niemądrej książeczki o etykiecie było w istocie pełno w całym miasteczku, a także w całym kraju. Jako oficjalna patronka Spindle Cove, Susanna Finch – obecnie lady Rycliff – uznała za swoją osobistą misję wykluczenie z obiegu możliwie jak największej liczby egzemplarzy.

Borsuk bardzo chętnie tarł się jeden po drugim, a Kate nic by teraz nie przyszło z odpowiedniego dla młodej damy zachowania. Rzuciła się na łóżko i wpatrzyła w sufit, rozpamiętując z satysfakcją to, co przeżyła.

Jej piersi sprężyły się pod nocną koszulą. Przy każdym oddechu cienki materiał ocierał się o nie. Pragnęła poczuć na nich jego dłonie. A także usta. A na sobie całe jego ciało. Ciężkie i mocne.

Pragnęła ujrzeć pożądanie w jego błękitnych oczach.

Pragnęła jego pocałunków.

Och, Thorne.

Uniosła dłoń ku piersiom i lekko dotknęła przez muślin wgłębienia między nimi.

Gdybyż nie uległ tam na cmentarzu nagłym wyrzutom sumienia!

Co prawda była dość zadowolona z tego, że Thorne się pohamował tuż przed nadejściem Lark. Ale gdyby znajdował się teraz koło niej, byłoby inaczej.

Odpięła jeden guzik koszuli. Potem drugi. Zamknęła oczy, przywołując zapach paproci i bluszczu wraz z silną wonią męskiej skóry. Rozpamiętywała szorstkość zarostu pod swoją dłonią.

Wsunęła ją pod nocną koszulę, próbując ożywić to, co wtedy czuła. Co on sobie mógł pomyśleć o jej skórze?

Że jest gładka. Jak ciepły atlas albo jak wewnętrzna strona jej starych, ulubionych rękawiczek z gieny. Sprężystych i miękkich jak ciasto wyrabiane na chleb, tak że kusily, by je gnieść palcami. A obwódki sutków... zabawnie pofałdowane, jak surowy jedwab.

Ujęła sutek w palce, próbując odtworzyć podniecenie i błogość tego dotyku. Wyobrażała sobie jego usta i zręczny język.

Było jej dobrze. Bardzo dobrze.

Tylko że nawet w przybliżeniu nie równało się to temu, co przeżyła. Życie ją nauczyło, że żadne fantazjowanie nie pozwoli jej zapomnieć o samotności. Jeśli miała rzeczywiście odtworzyć ten intensywny, zakazany dreszcz, musiał w tym uczestniczyć również Thorne.

Westchnęła i wyjęła rękę spod nocnej koszuli, po czym założyła ją pod głowę.

Ale już w następnej chwili musiała parsknąć śmiechem. Borsuk bowiem uznał wewnętrzną stronę jej ramienia za coś niezwykle interesującego i zaczął ją tam lizać.

– Dość, dość! – wołała w ataku niepohamowanego chichotu.  
– Dość, ty mały łobuzie!

Borsuk wsunął zimny nos pod jej łokieć, węsząc i trącając ją pyszczkiem. Musiała zatkać sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć głośno. Była to tortura, ale... wprost cudowna.

Gdy wreszcie zdołała przewrócić się na bok, pies zeskoczył z łóżka i zaczął węszyć, biegając w kółko po dywanie.

Kate zerwała się na równe nogi.

Och, nie. Och, tylko nie tu!

Pospiesznie wsunęła nogi w pantofle i narzuciła szlafrok na

koszulę, zawiązując byle jak pasek w talii.

– Poczekaj, kochanie, tylko chwilkę...

Chwyła go jedną ręką za kark, a drugą ujęła lichtarz ze świecą, otworzyła łokciem drzwi sypialni i ostrożnie pobiegła wzdłuż korytarza. Było już dobrze po północy, a ona nie chciała nikogo obudzić.

Zeszła pospiesznie po schodach, otworzyła frontowe drzwi. Chłodne noce powietrze owiało jej odsłoniętą szyję. Posadziła Borsuka na ziemi i owinęła się ciasno szlafrokiem.

– No, dalej! – Kiwnęła na niego ręką. – Załatw swój interes i zaraz wracaj. Ja tu poczekam.

Gdy Borsuk popędził w podskokach, żeby wybrać odpowiednie miejsce, ujrzała nagle jakieś światło.

W Ukwieconym Byku paliła się lampa.

Dziwne.

Wprawdzie była to tawerna, ale w prowincjonalnym miasteczku i Fosbury zawsze zamykał ją o dziewiątej, najpóźniej o dziesiątej. Życie w Spindle Cove zaczynało się o świcie. Któryż mężczyzna chciałby się napić o tak późnej porze?

Pewnie jakiś mężczyzna nękany podobnymi myślami, co jej własne, bo wszystkie kobiety już spały.

To musiał być Thorne.

A ona musiała go zobaczyć.

Poprawiła na sobie szlafrok, zawiązując go jak najstaranniej. Zresztą było przecież ciemno. Nikt nie mógłby dojrzeć zbyt wiele. Zdmuchnęła świecę i postawiła lichtarz na małym stolczku przy wejściu. Potem zamknęła za sobą drzwi i przeszła przez ogród, przywołując cichym cmoknięciem Borsuka.

– Chodźmy – powiedziała mu. – Czeka nas jakaś przygoda.

Dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa, gdy szła przez mrok, ale obecność psa dodawała jej otuchy. Co prawda był tylko szczeniakiem, ale mógł przynajmniej zmusić napastnika, żeby się cofnął.

Gdy doszła do pomalowanych na czerwono drzwi Ukwieconego Byka, namacała po ciemku klamkę i nacisnęła ją



ostrożnie. Drzwi nie były zamknięte.

A za nimi coś było słycać.

Wstrzymała dech i nadstawiła uszu. Z wnętrza tawerny dobiegały ciche dźwięki fortepianu. Ale dolatywały do niej jakby z bardzo daleka.

Obudziły one w Kate odległe, mgliste wspomnienie. Znów znalazła się w długim, mrocznym korytarzu. Ktoś grał na fortepianie. Gdzieś niżej? Odległe dźwięki czuła jakby pod stopami. Zaczęło ją w nich mrowić.

*Spórz, w ogrodzie piękne kwiatki...*

Korytarz był ciemny, mroczny i ciągnął się bez końca. Ale w tym mroku kryło się coś niebieskiego.

„Bądź dzielna, moja Katie”.

Kate otrząsnęła się z transu i gwałtownie zaczerpnęła tchu. Zacisnęła palce na klamce tak kurczowo, że aż zbieleły ich kostki.

Wzięła Borsuka pod pachę, a potem otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka.

To, co tam zobaczyła, zdumiało ją.

Przy fortepianie siedział lord Drewe. Nie zauważył jej wejścia.

W świetle małej lampki dojrzała, że miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę z podwiniętymi mankietami i ciemne spodnie. Stopy trudno było dostrzec w mroku, sądziła jednak, że jest bosy, bo dostrzegła ich blady zarys na ciemnych deskach podłogi.

Grał na fortepianie, ale bez podniesionego wieka i z wciśniętym pedałem forte. Mógł więc uderzać w klawisze nawet z dużym ferworem, ale uzyskiwał jedynie słaby dźwięk podobny do pozytywki.

Zaśmiałyby się z rozbawieniem, gdyby nie obawa, że ją zauważy. Widok możnego markiza grającego w taki sposób na fortepianie... był doprawdy czymś zaskakującym.

Borsuk wyswobodził się z jej uścisku.

Kate zaparło dech, gdy pobiegł przed siebie, stukając pazurkami w posadzkę.

Dłonie lorda Drewe zamaryły na klawiszach. Uniósł raptownie

głowę. Długo wpatrywał się w mrok, nim ją spostrzegł.

– Kto tu jest? – spytał ostro. Na jego podbródku widniał już słaby cień zarostu. Po raz pierwszy wydał się jej nie tyle eleganckim markizem, co mężczyzną.

– To tylko ja – zdołała wyszeptać. – Ja, Kate.

– Och. – W jednej chwili zdołał powściągnąć zdziwienie.

Wstał z taboretu i kiwnął ku niej dłonią.

– Chodź, chodź. Co za niespodzianka.

Pożałowała, że widzi ją w szlafroku, ale skradanie się w ciemności było czymś znacznie gorszym.

– Strasznie mi przykro. Wysłałam tylko na chwilę, żeby wyprowadzić Borsuka na dwór, ale zobaczyłam światło i zaciekało mnie, kto tu jest. Nie zamierzałam przerywać... – przygryzła wargę – pańskiego marzenia.

Roześmiał się łagodnie.

Kate odetchnęła z ulgą.

– Miło mi słyszeć, że pan się śmieje.

– Czy uważasz, że nie powinienem?

– Nie byłam pewna, czy panu nie przeszkodzę, ale nie mogłam się temu oprzeć. – Podeszła do fortepianu. – Nie wiedziałam, że pan gra.

– O, tak. Mój brat Bennett również, a przynajmniej grał kiedyś. Choć to dziwne, żadna z moich sióstr nie zdradzała skłonności do muzyki. Najwyraźniej ten talent przekazywany jest w rodzinie Gramercy tylko męskim potomkom. – Uśmiechnął się lekko. – To znaczy w naszej linii rodu.

– Nie wie pan, czy... czy Simon Gramercy umiał grać?

– Myślę, że tak. – Lord Drewe wstał z taboretu i gestem zaprosił ją, by na nim też usiadła. – Może zagramy na cztery ręce?

– Bardzo chętnie.

Wybrała prosty utwór – jeden z łatwych duetów, którzy wszyscy początkujący pianiści poznają dzięki nauczycielom. Kate grała go mnóstwo razy ze swoimi uczniami. Zagrała partię tenorową, a lord Drewe szybko zaczął towarzyszyć jej w basowej.

Grał dobrze. Bardzo dobrze. Poznała to już po kilku taktach.

Miał długie, sprawne palce i mógł objąć nimi wiele klawiszy, czego mu pozazdrościła. Ale był nie tylko zręczny, lecz prawdziwie utalentowany – miał wrodzoną muzykalność, której nawet dobry nauczyciel nie jest w stanie przekazać. Rzadko miewała równie sprawnych uczniów, choć niektórzy z nich byli tego bliscy.

Po raz pierwszy od lat uznała, że naprawdę ktoś jej dorównuje.

Było to zachwycające. Czowała, że jego partnerstwo ją uskrzydla. Szybko zaczęła swobodniej kształtować melodię. Podążył za nią, poddając jej niekiedy sugestię w nowy, zaskakujący sposób. Trudno to wyjaśnić komuś, kto nie potrafi grać, ale duet fortepianowy jest rozmową. Rozmawiali więc wzajemnie, dostosowując do siebie tempo i dynamikę. Kończyli swoje frazy, a nawet żartowali ze sobą.

Miał nieskazitelną techniką i powściągliwy styl. Czowała jednak, że kryje się pod tym autentyczne zamiłowanie.

Gdy skończyli duet figlarnym ozdobnikiem i końcowym, zamierającym akordem, spojrzeli na siebie.

– Ano, cóż – odezwał się – to wszystko rozstrzyga. Musisz być naszą krewną.

Serce w niej zamarło.

– Czy udało się panu odkryć coś nowego dzięki poszukiwaniom?

– Jeszcze nie. – Drewe pokręcił głową. – Ale jest tyle innych, pośrednich świadectw. Spędziliśmy z tobą cały tydzień i wszyscy sądzimy, że do nas pasujesz. To – wskazał na fortepian – jest kolejnym dowodem. Moim zdaniem śledztwo należy zakończyć. Chyba sama również to czujesz?

Kate nie czuła jednak niczego pewnego prócz tego, że zaraz się rozplacze. Usiłowała pohamować łzy, ale kilka spłynęło jej po twarzy. Wytarła je wierzchem dłoni.

Dopiero po dłuższej chwili była w stanie mówić.

– Lordzie Drewe, nie wiem, jak mam panu dziękować.

– Zacznijmy od tego, że musisz się do mnie zwracać po

imieniu. Jestem Evan. A żadnych podziękowań mi nie trzeba.

Kate wsunęła stopy pod szlafrok i spojrzała na niego uważnie. Jeśli naprawdę był jej kuzynem, miała prawo troszczyć się o niego.

– Czemu zasiedziałeś się do późna, Evanie?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie. – Uniósł jedną z ciemnych brwi. – Nie wierzę, że powodem był wyłącznie pies.

Kiedy usiłowała coś wyjąkać, machnął tylko ręką.

– W porządku. Nie musisz niczego zmyślać. Cała nasza rodzina jest trochę... nawiedzona. Moja siostra Calista, którą wkrótce poznasz, zawsze najbardziej kochała naturę! Harriet żyje dla teatru, a Lark uwielbia zagadki. Nasz brat Bennett powiedziałby ci zapewne, że jego namiętnością jest występki, ale nigdy jego cele były szlachetniejsze.

– A więc twoja miłość do muzyki...

Pokręcił głową.

– Bardzo lubię muzykę i bardzo często szukam w niej schronienia. Ale nie jest ona tym, co sprawia, bym...

– ...płonął uniesieniem – dokończyła za niego.

– Właśnie – odparł i uśmiechnął się.

– A więc cóż to takiego? – spytała i zaraz tego pożałowała. – Przepraszam. Nie powinnam pytać.

– Owszem, powinnaś, bo jesteś teraz częścią tego czegoś. Moją namiętnością jest rodzina, Kate. Tytuł, który odziedziczyłem, odpowiedzialność za kierowanie kilkoma majątkami. Chcę być dobrym rządcą. Dbać o ludzi pod moją opieką. Chronić moje rodzeństwo przed nim samym.

Patrzył w daleki kąt, Kate zyskała więc sposobność, by mu się przyjrzeć. Dostrzegła nieznaczne zmarszczki w kątach oczu i srebrzyste pasemka wśród ciemnych włosów. A jednak nawet z tymi subtelnymi oznakami upływu lat było mu do twarzy. Harmonizowały ze światowymi manierami, jakby jego ciało odzwierciedlało dojrzałość wewnętrzną. Był przystojnym mężczyzną pod każdym względem i przypuszczała, że lata najlepszego wyglądu ma jeszcze przed sobą.

Przesunął ręką po włosach.

– Kapral Thorne nie lubi mnie.

Zaskoczyła ją nagła zmiana tematu.

– Och, nie wierz temu. Sądząc z pozorów, kapral Thorne nie lubi nikogo. Jest bardzo... powściągliwy.

– Być może. Ale do mnie czuje jakąś szczególną niechęć, i nie bez powodu. Uważa, że powinienem był wiedzieć o twoim istnieniu i próbować cię odnaleźć. Wiem, że ma rację.

– Przecież nie miałeś o niczym pojęcia. Byłeś młodym chłopcem, kiedy odziedziczyłeś tytuł.

– Ale ty byłaś małą dziewczynką, osamotnioną i bez grosza.

– Potarł dłonią skroń. – Jak już się pewnie mogłaś przekonać... gwałtowny temperament jest jedną z moich wad. Nie mam żadnych względów dla tych, którzy wchodzą w drogę naszej rodzinie.

Kate uznała, że to dość ostre stwierdzenie, biorąc choćby pod uwagę jego pięć pojedynków. Gdyby wyszedł z nich nietknięty raz czy drugi, już byłoby to wręcz imponujące, a ich było...

Pięć.

Evan westchnął ciężko.

– To coś, czego kapral Thorne nie docenia. Nikt nie może osądzać mnie surowiej niż ja sam. Mylisz się, Kate, nie będę nikogo wyzywał na pojedynki. Nie było tu wcale złej woli, tylko zaniedbanie. Kiedyś poproszę cię o wybaczenie. Ale nie dzisiejszej nocy.

Kate odważyła się położyć mu dłoń na ramieniu.

– Nie trzeba mi przeprosin. Wierz mi, nie czuję żadnego rozgoryczenia ani urazy, tylko radość i wdzięczność. Jestem szczęśliwa, że nareszcie mam rodzinę.

– Miło mi to słyszeć. – Ujął ją za rękę i spojrzał na nią uważnie. – Czy ci na nim zależy?

– Na kapralu Thorne? – Zawahała się, ale tylko dlatego, że nie znalazła od razu właściwych słów. Odparła instynktownie:

– Zależy mi, i to bardzo.

– Kochasz go?

Było to pytanie, które obawiała się zadać sobie samej. Nie mogła jednak tracić sposobności, by zrzucić ciężar z serca. Evan należał do rodziny.

– Myślę, że mogłabym go pokochać – odparła. – Gdyby mi tylko pozwolił.

Evan zatoczył powoli kciukiem koło na grzbiecie jej dłoni.

– Najwyraźniej masz dzielne i wielkoduszne serce. Wydaje mi się, że mogłabyś pokochać każdego, gdybyś tylko sobie tak postanowiła. Ale zasługujesz na mężczyznę, który mógłby odwzajemnić twoją miłość.

Kate zaśmiała się krótko i nerwowo.

Uścisk jego ręki był ciepły i mocny.

– Chcę się o ciebie zatroszczyć i pragnę, żebyś o tym wiedziała. Jeśli Simon nie zostawił ci nic w majątku, zapewniam, że coś dostaniesz. Staniesz się wtedy kobietą niezależną i zamożną. Kobietą, która może wybierać.

Położył nacisk na ostatnim słowie.

Przełknęła z trudem ślinę.

– Nie musisz tego dla mnie robić. Nigdy nie żywiłam nadziei...

– Ale ja pokładałem w sobie samym pewne nadzieje, Kate. – Oczy błysnęły mu w ciemności. – Moją namiętnością jest ochrona rodziny. A ta namiętność obejmuje teraz i ciebie.

Zamilkli obydwój. Gdy przyglądali się sobie wzajemnie, ciekawość Kate wciąż rosła.

On żywił względem niej namiętność! Aż ją zaczęło mrowić po wewnętrznej stronie łokci. Co to właściwie znaczyło?

– Kapral Thorne jest dobrym człowiekiem – powiedziała.

– Być może. Ale czy to jest najlepszy człowiek dla ciebie? – Spojrzał na ich dłonie, wciąż złączone w uścisku. – Kate, być może nie zdołamy zgromadzić dostatecznych dowodów, by przekonać sąd o twojej tożsamości. Ale to nie jest jedyna droga, bym ci mógł zapewnić rodowe nazwisko.

Spojrzała na niego uważnie mimo mroku. Co on miał na myśli? Z pewnością nie chodziło mu o aluzję do...

Deski podłogi zaskrzypiały. Kate drgnęła gwałtownie.

Evan puścił jej dłoń.

– To tylko pies. Nie obawiaj się.

Poczuła ogromną ulgę. Nie doszło między nimi do niczego niestosownego. A przynajmniej nie sądziła, aby tak było. Potrafiła sobie jednak wyobrazić, jakie wrażenie ta scena mogłaby zrobić na rozplotkowanych mieszkańcach miasteczka. Ależ byłoby gadania w sklepie Sally Bright – panna Taylor z lordem Drewe trzymali się za ręce, choć jest zaręczona z kapralem Thorne'em!

Nikt by jednak tej plotce nie uwierzył, zapewniała się w duchu. Czyżby do takiej jak ona dziewczyny mogło się zalecać dwóch imponujących, władczych mężczyzn? Niemądrze robi, choćby przez chwilę biorąc pod uwagę podobną myśl.

Owinęła się ciasno szlafrokiem, wstała z taboretu i wzięła na ręce Borsuka.

– Lepiej już wróć do siebie – powiedziała. – Proszę cię, nie zasiedź się tu do późna, rozmyślając tęsknie o mnie.

Spojrzał na nią uważnie, z dwuznacznym uśmiechem.

– Niczego nie obiecuję.

Zgodnie z tradycją panującą w Spindle Cove letni jarmark był świętem dla dzieci, lecz przygotowanie zrujnowanego zamku z czasów Normanów do tego radosnego festynu wymagało zapobiegliwości i strategii godnej kampanii wojennej.

Trzeba było ukończyć przygotowania do jego rozlicznych atrakcji, jak muzyka, tańce, poczęstunek, pokazy i powszechna zabawa. Kate była odpowiedzialna za dwa pierwsze punkty z listy, ale pracowała też ciężko nad tym, aby sukcesem zakończyły się i trzy pozostałe.

Przedostatniego ranka obawiała się jednak, że wszystko przepadnie.

Najpierw panna Lorrish przyniosła fatalne wiadomości o dekoracjach. Girlandy nie chciały się trzymać na południowo-wschodniej wieżycze.

Kate osłoniła oczy dłonią i spojrzała na purpurowe festony smętnie zwisające z blanków.

– Poproszę członków straży, żeby wdrapali się tam i umocnili je.

Potem panna Apperton zaczęła lamentować:

– Och, panno Taylor, pękła mi ostatnia dobra struna w lutni.

– Mogę pani pożyczyć moją – zaofiarowała się Kate.

Po godzinie większość zmartwień wydawała się należeć do przeszłości, a dzieci z rodzinami tłumnie zaczęły napływać do zamku z okolicy i z samego miasteczka.

Ale potem zawiodła panna Elliott. Biedna, zdrętwiała ze strachu panna Elliott. Nieszczęsna dziewczyna przybiegła do Kate tuż przed rozpoczęciem przez damy madrygału.

– Nie mogę. – Nawet spod szerokiego ronda kapelusza widać było jej zaczerwienione policzki. – Po prostu nie mogę tego zrobić.

– Nie będzie pani występować solo – uspokajała ją Kate. – Wszystkie zaśpiewamy razem.



– Ale tu jest mnóstwo ludzi. Nie miałam pojęcia, że ich będzie tak wielu. – Głos się jej załamał. – Niech mnie pani nie zmusza.

– Proszę nie płakać. – Kate objęła ją serdecznie. – Oczywiście, że nie będę pani do niczego zmuszać. Ale nie zrezygnuję z tego występu, chyba pani sama rozumie? Po prostu odbędzie się. – Po czym przechyliła głowę, usiłując zajrzeć pod kapelusz panny Elliott. – Głowa do góry! Uśmiechać się! W porządku?

Panna Elliott pociągnęła nosem i usiłowała się uśmiechnąć.

– Oczywiście.

Biedna dziewczyna.

Gdy Kate pomyślała, że mogłaby, nie daj Boże, mieć taką rodzinę jak panna Elliott, uznała, że jej brak może czasem być niesłychanym szczęściem.

Spojrzała ku Gramercym, siedzącym pod baldachimem zarezerwowanym dla honorowych gości. Pośrodku stały dwa przybrane kwiatami trony. Kate poprosiła Evana, aby wystąpił jako ceremonialny król jarmarku, a Dianę Highwood o odegranie roli jego pełnej łask królewskiej żony.

Po tańcach mogła nieco odpocząć, bo rozpoczęły się dziecięce wyścigi w toczeniu obręczy.

Podeszła do baldachimu, chcąc się przekonać, czy ciotce Marmoset jest wygodnie.

Przeszkodziła jej w tym pani Highwood, odciągając ją pospiesznie na bok.

– Czyż nie tworzą razem pięknej pary? Zawsze wiedziałam, że Diana robi lepsze wrażenie niż Minerva. Minerva jest co prawda wicehrabiną, ale Diana zostanie markizą!

– Ależ pani Highwood – syknęła Kate przez zęby – proszę ciszej. Obie siedzą ledwie o kilka kroków stąd.

Pani Highwood ciągnęła jednak dalej, nieustraszona:

– Musiała wpaść w oko lordowi Drewe. No bo dlaczego zatrzymał się na tak długo w naszym miasteczku?

– Udzielam lady Lark lekcji muzyki.

Pani Highwood wybuchnęła śmiechem.

– Och, doprawdy, panno Taylor! Chyba nie spodziewa się pani, by mężczyzna tak przystojny, inteligentny, o świetnych manierach i wspaniałej pozycji mógł tkwić w małym miasteczku tylko z pani powodu? Nigdy w to nie uwierzę.

Kate westchnęła. Nie, nie spodziewała się, by pani Highwood uwierzyła w coś takiego.

Nie spodziewała się, by ktokolwiek w to wierzył.

Dwa dni upłynęły, odkąd zastała Evana grającego na fortepianie w gospodzie Ukwiecony Byk, ale owe dwa dni były wypełnione po brzegi przygotowaniami do dzisiejszego festynu. Nie miała żadnej sposobności, by z nim pomówić.

Wciąż myślała o jego zagadkowych słowach wypowiedzianych tej nocy: „To nie jest jedyna droga, bym ci mógł zapewnić rodowe nazwisko”.

Nigdy w życiu nie marzyła nawet, by jakiś markiz mógł choćby napomknąć o zamiarze poślubienia jej. Pani Highwood nie myliła się, nikt by w to nie uwierzył.

Zresztą jakie to miało znaczenie, skoro Kate była zaręczona z kim innym.

Jej oficjalne zaręczyny, prywatne zainteresowanie i coraz cieplejsze uczucia dotyczyły wyłącznie mężczyzny, który właśnie ukazał się na miejskich błoniach.

Wyścigi z obręczami skończyły się i członkowie straży miejskiej skupili na sobie całą uwagę krótką paradą z karabinami. Gdy ustawiali się do przemarszu, Kate była zachwycona, że ma sposobność ją oglądać. Duma przepęłniła jej serce.

Thorne wyglądał imponująco. Oczywiście miał na sobie swój najlepszy szynel. Uniform był uszyty w ten sposób, by każdy mężczyzna wyglądał w nim na wysokiego i postawnego, ale on był z natury taki i prezentował się w nim po prostu wspaniale.

– Rzecz jasna – ciągnęła pani Highwood – nie musi się pani martwić, panno Taylor. Dla młodej niewiasty w pani sytuacji złapanie na męża kaprała jest doprawdy czymś nie do pogardzenia. Choć uważam, że mogła pani zaręczyć się z porucznikiem. To by

było nawet lepsze.

– Naprawdę?

Kate nie mogła sobie wyobrazić, by jakiś mężczyzna mógł teraz wyglądać na postawniejszego, silniejszego lub bardziej atrakcyjnego niż Thorne. Nie zamieniłaby go nawet na księcia.

Ostatnio wszyscy – pani Highwood, Evan, a nawet sam Thorne – uparcie dawali jej do zrozumienia, że zasługuje na innego mężczyznę. Być może zdrowy rozsądek podpowiadałby jej to samo.

Ale jej serce mówiło co innego, a ona nie mogła tego dłużej ignorować. Coś ich łączyło. Jakaś więź, której po prostu nie mogła zerwać.

Parada straży miejskiej się skończyła, a sir Lewis przygotowywał swój wielki finał z katapultą, przy którym Kate musiała być obecna.

Odeszła od baldachimu i zdjęła błyszczący metalowy hełm z wystawionych na pokaz kompletów średniowiecznych zbroi. Przebiegła przez trawnik i podała go Thorne'owi. Musiała się znaleźć koło niego.

– Proszę to włożyć – powiedziała bez tchu, ale z uśmiechem – na wypadek melonów.

Wziął od niej hełm, ale spiorunował ją wzrokiem.

– Nawet się pan nie uśmiechnie? – spytała, przechylając głowę. – Miałam nadzieję, że jednak pan to zrobi. No cóż, przypuszczam, że ja w takim razie muszę go przymierzyć.

Spojrzał na nią lodowato.

– Nie.

Skrzywiła się, urażona oschłą odprawą. Najwyraźniej wszystko, co zdołała osiągnąć w Wilmington, przepadło z kretesem. Znów jakby się opancerzył, nie dając jej dostępu do siebie.

Chciała go jednak uzyskać.

– Zamierzam zostać tu po festynie, żeby pomóc w sprzątaniu. Musimy porozmawiać ze sobą. W cztery oczy.

– Nie przypuszczam, żebyśmy...

– Musimy porozmawiać. To ważne.

Uznała jego milczenie za niechętną zgodę.

– Panno Taylor!

Kate odwróciła się i ujrzała, że Lark biegnie prosto ku niej niczym kula do gry tocząca się po trawie. Z uśmiechem uściśnęła jej rękę.

– Zabieram ją, kapralu Thorne. Niech pan nawet nie próbuje protestować.

Choć Lark niewiele wiedziała, Kate nie spodziewała się wielkiego oporu ze strony Thorne'a. Najwyraźniej był zresztą rad, że ona musi się od niego na jakiś czas oddalić.

– Co się stało? – spytała, gdy Lark zaciągnęła ją w odległy zakątek ruin.

– Och, Kate! – Lark rozłożyła szeroko ręce i zamknęła ją w serdecznym uścisku. – Umieram wprost z chęci, żeby pomówić z tobą na osobności. To najodpowiedniejszy moment, bo wszyscy przyglądają się teraz katapulcie.

– O co chodzi?

– Ależ o nic. Wszystko układa się wprost idealnie. Evan powiedział mi, że ogłosimy to oficjalnie. Sprowadził tu notariuszów, żeby się spotkali z tobą i załatwili tę sprawę, jak należy. Zamierzamy uznać cię oficjalnie za członka rodziny. – Głos Lark zabrzmiał o cały ton wyżej z podniecenia. – Będziemy kuzynkami! Czy to nie wspaniałe?

– O, tak! – Kate uśmiechnęła się szeroko. – Na pewno.

Lark chwyciła Kate za rękę i okręciła ją wokół siebie.

– Nasze wakacje skończą się wkrótce. Wyjeżdżamy ze Spindle Cove.

– Będzie mi was ogromnie brakowało.

– Niemądra dziewczyno! – Lark ścisnęła ją za rękę. – Przecież pojedziesz z nami do Londynu. Zawsze muszę kupić mnóstwo rzeczy na sezon. O ileż przyjemniej będzie to robić razem z tobą! Harry zupełnie nie zna się na piórach i kapeluszach. No i przypuszczam, że powinnam też trochę poćwiczyć muzykę.

Kate odwróciła głowę, mrugając szybko.

– Czy coś jest nie w porządku, moja droga?

– Nie, ale... – Kate usiłowała się uśmiechnąć – trudno mi w to uwierzyć. Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego wy mnie chcecie?

Lark położyła jej ręce na ramionach.

– Dlatego, że jesteś sobą. No i krewną naszej rodziny. A rodzina to coś, co jest czymś ponad wszystko. – Spojrzała przelotnie na zewnętrzny mur zamku. – Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy właśnie ty nas chcesz. Niewiele za nami przemawia prócz tego, że nie brak nam pieniędzy.

– Nie! – Kate gwałtownie potrząsnęła głową. – Nie. Chciałabym znaleźć się wśród was, gdybyście nawet byli hodowcami świń z wysp Scilly.

Lark wybuchnęła śmiechem.

– Wiesz, Evan przywiązuje ogromną wagę do rolnictwa. Czasami to raczej nudne. Nie martw się o nic. Może będzie trochę plotek, ale nasza rodzina przetrwała niejednen skandal. Gdy ludzie z dobrego towarzystwa zyskają szansę, żeby cię poznać, mogą jedynie zacząć o nas lepiej myśleć.

Kate nie bardzo temu wierzyła. Już samo życie wśród Gramercych zapewniało jej społeczną akceptację. Co zaś do socjety, chciała tylko w niczym się jej nie narazić.

– Och! – krzyknęła Lark. – Jaka jestem głupia, że o tym zapomniałam. Właśnie z tego powodu chciałam dziś z tobą porozmawiać. Evan chce, byśmy trzymali to w tajemnicy jeszcze przez kilka dni. Ale ty, oczywiście, chciałybyś o wszystkim powiedzieć kapralowi Thorne'owi. Teraz, kiedy weszłaś do rodziny, on też się w nią wżeni.

Kate zabrakło nagle tchu.

– Nie pomyślałam wcale o tym.

Do licha. Jeśli jakiś mężczyzna potrzebował akceptacji czyjejś rodziny, to był nim Thorne. Mimo że początek jego znajomości z Evanem nie był budujący, to Gramercy z pewnością zaakceptowałyby też Thorne'a. Po cóż miałyby żyć w zimnej, samotnej chacie na amerykańskim pustkowiu, skoro mógł stać się

częścią takiego grona?

Ale to znaczyło, że musi go poślubić. I być jego żoną aż do końca życia. Niełatwa perspektywa.

– Czy chciałabyś brać ślub w Ambervale? – spytała Lark. – Sądziłam, że tak, skoro twoi rodzice byli tam tak szczęśliwi. Wiesz przecież, że się tam urodziłaś. To twój prawdziwy dom. Prawda, masz pewnie własne plany, ale obiecaj mi, że zastanowisz się nad tym z kapralem Thorne'em.

– Obiecuję – odparła Kate. – Pomyślimy o tym.

– Czy pozwala pani psu tarmosić książki?

– Coś takiego! – Kate uśmiechnęła się. – Kapralu Thorne, chciałam z panem pomówić w cztery oczy, ale nie o wychowaniu Borsuka. Powiedziałam Gramercym, że będę u nich na obiedzie. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Thorne rozejrzał się po szybko pustoszejącym zamku. Jarmark się skończył, nadchodził zmierzch. Wszyscy zeszli do miasteczka napić się czegoś i zjeść coś w Ukwieconym Byku.

Thorne wyciągnął z kieszeni małą zieloną książeczkę i pomachał jej tym tomikiem przed oczami.

– Musiałem mu ją wczoraj wyrwać z zębów, a ona należy do lorda Drewe. – Wskazał jej pogryzioną oprawę. – Teraz jest już do niczego. Nie wiem, co począć.

– Proszę się tym nie przejmować. Lord Drewe ma z pewnością wiele innych książek do czytania.

Thorne prychnął. Całkiem jakby o tym nie wiedział! Fosbury mówił mu, że markiz przywiózł dwie skrzynki książek do miasteczka razem z innymi rzeczami.

Dwie całe skrzynki! Kto może mieć z tylu książek użytek? Ta zagadka irytowała go.

A nie były to nawet przyteczne książki. Spojrzał z niechęcią na zniszczony tomik.

– Co to u diabła jest... – zmrużył oczy i zmarszczył czoło, usiłując odczytać tytuł. – Ary...

Wzięła od niego książkę i spojrzała na grzbiet.

– Arystoteles. To greckie nazwisko.

– Znowu jacyś Grecy? Chyba nie chodzi o któregoś z tych, co się bili o Helenę Trojańską?

– Ten był filozofem – westchnęła. – W tej chwili to nieważne.

– Właśnie że ważne. Trzeba było odebrać tę książkę Borsukowi, żeby jej nie pogryzł.

– Wiem, wiem. Pewnie ją porwał, kiedy nie patrzyłam. – Wzruszyła ramionami. – Możemy ją zastąpić jakąś inną. Evan nie będzie się gniewał.

– Evan? – Thorne uniósł gwałtownie głowę, zaskoczony. Poczul nagły wybuch nieuzasadnionej zazdrości. – To on jest już Evanem?

– Właśnie to chciałam panu powiedzieć. Co za wspaniałe nowiny! Lord Drewe...

Przerwała gwałtownie i zasłoniła dłonią usta.

Wystarczyło mu tylko spojrzeć szybko w dół, żeby zrozumieć, dlaczego to zrobiła. U jej stóp leżał dopiero co zagryziony szczur. Jego bezwłosy ogon wciąż jeszcze drgał.

Pies za to, dumny ze swojej zdobyczy, merdał swoim jak szalony. Różowy język zwisał mu z otwartego pyska.

– Proszę nie krzyczeć – ostrzegł ją półgłosem Thorne, który przykucnął koło psa, głaszcząc go z uznaniem po grzbiecie – i nie karcić go, bo tylko mu pani zamąci w głowie. A zrobił dobrze.

– Dobrze? – jęknęła słabo spoza dłoni osłaniającej usta, wskazując drugą na nieżywego szczura. – To ma być coś dobrego? Chyba właśnie mnie się mąci w głowie!

– Po jarmarku ludzie mnóstwo naśmiecili wokół zamku. Ogryzki jabłek, resztki ciasta. To przyciąga szkodniki. Borsuk zwęszył szczura, złapał go, ale go nie zjadł. Odmówił sobie tej przyjemności. Do tego właśnie go przyzwyczajono. Zasłużył na pochwałę.

– Co mam z tym zrobić? – spytała, wciąż patrząc szeroko otwartymi oczami na nieżywego szczura. – Tylko proszę nie żądać, żebym go wzięła do ręki! Nie zrobię tego! Przecież on dopiero co przestał się ruszać!

– Nie musi pani brać go do ręki, tylko zachować się tak, żeby pies uznał to za najlepszą rzecz, jaką zrobił w swoim krótkim życiu. Odwróci to jego uwagę, a ja wtedy zrzucę to truchło z urwiska.

– Dobrze.

Kiedy czule chwaliła pieska, Thorne wyszukał szufelkę i wyrzucił szczura. Potem otarł ręce, wrócił i ujrzał, że Kate ujęła psią mordkę w obie dłonie.

– Jesteś najbystrzejszym psem w całym hrabstwie Sussex – przemawiała do niego czule. – Wiesz o tym? I najdzielniejszym. Po prostu cię uwielbiam!

Thorne przyglądał się jej bez słowa, zaskoczony. Łatwo jej przychodziły słowa serdecznej zachęty! Łatwiej niż wielu innym kobietom. Sama zresztą zasługiwała na pochwały. Ktoś powinien ująć jej śliczną buzię w dłonie i powiedzieć, że jest bystra, piękna, dzielna, godna uwielbienia.

Tylko że on nie miał do tego talentu. Urodził się bez niego, nigdy go też czegoś takiego nie uczono. Jeśli miłość porównać do muzyki, był całkiem pozbawiony słuchu.

– No i jakie są wspaniałe nowiny od Evana? – spytał.

– Ach, o to chodzi... – Poklepała psa czule, wypuściła go z objęć i wstała. – Lord Drewe powiedział, że rodzina uzna mnie oficjalnie za kuzynkę.

Thorne aż się cały zjeżył. Rzeczywiście, wspaniałe wieści.

– Znaleźli jakieś dowody? – spytał.

Pokręciła głową.

– Nie, ale Evan mówi, że wystarczą te, które już są. Znamię, rejestr parafialny, obraz. A także powiedział, że... ja po prostu do niech pasuję. I że przyjmą mnie do rodziny. Chcą, żebym pojechała z nimi do Londynu, do Ambervale... wszędzie.

Twarz się jej rozjaśniła przy tych słowach. Mówiła dalej, uszczęśliwiona i rozradowana, tylko że już nie w jego zasięgu.

Upomniał siebie samego w duchu, żeby nie być grubiański. Może to i najlepsze wyjście. Gramercy byli co prawda trochę dziwni, ale w końcu nie złowrodzy. Jeśli ją przyjmą jak swoją i nie



będą zgłębiać jej przeszłości... to Katie może czekać nowe, wspaniałe życie. Nigdy nie będzie musiała stanąć twarzą w twarz z okropną prawdą.

Tak będzie dla niej najlepiej. Ale dla niego także. Może teraz jechać do Ameryki i nie martwić się o nią. Zawsze będzie o niej myślał, ale nie musi się już martwić.

– Powinien pan pójść tam ze mną – szepnęła. – Oni tego oczekują.

Pokręcił głową.

– Nie mam już czasu. Mój statek odpływa z Hastings za parę tygodni. Odprowadzę tylko panią aż do...

Nakryła jego dłoń swoją.

– Nie proszę wcale, żeby mnie pan odprowadzał – powiedziała łagodnie – tylko o to, żeby razem ze mną poszedł. I został ze mną. Z rodziną.

Zostać? Z rodziną?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Skoro nie czuje się pani z nimi bezpieczna, to nie trzeba tam wcale iść.

– Czuję się absolutnie bezpieczna. Co innego miałam na myśli – urwała. – Chcę, żeby pan ze mną był. Wiem, że pańskie dzieciństwo... wcale nie było wesołe.

– Rzeczywiście nie było – burknął.

– Może zyska pan teraz możliwość wejścia do kochającej się, chociaż dziwnej rodziny? Nie pragnie pan tego w głębi serca? Choć trochę?

– Nigdy bym nie mógł być częścią tej rodziny.

– Dlaczego?

Odetchnął ciężko.

– Nie zna mnie pani.

Przygryzła wargę.

– Ależ znam. Naprawdę znam, bo znam siebie samą. A ja też byłam osamotniona. – Zbliżyła się do niego o jeden krok, wyjaśniając mu łagodnie: – Wiem, jak samotność ciąży na duszy. Jak potrafi niszczyć serce. Przez całe tygodnie może pan spokojnie

pracować i nie odczuwać przygnębienia, ale nagle widzi się jakiś drobiazg... Na przykład ktoś otwiera list. Albo zeszywa czyjeś podarte ubranie. A wtedy człowiek czuje, że jest zupełnie sam. Że nie ma nikogo.

– Ja nie...

– Proszę mi nie wmawiać, że brak panu uczuć. Że jest pan niezdolny do nich. Wiem, że ma pan wielkie serce.

Najwyraźniej je miał. Ten przekłety organ łomotał wewnątrz niego niczym nieznośny bęben.

– Niechże się pani zastanowi – rzekł surowo. – To bez sensu. Jeśli Gramercy przyjmą panią do rodziny, będzie się pani obracać w całkiem innych kręgach, a może nawet wyjść za dżentelmena.

– Który chciałby mnie poślubić ze względu na koneksje albo pieniądze? Zapewne. Tylko że ja akurat znam mężczyznę, który mnie pragnie. – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Przecie mi pan to mówił.

Jej bliskość sprawiła, że cierpiał katusze. Podobnie jak inne tutejsze damy, zadbała dziś o szykowny wygląd. Suknię koloru lawendy ozdobiły haftowane kwiaty. Wysoki stan uwypuklał piersi niczym dwie poduszeczki obramione złocistą koronką. We włosach miała wstążki i kwiaty dobrane do koloru.

Byłoby to o wiele za łatwe. Znaleźli się sami. Zanadto sami.

– Jasne, że tak – odparł szorstkim tonem. – Tylko o pani myślę przez cały czas. O tym, żeby pani dotykać i robić takie rzeczy, których pani w swojej niewinności nawet sobie nie wyobraża. Nie wiem nic o muzyce ani o Arystotelesie. Jestem do szpiku kości nędznym prostakiem i o tyle niżej od pani stoję, że mógłbym się nawet znajdować po drugiej stronie ziemi.

Policzki jej poczerwieniały.

– Już mówiłam, że wcale tak nie jest.

Do diabła. Jak jej to wytłumaczyć?

– Mam cztery książki. Cztery.

Zaśmiała się lekko.

– A cóż to znaczy?

– Wszystko. Pani życie niedługo się zmieni. Na zawsze. Nie

pozwolę, żeby się pani mnie trzymała. To nie w porządku. To nie jest dobre.

Podeszła do niego jeszcze bliżej.

– Możemy się pobrać, Thorne. Nie żądam za wiele.

Wystarczy, żeby... był pan sobą, a ja spróbuję pana uszczęśliwić.

Wiem, że to wyzwanie, ale bardzo bym chciała spróbować.

– Na litość boską, Katie. Dlaczego?

– Nie umiem tego wyjaśnić. – Spojrzała mu w twarz. – Był pan kiedyś okropnie głodny? Nie chodzi mi o brak jednego czy dwóch posiłków, ale o długą głodówkę.

Zwlekał przez kilka sekund, nim odparł:

– Przez całe tygodnie.

Przez lata.

– W takim razie musi pan to rozumieć. Nawet i dziś jedzenie wydaje się pewnie panu czymś innym niż innym ludziom, prawda? Inaczej smakuje i więcej znaczy. Choć minęły całe lata, nie może pan pozwolić, żeby najmniejsza nawet jego ilość się zmarnowała.

Skinął energicznie głową.

– W takim razie nie pozwólmy, żeby to się teraz zmarnowało – wyszeptła, wyciągając ku niemu rękę. – Nie wiem, co się teraz między nami zacznie dziać, ale ja doświadczałam takiego głodu przez całe życie. Może inne kobiety mogłyby go w sobie pokonać, ale ja nie. Ja nigdy. – Dotknęła jego policzka. – Myślę, że pan też go zna.

Nie miała o tym żadnego pojęcia. W jego sercu nie pozostało nic, co mógłby komuś dać. Było puste, wypalone.

Uśmiechnęła się, szeroko i figlarnie.

– Proszę tylko pomyśleć, co moglibyśmy zyskać. Bylibyśmy dwojgiem niechcianych sierot, biorących szturmem londyńską socjetę! Każda chwila przynosiłaby nam więcej satysfakcji, niż ludzie pokroju Gramercych doznają jej w ciągu całego roku. Czy powie mi pan całkiem szczerze, że nie chce pan spróbować tego życia?

Zostając w Anglii i żyjąc z łaski lorda Drewe? Wytrzymywać niezliczone bale, obiady i polowania? Czuć się zawsze jak intruz,

wiedząc, że ona zasługuje na kogoś dużo lepszego? Nie mógłby jej nawet wspierać jak prawdziwy mężczyzna.

Zajrzał jej w oczy.

– Nie chcę próbować takiego życia. Już czas, żeby pani zerwała zaręczyny.

Jej śliczne, orzechowe oczy spojrzały na niego z czułością.

– Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę – odparła. – Nie pozwolę panu odejść.

*Pocałuj mnie, prosila go bez słów.*

Błagam. Przecież ci oddałam serce. Pocałuj mnie, bo umrę z rozczarowania.

Wiedziała, że go to kusilo. Wpatrywał się w jej usta tak natarczywie, że mogła niemal odczuwać miękkość, siłę i żar jego warg. Jej własne nabrzmiały w odpowiedzi. Mogła już sobie wyobrazić cały pocałunek. Ona będzie go zapraszać, uległa, chętna. A on będzie ją całował tak gwałtownie, by doznała przyływu podniecenia. Przyłgnie wtedy do niego, a jego wielkie dłonie zaczną wędrować po całym jej ciele. Pocałunek będzie z początku szaleńczy, potem zaś zmieni się w powolny, błogi.

– Thorne.

Pochwyciła jego spojrzenie. Źrenice miał tak rozszerzone, że oczy wydawały się niemal czarne. Mimo to błękit cienkiego rąbka jego tęczówki był tak intensywny i przenikliwy, że wręcz czuła, jak ją do głębi przenika.

Nagle zdała sobie gwałtownie sprawę, że w jej wyobraźni był to tylko pocałunek, natomiast w jego własnej robili coś o wiele bardziej intymnego. Bardziej zwierzęcego i w znacznie większym neglizju.

Ta myśl ją rozpaliła. Choć nie była kobietą doświadczoną, wiedziała jednak dość, by się zorientować, jaką siłą rozporządza w tej sytuacji. Mógł nie dbać o rodzinę, dostatek, koneksje. Ale czy zdołałby odrzucić tę siłę?

Pochyliła się ku niemu, tak że dwa ich policzki zetknęły się ze sobą. Było to tylko zetknięcie dwóch naskórków, ale niepodobne do niczego, co kiedykolwiek czuła.

– Czy... – usiłowała go spytać – ...czy zawsze jest tak jak teraz? Z twoimi innymi kobietami?

Pokręcił z wolna głową. Gdy jego zarost otarł się o jej podbródek, poczuła, że ogarnia ją szaleństwo. Ale nie poprzestała

na tym.

– Nie? – przynagliła go. Musiała usłyszeć, co teraz powie. Musiała usłyszeć, że mówi cokolwiek. Jego głos mógł w nią zapaść głęboko.

Wreszcie usłyszała tę odpowiedź.

– Nie.

Mroczna, przeszywająca sylaba wydyszana jej gorącym szeptem w samo ucho, przeszła ją do głębi.

– No i co? – spytała, oddychając ciężko. – Co teraz zrobimy?

Jęknął głucho i cały zadrżał, a ona podejrzewała, że w myśli sporządza cały katalog rzeczy, które pragnąłby w tej sytuacji robić. Jakiś rodzaj książeczki ćwiczeń miłosnych z wszelkimi możliwymi manewrami jasno określonymi. Nie знаła co prawda dokładnie jej zawartości, ale gotowa była i chciała się tego nauczyć.

Bezwstydnie objęła go za szyję i przyciągnęła ku sobie, by móc pocałować go w ucho.

Westchnął.

– Nie mogę dać ci tego, czego potrzebujesz.

– Och, myślę, że możesz. – Uchwyciła koniuszek jego ucha zębami i zaczęła się nim bawić.

Z głuchym pomrukiem się poddał. Pochylił głowę, a jego silne wargi musnęły jej puls.

– Sama nie widzisz, jaka jesteś – powiedział. – Kiedy przestajesz z Gramercymi, to jakby płomień się w tobie budził – mówił, całując ją wzdłuż szyi. – A kiedy jesteś ze mną, nic w tobie nie płonie.

Przywarła do niego.

– Ależ płonie! Nigdy jeszcze czegoś takiego nie czułam. Nawet nie wiedziałam, że chcę to w ten sposób odczuwać.

Rozwiązała mu halsztuk, ucałowała mroczne wgłębienie u podstawy szyi i wciągnęła w nozdrza jego zapach. Chrapliwy oddech Thorne'a wzbudził w niej nadzieję.

Docierała do niego. Przebijała się przez kolejne warstwy jego pancerza.

Najpierw musiała porozpinać guziki. Mocowała się z

najwyższym drżącymi palcami.

– Mówiłeś, że się boję – powiedziała – i rzeczywiście czuję lęk. Ale nie taki, jak myślisz. Jestem przerażona tym, że się z tobą rozmijam i że mogę potem przeżyć całe życie bez tego czegoś.

Odważyła się spojrzeć na niego błagalnie. Prosząc, by uległ jej, by zrobił cokolwiek, nim będzie zmuszona podrzeć na sobie stanik i powiedzieć coś krańcowo żenującego, na przykład „uczyn mnie kobietą”.

– Czujesz tylko pożądanie – powiedział surowo, z dezaprobatą. – I ciekawość. Gdybym postąpił zgodnie z twoimi chęciami, pogardziłabyś mną potem.

– Nigdy bym tobą nie mogła gardzić.

– Owszem, mogłabyś. Robiłaś to cały rok.

Zakłęła pod nosem. Czy musiał jej to wytknąć?

– Byłam głupia. Nie znałam cię dobrze. Nie znałam własnego serca.

Spojrzał na nią gniewnie.

– Co ci każe myśleć, że znasz je teraz?

– Nie wiem – przyznała szczerze. – Nie wiem. Ale dziś po południu Lark Gramercy przyszła do mnie i zaofiarowała mi coś, czego chyba pragnęłam od zawsze. Rodzinę. Dom. Bezpieczeństwo, przyjaźń, więzi towarzyskie. Zamożność większą niż mogłam o tym marzyć. A wtedy zrozumiałam, że to nie wszystko. Albo jestem najbardziej zachłanną i niewdzięczną kobietą w Anglii, albo...

Boże, czyżby to była prawda?

Serce mówiło jej, że tak. Nic innego nie miało sensu.

– Thorne, ja się chyba w tobie zakochałam.

– Katie. – Ujął jej twarz w ręce. Szorstkim ruchem i z taką siłą, że aż zadrżała. Między brwiami uformowała mu się głęboka zmarszczka. – Katie, ty jesteś taka...

Ciekawa była, jaki pełen niechęci epitet wybierze tym razem. Przewrotna? Niemądra? Uparta?

Najwyraźniej chodziło mu o to, że pragnął ją pocałować.

Dał spokój słowom i zamiast mówić, zrobił to z

namiętnością, o jakiej nie śmiała nawet marzyć. Jedną z jego dłoni ześlizgnęła się wzdłuż jej pleców po jedwabiu sukni, aż dotarła do podstawy kręgosłupa. Ale nie zatrzymał się tam. Sięgnął niżej. Rozczapierzył palce i ujął w dłoń całą jej pośladek, a potem uniósł go i ścisnął. Przeniknęła ją rozkosz. Jęknęła podczas pocałunku i objęła go za szyję tak mocno, że z pewnością jej paznokcie musiały zostawić na niej ślad, ale on nie zwracał na to wcale uwagi.

Całował ją zachłannie, rozchylając szeroko jej usta i biorąc w siebie jej rozpaczliwe jęki błogości. Wyginała się pod nim i przywierała do niego, chcąc odczuć to, co jawnie dowodziło jego pożądania. Jego przyrodzenie pulsowało tuż przy niej. Pragnęła odczuć je tam, gdzie było jego miejsce – w sobie. Gdy się całowali, otoczyła jedną z nóg jego łydkę w wysokim bucie i schwyciła go kurczowo za ramiona, unosząc się ku niemu coraz wyżej... i bliżej...

Do diabła!

Borsuk wypłoszył ich z rajy, gdy znaleźli się niemal u jego bram. Zaczął zaciekłe ujadać o kilka jardów od nich.

– Nie zwracaj na niego uwagi – mruknęła i próbowała nakłonić go znów do pocałunku, chwytając ustami jego dolną wargę. – Poradzi sobie.

– Poradzi sobie – powtórzył jak echo. – To pewnie kolejny szczur.

– Tak.

Tak.

Jego ręka zsunęła się po krągłościach jej ciała, krótko i cudownie ściskając jej pośladek, nim zaczęła pieścić jej udo. Chwycił całą garścią za suknię, przyciągając Kate do siebie właśnie tak blisko, jak pragnęła, i odsłaniając kostki jej nóg, tak że owionęło je chłodne wieczorne powietrze.

Jedną dłoń wsunął głęboko pod suknię i halkę, obejmując udo mocnym uściskiem. Dotyk jego szorstkiej dłoni na obciążonej pończochą nodze był czymś oszałamiającym. Zapragnęła go jeszcze mocniej, gdy dłoń skierowała się wyżej.



Ponad krawędź podwiązki, ponad wrażliwą skórę wewnętrznej powierzchni uda i...

...dotarła tam.

Zdumiało ją, jak łatwo przyznał sobie prawo sięgnięcia ku jej najintymniejszym, niedotykalnym miejscom i jak mało odczuła przy tym zażenowania. Czubki jego palców przesuwają się łatwo po nabrzmiałym ciele.

– Jakie wilgotne – mruknął.

Te słowa zaszokowały ją. Chciała usłyszeć ich więcej.

Zamarł bez ruchu, wsparty czołem o jej skroń. Włosy unosiły się jej od jego oddechu, gdy sunął palcem wzdłuż tego najskrytszego miejsca, głaszcząc je powolnymi, kuszącymi ruchami.

– Wilgotne... dla mnie? – wyszeptał. Schrypnięty głos poruszył ją głęboko.

Ucałowała go w podbródek.

– Dla ciebie, tylko dla ciebie.

Odwzajemnił się jej czymś równie śmiałym. Zręcznym ruchem wsunął wielki, chropowaty palec do środka.

Wyrwał się jej nagły okrzyk radości.

– Cicho! – uspokajał ją. – Cicho, nie chcę posuwać się za daleko. Pozwól mi tylko, żebym ci sprawił ulgę. – Dotknął delikatnie jej ucha i szyi, gdy wsuwał się coraz głębiej. – Poczujesz się potem lepiej. Na razie to wystarczy.

Wystarczy? Skądże. Nigdy nie czuła tak niebywałego, zmysłowego odprężenia i rozpaczliwego pragnienia, by doznać go jeszcze więcej. Pocałował ją łapczywie, a ich jęk rozległ się jednocześnie, gdy uchwycił ją tam zręczną, przemyślną ręką. Język i palce zagłębiły się w nią w jednym rytmie, stopniowo sięgając coraz głębiej delikatnymi, lecz nieustępliwymi ruchami. Schwyciła go kurczowo za ramiona, kołysząc się w rytmie kolejnych fal przewrotnej rozkoszy.

Tak. Och, tak. Pragnęła, by znalazł się wewnątrz niej. Żeby się obydwójce złączyli. Nigdy nie byłoby jej tego dość. Zawsze pragnęłyby coraz więcej i więcej.

Więcej.

Jego dłonie znieruchomiały.

Kate z trudem zaczerpnęła tchu. Czy coś się stało?

Najwyraźniej. Cofnął rękę, pozwalając jej sukni opaść w dół, a jej oszołomiony umysł zrozumiał w końcu dlaczego.

To znów był Borsuk. Ujadał jeszcze głośniejsze. Jeszcze więcej robił harmidru. Coraz bardziej wszystko niweczył.

Do licha.

Thorne zaklął z cicha i rozejrzał się za psem.

– Zobaczył coś.

– Pewnie znów szczura.

– Może.

Pies wcisnął się w kąta ruin zamku, warcząc i jazgocząc nieustannie.

– Może to coś innego. – Thorne puścił ją z westchnieniem dowodzącym jawnego żalu.

– To niepodobne do niego, żeby tak się zachowywał.

A więc odpowiednia chwila przeminęła.

Thorne poszedł pospiesznie w stronę psa. Kate, zrezygnowana, zebrała suknię i pobiegła za nim.

Okrzyżyli narożnik zrujnowanego muru z piaskowca.

Borsuk zapędził swoją zdobycz w mroczną wnękę i pilnował jej, warcząc na coś, co osaczył.

– Nie widzę tu żadnego szczura – powiedziała Kate, podchodząc bliżej. – Może to tylko mysz polna?

Zbliżyła się do psa jeszcze bardziej, chcąc przyjrzeć się temu uważnie.

Thorne schwycił ją nagle za ramię i odciągnął w tył.

– Stój!

Zamarła w miejscu. Kiedy mówił takim tonem, był to rozkaz, którego musiała usłuchać.

A potem zrozumiała w jednej chwili, czemu tak zrobił. Borsuk zapędził do kąta nie szczura czy mysz polną, ale żmiję. Długa i gruba, zwinięta w ósemkę, przeżyła się w kępie trawy ledwie o jard od jej pantofli. Wysunęła cienki język, a jej syk

sprawił, że dreszcz przebiegł Kate po plecach.

Szczeniak – dzielny, ale niemądry – zaparł się czterema łapami w ziemię, wciąż zawzięcie szczekając, gotów rzucić się na gada.

Łatwo mogła sobie wyobrazić, co się teraz stanie. Zmija wpelzła w kąt bez wyjścia i na pewno – Kate miała świadomość tego, co ona teraz czuje – rozumiała, że jedyną możliwością ucieczki zapewni jej atak.

– Och, ona go ukąsi! – Kate usiłowała uwolnić się z uścisku Thorne’a. – Borsuk, nie! Zostaw to paskudztwo!

Sięgała już po niego, gdy Thorne odciągnął ją w tył.

– Ani słowa! – syknął. – Ja to zrobię. Nie ruszaj się! – Puścił jej ramię. Kate kurczowo zacisnęła pięści, chcąc zachować spokój. Paznokcie wpiły się jej w dłonie.

Thorne rozstawił mocno nogi na porośniętym trawą gruncie, a potem, jednym przeraźliwie powolnym ruchem, wyciągnął prawą rękę, rozczapierzając palce. Gdy się nachylił, całym swoim stwardniałym udem przylgnął do jej nogi. Czowała hamowaną, lecz potężną siłę w każdym, najdrobniejszym nawet jego ruchu.

Jeszcze trochę, jeszcze tylko kilka cali, a Thorne zdoła chwycić szczeniaka za kark i uratować go, unosząc do góry.

Och, szybciej, szybciej! – błagała go w myśli, choć rozumiała, że nagły ruch wywołałby katastrofę.

Thorne zamarł nieruchomo. Jego wyciągnięte prawe ramię nawet nie drgnęło. Wyczuwała energię napiętych mięśni tak wyraźnie, że zjeżyły się jej włosy na karku. Całkiem jakby zaraz miał gdzieś w pobliżu huknąć piorun.

Wtedy gad śmignął jak błyskawica.

Thorne rzucił się do przodu, wyciągając ramię – i schwytał go.

W kilka sekund było po wszystkim. Gdy Thorne trzymał już zmiję w garści, przeżyła się wciąż cała, miotając ciałem, ale chwilę później jak zwinięty w kłębek brudnoszary sznur padła bezwładnie na ziemię.

Borsuk wciąż jeszcze szczekał.

Kate padła na kolana i porwała psa na ręce, tuląc go do siebie i okrywając pocałunkami.

– Czemu to zrobiłaś? – spytała Thorne’a. – Przecież wystarczyło sięgnąć po psa i odciągnąć go na bok.

Pokręcił głową.

– Nie. Właśnie wtedy by zaatakowała – odparł. – Gdybym tylko schwycił Borsuka, wbiłaby ci zęby w kostkę u nogi, zamiast w niego.

Dobry Boże! A więc on nawet nie miał zamiaru ratować Borsuka, wolał schwycić żmiję gołą ręką, niż ryzykować, że gad ją ugryzie. Co za śmiałość i odwaga!

– Czy to było konieczne?

Thorne wsparł się o kamienny mur, kiwając zwieszoną dłonią to w jedną, to w drugą stronę.

– Miałem nadzieję, że szczęście mi dopisze.

Serce w niej zamarło.

– Co miałeś na myśli? Ugryzła cię?

Gdy nie odpowiadał, puściła Borsuka i zerwała się na nogi.

– Daj mi zobaczyć. – Sięgnęła szybko ku jego ręce. Nie stawiał oporu, gdy unosiła jego wielką i szorstką dłoń ku światłu, chcąc ją dokładnie obejrzeć.

– Och, nie!

Dwa okrągłe, małe punkciki widniały tuż przy nadgarstku. Ciało wokół nich zaczynało już sinieć i puchnąć.

– Musimy natychmiast pójść do twojej kwatery. Czy masz apteczkę pierwszej pomocy? Ranę trzeba zaraz opatrzyć!

– To nic wielkiego.

– Nic wielkiego? Ugryzienie przez żmiję?

Wzruszył ramionami.

– Przecież chodzi tylko o małą rankę.

– Ale pełną jadu!

Podwinęła mu rękaw i pociągnęła go w stronę zamku.

– Trzeba czegoś więcej, żeby mnie zmogło, niż paru kropli jadu.

Mimo to pozwolił się zaprowadzić do kwatery w kącie

strażnicy. Gdy pchnął drzwi lewą ręką, spostrzegła, że krok miał niepewny i potknął się o nie.

– Czy kręci ci się w głowie?

– Ech... nie. Tylko się... potknąłem.

Ale nie ruszył z miejsca, wsparty całym ciałem o drzwi.

Oczy miał półprzytomne.

– Pozwól, niech spoczne przez chwilę.

Dobre sobie! Przez chwilę! Ramię tak mu spuchło, że nie chciała czekać ani sekundy.

Znalazła pod niewielkim stołem taboret i pchnęła go energicznie pod ścianę.

– Usiądź! – zażądała. Mógł sobie być potężnym, onieśmielającym oficerem piechoty, nawykłym do tego, by kazać innym maszerować, ładować broń i strzelać na jego komendę – ale teraz nie mógł się przeciwstawić jej rozkazom. Chwyciła go za zdrowe ramię i pociągnęła za nie najsilniej, jak tylko mogła.

Uff. Ledwie drgnął. O Boże, jakież z niego był potężny mężczyzna – muskularny i w ciężkich butach. Niemały kawał chłopca, jak mógłby o sobie powiedzieć.

– Nic mi nie jest – zaprotestował.

– Obawiam się, że jest. Rób, co ci każę.

Zdołała go nakłonić, by usiadł, i upewniła się, że siedzi mocno wsparty plecami o ścianę. Borsuk podbiegł ku niemu, obwąchał mu buty i zaskomlał.

Gdy Thorne bezpiecznie siedział, zabrała się do jego szynela z czerwonej wełny.

– Przepraszam, ale muszę go zdjąć.

Zaczęła od rękawa na zranionej prawej ręce, ostrożnie ściągając go w dół, póki nie zdołała jej odsłonić. Podłożyła mu dłoń pod ramię, żeby łatwiej mógł je wydostać. Dreszcz wstrząsnął jego mięśniami, jakby Thorne dopiero teraz przyznawał, że stawiał czoło niebezpieczeństwu. Kate również zadrżała, jakby w odpowiedzi na ten odruch.

Oparła o stół zraniony nadgarstek, chcąc się mu dokładnie przyjrzeć. Thorne przekręcił się na bok i ściągnął szynel z drugiej

ręki. Czerwony kabat osunął się i spadł na podłogę.

Thorne spojrział na zrzucony mundur z żalem. Wiedziała, że musi mu sprawiać przykrość uniform leżący niechlujnie na ziemi. Nie schylił się jednak, żeby go podnieść.

– Chyba coś ze mną nie tak – przyznał.

Puls mu gwałtownie przyspieszył. Jeśli sam stwierdził, że marnie się czuje, musiało być z nim bardzo źle.

Na stole leżał nóż z ząbkowanym ostrzem. Sięgnęła po niego.

– Nie ruszaj się teraz – uprzedziła go.

Niezręcznie manewrując ostrzem, rozcięła rękaw lnianej koszuli aż do samego łokcia. Wąskie, krwawe smugi ciągnęły się od ukąszonego miejsca aż do połowy muskularnego ramienia. Mogła je dostrzec nawet pod porastającymi rękę czarnymi włosami. Potrzebowała opaski uciskowej.

Gdy uniosła głowę, żeby spytać, gdzie ona może być, spostrzegła, że cały zbladł. Cienka warstwa potu pokryła mu ciało, oddech stał się urywany. Rozwiązała drżącymi rękami jego halsztuk. Przechylił głowę, żeby jej to ułatwić. Gdy dotknęła świeżo wygolonego gardła, wyczuła puls tętniący gwałtownie poniżej podbródka, jakby motyl trzepotał skrzydłami pod jego skórą.

Grdyka mu się poruszała.

– Rozbierasz mnie? – spytał głuchym głosem.

– Nie obejdzie się bez tego.

– Ja się tam nie skarżę.

Kiedy zdjęła halsztuk, złożyła go wpół i okręciła mu nim ramię tuż poniżej łokcia. Przytrzymała jeden koniec płótna zębami, a za drugi pociągnęła oburącz. Stęknął słabo z bólu. Gdy zdołała w końcu założyć opaskę, dyszała z wysiłku i spływała potem tak samo jak on.

– Gdzie twoja apteczka pierwszej pomocy? – spytała, rozglądając się po pokoju.

Wskazał jej wzrokiem sfatygowane drewniane pudełko na wysokiej półce.

Kate podbiegła do niej. Musiała wspiąć się na palce, żeby go

dosięgnąć.

Kiedy z nim wracała, o mało go nie upuściła. Zobaczyła, że Thorne trzyma w lewej ręce nóż. Zmarszczył spocone czoło z wysiłku, a potem wbił ząbkowane ostrze w spuchniętą i zaognioną skórę nadgarstka.

– Och, nie...

Thorne skrzywił się cały i machnął po raz wtóry nożem. Jęknął z bólu przez zaciśnięte zęby, ale dłoń mu się nie zatrzęsła. Nim zdążyła przy nim stanąć, obrócił nóż pod innym kątem i znów ciał nim na ukos po rękę. Ze skrzyżowanych nacięć trysnęła obficie krew.

Thorne upuścił nóż na stół i wsparł się o ścianę, dysząc ciężko.

– Czemu to zrobiłeś? – spytała, stawiając pudełko na stole.

– Żebyś nie musiała tego robić ty.

Kate była mu wdzięczna. Wiedziała, że postąpił we właściwy sposób. Trzeba było uwolnić spuchnięte ciało od jadu, puszczając krew, żeby nie zdołał przeniknąć dalej. Ale na widok mnóstwa krwi stanęła bez ruchu, jakby jej nogi wrosły w ziemię. Raz czy dwa pomagała Susannie przy leczeniu chorób i ran mieszkańców miasteczka, lecz wówczas asystowała tylko zręcznej, znającej się na rzeczy kobiecie. A tu było jedynie ich dwoje, jednakowo osamotnionych i przerażonych.

Thorne mógł umrzeć.

Poczuła falę mdłości. Zdusiła ją w sobie, przykładając dłoń do żołądka i siląc się na spokój.

Otworzyła pudełko i znalazła w nim starannie złożoną gazę. Starła nią krew z płynącej rany.

– Nie opatruj jej – powiedział. – Jeszcze nie w tej chwili.

– Wiem. – Kiwnęła głową. – Co teraz?

– Wróć do miasteczka. Albo wyżyję, albo nie.

Słowa te zabrzmiały tak absurdalnie, że parsknęła śmiechem.

– Czy ty masz dobrze w głowie? Nie zostawię cię.

Przeszukała buteleczki i słoiczki w pudełku, usiłując odcyfrować wyblakłe etykiety. Żadna nie wyglądała znajomo.

– Mówiłeś, że masz cztery książki. Czy któraś traktuje o medycynie?

Wskazał na półkę. Kate znalazła na niej wyświechtany zbiór ćwiczeń wojskowych, zakurzoną Biblię i sporo pism geograficznych.

– Aha, to ta. – Schwyciła opasły, czarny tom i spojrzała na tytuł. *Leczenie chorób...* jej nadzieje rozwiały się, gdy odczytała cały na głos: *Leczenie chorób koni i bydła*. – Thorne, to jest książka dla weterynarzy!

– Mówiono mi nieraz, że ze mnie bydlę.

Zamknął oczy.

Kate uznała, że nie należy przejmować się szczegółami. Szybko wertowała strony, póki nie natrafiła na ustęp o ukąszeniach i uządleniach.

– O jest. Ukąszenie przez żmiję. „Rzadko się zdarza, aby było śmiertelne”. No cóż, to brzmi uspokajająco.

Czułaby się jednak dużo lepiej, gdyby tam napisano: „ukąszenie przez żmiję nigdy nie bywa śmiertelne”. Słowa, że jest ono „rzadko śmiertelne”, brzmiały całkiem podobnie jak „nieraz bywa śmiertelne”, a Thorne nie mógł się spodziewać, aby stanowił wyjątek od reguły.

Był jednak potężnej postury, choć musiała przypomnieć o tym samej sobie. No i młody, zdrowy, mocny. Bardzo mocny.

Książka mówiła też o możliwych do użycia lekach.

Przeczytała głośno:

– „Najpierw trzeba krew puścić”. – No, to już zostało zrobione. W porządku. – Niecierpliwym ruchem odgarnęła z twarzy pasmo włosów i czytała dalej. – „Weź garść przytulicy, co nieco gencjany i ruty, ugotuj z tego wywar z hiszpańskim pieprzem i pędami szczodrzeńca, a kiedy będzie gotów, odcedź go. Potem gotuj to po raz wtóry, dodawszy białego wina, przez jakąś godzinę”. Przez jakąś godzinę! – jęknęła.

A niech to lichy. Nie miała czasu, żeby szukać mnóstwa różnych ziół i w dodatku gotować je przez godzinę. Nie ośmieliłaby się nawet zostawić Thorne’a samego na tak długo, by



pobiec do miasteczka po pomoc.

Znów spojrzała na niego. Boże, jaki był blady. A ramię mu już całe spuchło. Mimo opaski czerwone smugi sięgały znacznie ponad łokieć. Na palcach pojawiły się gdzieś tam czerwone plamy.

– Tylko spokojnie – powiedziała, choć głosem znacznie wyższym niż zwykle. – Jest jeszcze kilka innych przepisów.

Wróciła do przeglądania książki. Kolejny przepis mówił: „obmyj ukąszone miejsce słoną wodą i...”

Uryną.

Och, Boże. Przynajmniej ta substancja nie była trudna do uzyskania, ale... nie zrobiłaby tego za nic. Albo może zrobiłaby, gdyby miało to komuś uratować życie. Tylko że nie potrafiłaby już potem na tego uratowanego człowieka spojrzeć.

Zanosila w duchu modły, by następny lek mógł uratować zarówno jego życie, jak i godność ich obydwójga. Przeczytała na głos z pośpiechem:

– „Nałóż na rzezone miejsce balsamu uczynionego z miętki, terpentyny i wosku żółtego. Daj też zwierzęciu do picia co nieco miętki parzonej na kształt herbaty albo rozczynionej mlekiem”.

Kate zajrzała znów do pudełka, szperając wśród buteleczek. Odkorkowała jedną z nich. Było w niej jakieś suszone ziele o obiecującym wyglądem. Gdy przytknęła ją do nosa, uznała, że nie może to być nic innego, jak tylko miętka.

Rozejrzała się po pokoju. Trzeba było zrobić mnóstwo rzeczy. Rozpalić ogień, zagotować wodę, stopić wosk, sporządzić balsam, zaparzyć herbatę. A tymczasem Thorne chwiał się niebezpiecznie na taborecie, gdzie go posadziła. W każdej chwili mógł się osunąć na stolik, a potem runąć na podłogę.

Uznała, że z jego rany uszło już dostatecznie dużo krwi. Opuchlizna spowolniła w każdym razie jej upływ. Owinęła mu nadgarstek kawałkiem lnianego płótna jak luźnym bandażem, a potem podeszła do niego od strony zdrowej ręki.

– Unieś się – zażądała, wsuwając pod nią ramię. – Zabieram cię do łóżka.

Gdy pomagała mu się podnieść, poczuła na sobie jego spojrzenie. Ciężkie i uważne.

– Czy sprawiłam ci ból?

– Zawsze to robisz. Za każdym razem, kiedy się do mnie zbliżysz.

Odwróciła się, żeby ukryć wyraz twarzy.

– Przepraszam.

– Nie to miałem na myśli. – Wyglądał jak pijany. Zdrową ręką uniósł jej podbródek w ten sposób, żeby twarzą była skierowana do niego. – Jesteś za piękna. Właśnie to mi sprawia ból.

Niesłychane. Miał chyba przywidzenia.

Dotarła jakoś do wysokiego łóżka. Stało ledwie kilka stóp dalej, ale wydawało się jej odległe o całe mile. Ugięła się pod przeraźliwym ciężarem Thorne'a.

Wreszcie dobrnęła do skraju materaca. Obróciła jego ciało w taki sposób, żeby mógł usiąść na brzegu łóżka, gdy ona cofnie podtrzymujące go ręce. Opadł na plecy. Nie musiała go wcale do tego zachęcać.

No, dobrze. Ramiona i tułów miała już z głowy. Teraz trzeba było położyć na materacu jego nogi.

– Dziwnie się czuję – mruknął sennie. – Jakbym był cały ciężki.

– No, bo jesteś – mruknęła, wysilając się, żeby unieść jedną nogę w grubym bucie z podłogi i umieścić ją na łóżku. Kiedy znalazła się już tam, gdzie trzeba, z drugą poszło jej łatwiej. Borsuk wskoczył na łóżko i zwinął się w kłębek między nimi.

Nachyliła się, żeby podłożyć choremu poduszkę pod głowę.

– Mógłbym ci jak nic zajrzeć w stanik – wymamrotał.

Przebiegł ją dreszcz.

– Doprawdy, Thorne. Nie czas teraz na to.

Położyła mu dłoń na czole. Niemal parzyło przy dotknięciu.

– Masz gorączkę. Muszę ściągnąć z ciebie resztę koszuli, żebyś ochłonął i mógł łatwiej oddychać.

Ujęła nóż, wytarła go z krwi i nacięła nim koszulę u samej

szy. Potem rozdarła ją na dwoje i ściągnęła po kolei każdą połowę obydwoma rękami, a na końcu zdjęła rękaw ze zdrowej ręki.

Gdy obnażyła mu pierś, znieruchomiała ze zdumienia. Nie zauważył tego, a ona nie wiedziała, czy jego zamroczenie jest złym, czy dobrym znakiem.

Skoro jednak nie reagował... przyjrzała mu się uważnie. Pierś miał twardą, mięśnie pokryte śniadą skórą. Dostrzegła rosnące na niej tu i ówdzie ciemne włosy, kilka zabliznionych już ran i...

Tatuaze. Mnóstwo tatuazy.

Słyszała o nich. Wiedziała, że wielu marynarzy ma na skórze rysunki wytatuowane tuszem, ale nigdy ich na własne oczy nie oglądała, zresztą nie miałaby na to ochoty. A już na pewno nie widziała ich z tak bliska.

Nie wszystkie były ornamentami lub obrazkami. Różne abstrakcyjne motywy znajdowały się na górnej części piersi. Otaczały medalion niewiele mniejszy od jej dłoni. Na barku widniał nieduży, niezdarny rysunek kwiatu dość podobnego do róży Tudorów. Rząd cyfr ciągnął się po wewnętrznej stronie lewego ramienia. Z boku żeber dojrzała litery B i C.

Litery były ogromnie prymitywne i zarazem ogromnie frapujące. Nie mogła się powstrzymać przejechania po nich palcem, zastanawiając się, co oznaczały. Może to inicjały jakiejś poprzedniej ukochanej? Wiedziała, że miał kochanki, ale nie mogła go sobie wyobrazić z kobietą. Wydawało się jej to absurdalne. Prawie tak samo, jak ukłucie zazdrości, które w sobie poczuła.

Gdy tylko jednak dotknęła jego rozpalonej skóry, przypomniała sobie, że stoi przed nią niełatwe zadanie. Utrzymania tego potężnego, upartego, wytatuowanego mężczyzny przy życiu.

Usiłowała wstać z łóżka, ale jego zdrowe ramię zamknęło ją nagle w uścisku. Wciąż jeszcze miał widocznie w sobie sporo siły i posłużył się nią, żeby ją przy sobie zatrzymać.

– O co ci chodzi? – spytała.

– Tak pięknie pachniesz. – Oczy miał zamknięte, ale

powiedział powoli, z wysiłkiem. – Jak koniczyna.

Poczuła, że coś ją dławi w gardle.

– Nawet nie wiem, jak ona pachnie.

– W takim razie powinnaś się w niej dobrze wytarzać.

Zaśmiała się niepewnie. Jeśli mógł żartować, nie było z nim chyba całkiem źle.

Lecz nagle jego uścisk osłabł, oczy uciekły mu w tył głowy i osunął się raptownie w dół. Podłożyła pod niego ręce, ale musiała użyć całej siły, żeby uchronić go przed wypadnięciem z łóżka.

Był bezwładny i ciężko dyszał. Odszukał ręką jej rozpuszczone włosy. Wsunął w nie dłoń.

– Kate, ja umieram.

– Nie umierasz. Ukąszenie żmii rzadko bywa śmiertelne. Tak mówi twoja książka. Ale muszę sporządzić balsam i zaparzyć herbatę.

Trzymał ją jednak mocno i nie mogła się ruszyć.

– Umieram. Nie odchodź.

Ogarnęła ją rozpacz, choć się przed nią usiłowała bronić. Przypomniała sobie, co jej kiedyś powiedziała Susanna: że silni mężczyźni zawsze są najgorszymi pacjentami, zupełnie jak dzieci. Podczas zwykłego przeziębienia potrafią narzekać i jęczeć, jakby lada chwila mieli umrzeć. Miała nadzieję, że Thorne też jest taki.

Dotknęła jego spoconego czoła.

– Wyzdrowiejesz. Odejdę tylko na chwilę, żeby ci zrobić...

– Ty mnie nie znasz.

– Znam. Dużo lepiej, niżbyś się spodziewał. Wiem, że jesteś dzielny, dobry i...

– Nie znasz. Nie pamiętasz mnie. Ale tak jest lepiej. Kiedy tutaj przybyłem, bałem się, że możesz mnie poznać. Choć czasami prawie miałem na to nadzieję. Ale... – nabrał chrapliwie tchu – ... tak jest lepiej.

– Co przez to rozumiesz? – spytała, pełna niesłuchanego napięcia. – Pod jakim względem lepiej?

– Doskonale sobie poradziłaś, Katie. Gdyby mogła cię zobaczyć, byłaby... byłaby z ciebie dumna...

Głos mu się załamał. Zamknął oczy.

Co on takiego powiedział?

Cofnęła ramię.

– Zaśpiewaj dla mnie – poprosił. – Twój głos będzie ostatnim, jaki usłyszę. Zabiorę ze sobą jego echo, nawet jeśli pójde do piekła.

Nie miała pojęcia, co znaczą te chaotyczne zdania. Może po prostu bredził? Tak, to by wszystko wyjaśniało.

– Muszę utrzyć zioła – wyjąkała z trudem. – Zrobię ci balsam. A potem herbatę.

– Zaśpiewaj. – Dłoń mu osłabła, palce wysunęły się z jej splątanych włosów. – Tylko nie... nie o ogrodzie. No i pięknych kwiatach. Tego mi nie śpiewaj.

Zdumiała się.

– Skąd znasz tę piosenkę? Kiedy słyszałeś, żebym ją śpiewała?

– Nienawidziłem jej... jak ją śpiewałaś. Zawsze.

Usiłowała sobie przypomnieć, czy naprawdę śpiewała ją w jego obecności. Nie przypuszczała, by to kiedykolwiek zrobiła. A jeśli nawet, czemu jej nie cierpiał?

– Czy mnie może szpiegowałeś? Podśluchiwałeś?

Nie odpowiadał.

Ona jednak potrzebowała odpowiedzi i zamierzała ją uzyskać. Oswobodziła się z jego uścisku.

– Leż spokojnie i pozwól mi zrobić sobie ten balsam. Pomówimy ze sobą, kiedy wydobrzejesz.

– Katie, zaśpiewaj mi. Ja umie...

Potrząsnęła nim gwałtownie, zmuszając go, żeby otworzył oczy. Źrenice miał tak rozszerzone, że niemal nie widać było niebieskich tęczęwek.

– Nie umierasz – powiedziała. – Słyszysz mnie?

– Tak. – Jego oczy powoli prześlizgnęły się po jej twarzy. – Ale gdybym...

Przyciągnął ją do siebie i zakrył jej usta pocałunkiem.

Dzikim, gorączkowym pocałunkiem, jakby na krawędzi

śmierci.

Zaskoczył ją zniecka. Rozchyliła wargi. Wynikła z tego namiętna gmatwanina języków i zębów. Nie czuła w tym pocałunku nic czułego ani uwodzicielskiego. Był gorący, zachłanny, dziki, jakby miał się stać ostatnim w jego życiu. Jego język raz po raz zanurzał się głęboko w jej ustach. Mogła odczuć desperację i pożądanie Thorne'a, aż do bólu wnikające w jej ciało.

Nagle zorientowała się, że mu ten pocałunek odwzajemnia, czysto instynktownie. Że pozwala, by jej język ocierał się o jego własny. Za każdym razem pożądanie wzmagало się wewnątrz niej w zawrotnym tempie. Wydał głuchy jęk gdzieś tuż przy samych jej wargach i objął ją tak mocno, że poczuła ból.

Kiedy się od siebie oderwali, poczuła zawrót głowy.

Była jednak w lepszej sytuacji niż on, bo Thorne osunął się na łóżko nieprzytomny.

– Nie. Nie!

Gorączkowo szukała mu na szyi pulsu, wyczuła go jednak łatwo. Uderzał równo, choć raczej w szybkim tempie.

Musiła działać niezwłocznie. Wstała z łóżka. Schwyciła fiolkę z miętą.

Najpierw balsam. Potem herbata. A na trzecim miejscu – modlitwa.

Dokładne przesłuchanie później.

Przemówiła do niego energicznie, jakby krzesła ogień.

– Nie umrzesz, rozumiesz mnie? Nie pozwolę na to.

Zamierzam uratować ci życie, nawet gdybym musiała się targować o to z samym diabłem!

Niezależnie od tego, jaką tajemnicę ukrywał przed nią Thorne, nie pozwoli mu jej zabrać ze sobą do grobu. Pragnęła otrzymać odpowiedź.

Pragnęła również i jego.

Śnił mu się ogromny wąż. Gruby jak lina i złowieszczy, sunął przez wąskie zaułki Londynu. Wił się w ogrodach i zaroślach Kentu. Wreszcie wczołgał się na niskie, faliste wzgórza Sussex, podążając za wonią soli przez całą drogę wiodącą do oceanu. Gonił go i tutaj, w tym starym zamku, gdzie wpełzł przez dymnik do wieżyczki strażniczej i wspiął się do niego na łóżko. A potem owijał się cały, raz za razem, wokół jego ramienia.

Dusił go.

Do diabła!

Ucisk był tak silny, że Thorne czuł, jak całe jego ciało się rozpada. Potem zaś, jakby tego przeszywającego bólu było mu za mało, wąż ze snu usadowił mu się na piersi. Każdy oddech był walką o zrzucenie jego ciężaru z żeber.

Thorne zmagął się z tą pokrytą łuskami bestią przez wiele godzin, miotając się z bólu. Wreszcie, na całe szczęście, wąż rozwiął się w mroku.

Jakiś czas później Thorne zbudził się nagle.

Wszędzie było ciemno prócz blasku bijącego od kominka. Nie mógł się ruszyć. Wielokrotnie usiłował unieść nogi lub podciągnąć się do siedzącej pozycji, ale bez rezultatu. Ciało odmawiało mu posłuszeństwa.

Wpatrzył się w sufit, dysząc ciężko. Krople potu spływały mu z czoła. W pokoju unosiła się silna woń ziół i łoju.

Ile czasu już upłynęło? Godzin? Dni?

Usłyszał jakiś szelest koło kominka.

– Katie? – wychrypiał.

Nie usłyszała go. Poruszała ogień w palenisku, nucąc jakąś melodię.

Zamknął oczy i wrócił pamięcią do tamtego pierwszego dnia. Kiedy wszedł do tawerny Ukwiecony Byk, a ona tam stała. I śpiewała.

Nie rozpoznał jej od razu. Jakże by mógł to zrobić? Była teraz kobietą i miała prawie dwadzieścia lat więcej niż wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. A także zwrócona była do niego profilem od tej strony, na której nie miała znamienia. W jego oczach znużonego żołnierza była po prostu ładną dziewczyną w bieli, choć niejasno znajomą.

Ale jego uszom wydała się kimś w rodzaju anioła.

Wzięła jedną nutę – delikatną, melancholijną – i to było to. Wiedział już, że wpadł na dobre.

Ta nuta dotknęła słabego miejsca w jego opancerzonej duszy, weszła w nią głęboko, wwierciała się w nią. Jej głos był jak najśłodsza trucizna. Przeniknął do jego krwi, do serca, pulsował w całym ciele, nim zdążył zebrać siły do obrony. Wzmógł w nim wszelkie możliwe impulsy: powinowactwo duchowe, opiekuńczość, pożądanie. A także silne i nagłe pragnienie jej aprobaty.

Rzecz jasna, dobrze wychowana i ułożona dama nie spojrzałaby nawet na kogoś takiego, jak on. Ani też nie powinna była spojrzeć. Nie miał żadnej nadziei. Sama jednak świadomość, że mógł coś podobnego odczuwać, była niczym prawdziwy cud. A tak długo żył nieczuły jak głaz.

Wzięła ostatnią nutę i muzyka ustąpiła miejsca całkowitej, szumiącej w uszach ciszy. Nie usłyszałby najśłabszego nawet szmeru z ulicy.

Potem odeszła od fortepianu, żeby usiąść gdzie indziej. Wtedy ujrzał na jej skroni znamię i prawda objawiła mu się w nagłym rozbłysku.

Dobry Boże, to była ona. Katie.

Utracona sierotka, prześliczna Katie, teraz już duża, dorosła. Wszystko nabrało nagle sensu. Nie bez powodu wydała mu się znajoma – przecież ją znał. Budziła w nim opiekuńcze instynkty, bo kiedyś się nią opiekował. A to gwałtowne pragnienie jej aprobaty... ono też miało swoje korzenie w dawno minionej przeszłości, kiedy patrzyła na niego tak, jakby wielbiła go wzrokiem.



Wszystko to kłębiło się w nim jak echa czegoś zagubionego. Jak wspomnienie o człowieczeństwie, które z niego dawno wybito, wygnano i unicestwiono.

Rzecz jasna, nie poznała go. Nie mogła go pamiętać, była wtedy zbyt mała, a teraz zbyt wiele ich dzieliło. W młodości wywodzili się z tych samych społecznych nizin, ale potem podążyli innymi drogami. Teraz ziała między nimi otchłań i Katie nigdy by go nie dostrzegła, choćby nie wiem jak wyteźzała wzrok, bo stała na jej przeciwległym brzegu. Liczyło się jednak to, że przeżyła. Że zyskała nowe życie z dala od upiornej nędzy, w której niegdyś obydwójce się znajdowali. Poprzysiągł sobie, że niezależnie od tego, jak bardzo go do niej ciągnęło, nigdy nie zrobi niczego, co mogłoby narazić na szwank jej szczęście.

Przez rok udawało mu się jej unikać. A potem zrobił kretyński błąd, pozwalając jej zatrzymać psa. Szczeniaka aż za dobrze przyuczonego do jego, Thorne'a, własnych celów. Kundla, który osaczył w kącie pierwszego węża, na jakiego w życiu natrafił.

Borsuk leżał skulony w nogach łóżka. Thorne spojrzął spode łba na śpiący kłębek sierści.

To wszystko twoja wina. Mam nadzieję, że o tym wiesz – pomyślał sobie.

– Ocknąłeś się? – Ktoś podszedł do łóżka lekkim krokiem. Chłodna dłoń spoczęła na jego czole. – Jestem przy tobie.

– Jak długo leżałem bez przytomności?

– Od wczorajszego wieczoru. Chyba daleko jeszcze do świtu, tak mi się przynajmniej zdaje. – Odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła. – Dzięki Bogu, gorączka ci spadła, a i opuchlizna znacznie się zmniejszyła.

Przekręcił głowę na bok i spojrzął na swoje ciało. Większą jego część okrywało czyste, białe, lniane prześcieradło, z wyjątkiem chorej ręki spoczywającej na wierzchu. Opaska uciskowa znikła. Ranę zakrywał plaster o aromatycznej woni, przymocowany do ramienia paskiem flaneli. Całą rękę miał czysto umytą, a opuchlizna istotnie się zmniejszyła. Pozostały jednak

przebarwienia – czerwone pręgi i sinoczarne plamy nadal widniały na skórze. Całe ramię wyglądało tak, jakby dostało się pod prasownicę do odzieży.

Najgorsze miał za sobą. Ręka prawie go już nie bolała. Czuł się jednak unieruchomiony. Wypreżył mięśnie i usiłował zacisnąć dłoń w pięść, ale jego palce ledwo drgnęły.

Spróbował unieść nogi. Bez skutku. Zaniepokoił się.

– Wypij to.

Przysunęła mu do ust kubek. Nachylił głowę i upił trochę płynu. Miał ziołowy, znany mu skądś smak. Przypomnił sobie niejasno, że nocą wlewała mu go łyżeczką w spieczone wargi.

– Byłaś tu ze mną – powiedział. – Przez całą noc.

Kiwnęła głową.

– Nie mogłam zrobić inaczej.

– Jestem twoim dłużnikiem.

– Zastanowię się, w jaki sposób będziesz mi mógł spłacić ten dług.

Uśmiechnęła się ironicznie i tajemniczo.

Spojrzał znów na swoje obezwładnione ciało i zawahał się.

– Ja... ja nie mogę się ruszyć. Potrafię tylko kręcić głową powyżej szyi.

Nie okazała konsternacji ani przerażenia, jakich mógłby oczekiwać.

– Och, wiem, że nie możesz.

Zaniepokoił się zaskoczony.

Sięgnęła ku rąbkowi prześcieradła i uniosła je tak, by mógł zajrzeć pod spód. Liczne paski oddarte z prześcieradła i halsztuka łączyły jego tułów i lewe ramię z łóżkiem. Był do niego przywiązany.

Więzy! Teraz zrozumiał, że unieruchamiały też nogi. Wszystkie węzły znajdowały się poza zasięgiem jego ręki.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Przede wszystkim dlatego, że strasznie się rzucałeś.

Do diaska. Gdyby ją walnął, kiedy leżał nieprzytomny, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

– Czy ja... – słowa utknęły mu w gardle. Odchrząknął i zakaszał z niepokojem. – Czy ci zrobiłem coś złego?

– Nie.

Dzięki Bogu.

– Ale leżałeś w delirium i bałam się, że to właśnie ty sobie zrobisz coś złego. No i związałam cię. A potem zostawiłam te więzy, bo... – Kate przykryła go ponownie prześcieradłem, przysunęła do łóżka krzesło i spojrzała na niego zuchwale – ... jesteś mi winien pewne wyjaśnienia.

Serce zaczęło mu walić.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Nie? Kiedy wczoraj było z tobą źle, sporo mówiłeś. O sobie i o mnie.

– Pewnie bredziłem w delirium. – Spojrzał na kubek w jej ręce.

– Napiłbym się jeszcze trochę herbaty, jeśli pozwolisz.

– Jeszcze nie teraz. – Kołysała w dłoniach cynowy kubek tam i z powrotem. – Podobno znaleźmy się przedtem.

– Znamy się teraz.

– Znaleźmy się też kiedyś – powiedziała. – Jako dzieci.

Zaczął go dławić w gardle. Znów usiłował rozerwać więzy, szarpiąc się w nich mocniej niż przedtem.

– Chyba coś ci się poplątało. Nie pamiętam, żebym mówił coś takiego.

– A ja myślę, że tak. – Odstawiła kubek na bok i sięgnęła po kartkę. – Na szczęście zapisałam sobie wszystko.

Do diabła.

Wyglądała na kartkę.

Usiłował wyglądać na znudzonego.

Zacząła czytać komicznie grubym i mrukliwym głosem, naśladując, jak przypuszczał, jego własny.

– „Doskonale sobie poradziłaś, Katie. Gdyby mogła cię zobaczyć, byłaby z ciebie dumna”.

Odłożyła kartkę.

– O kim mówiłeś? Kto miałby być dumny?

Pokręcił głową.

– Powinnaś mnie rozwiązać, żebym mógł odesłać cię do domu. Jesteś przemęczona. Wyobrażasz sobie nie wiadomo, co.

Pomachała mu przed oczami kartką.

– Nie wyobraziłam sobie tego!

Jej głośne protesty obudziły psa.

– Mówiłeś też coś o strachu, że mogę cię rozpoznać. A także o tym, że mógłbyś mi zajrzeć w stanik i że bardzo pięknie pachnę.

– Panno Taylor...

– Co, wracamy do „panny Taylor”? A cóż się stało z „Katie”?  
– zajrzała mu w oczy. – Widzisz, to kolejna dziwna rzecz. Mam na imię Katherine. Przyjaciele nazywają mnie Kate. Nikt się do mnie nie zwraca jako do Katie. Przynajmniej nikt tego nie robił, odkąd byłam bardzo małym dzieckiem.

– Rozwiąż mnie! – usiłował przybrać rozkazujący ton. – A potem idź do siebie. Nie przystoi, żebyś tu była razem ze mną. A już na pewno nie sama i nie o tej porze.

– Nigdzie stąd nie pójdę, póki mi nie odpowiesz na kilka pytań.

– No, to posiedzisz tutaj bardzo długo.

Mogła go trzymać związanego nawet przez miesiąc, a on nadal byłby nieustępliwy. Przeżył dużo gorsze uwięzienie z dużo mniej urodziwymi oprawcami. Wytrzymałby całe lata.

– Jak tam twoje ramię? – spytała, zmieniając temat.

– Jakby było z drewna.

– Sporo zdołałam przeczytać, kiedy spałeś. Będzie jeszcze sztywne, ale najwyżej przez kilka dni. – Jej suknia zaszeleściła, gdy Kate przeszła na drugą stronę łóżka. Ujęła i odkorkowała buteleczkę z olejem. Nachyliła ją, wylewając niewielką jego ilość na dłoń. – To ci pomoże na zesztynienie, tak mówi twoja książka. To tylko zwykły olej z twoich zapasów. Dodam do tego później jakiegoś aromatu.

Odstawiła buteleczkę i potarła o siebie obie dłonie, rozprowadzając po nich olej. A potem położyła je na jego gołej skórze i zaczęła masować zdrętwiałe ciało. Zręczne palce ugniatały

je, usuwając sztywność przedramienia.

Niestety, zeszywnienie nie opuściło całkowicie jego ciała, tylko przesunęło się gdzie indziej, a mianowicie do pachwiny. Pod prześcieradłem zaczęło się formować coś dobrze mu znanego.

– Przestań! – stęknął.

– Czy źle ci to robi?

Przeciwnie, było mu za dobrze.

– Czy lepiej się poczujesz, jeżeli coś ci zaśpiewam? – spytała kokieteryjnie. – Zeszłej nocy prosiłeś, żebym to zrobiła.

Zanuciła melodię, a potem zaśpiewała słowa, które dobrze znał.

– *Spójrz, w ogrodzie piękne kwiatki...*

Westchnął i zamknął oczy. Boże, jak on tej piosenki nienawidził.

– *Róże, orchidee rzadkie...* – nuciła łagodnie.

– Przestań – parsknął gniewnie. – Dość!

Przesunęła dłonie niżej po jego ramieniu, aż do bandaża na nadgarstku. Odwróciła je ku górze i splotła palce z jego własnymi.

– Przyglądałam ci się uważnie przez całą noc. Usiłowałam sobie przypomnieć coś z moich najmłodszych lat. A im dłużej na ciebie patrzyłam, tym wyraźniej czułam, że kryje się w tym jakaś zagadka, którą powinnam rozwikłać. Ale fragmenty łamigłówek nie układają mi się w całość. A jeśli nie chcesz mi dobrowolnie tego wyjaśnić...

Wciągnął gwałtownie dech.

– ...to nie mam wyjścia i będę się musiała odwołać do najbardziej bezwzględnych sposobów, żeby wydobyć je z ciebie siłą.

– Traktujesz mnie bezlitośnie! – powiedział z ironią.

– Nie sądzisz, że to we mnie głęboko tkwi?

Schwyciła za prześcieradło i ściągnęła je z niego do pasa. Goła pierś ukazała się w pełnym świetle. Każdy znak, każdy tatuaż, każda zablizniona rana. Poczuł się upokorzony. Ona jednak nie okazała wcale zaskoczenia, jedynie ciekawość, i to o jawnie zmysłowym charakterze. Bez wątpienia dobrze się mu przyjrzała

wcześniej. Pozbawiło ją to w jeszcze większej mierze niewinności, co w nim wzbudziło nienawiść.

Ale sposób, w jaki na niego patrzyła, odruchowo oblizując wargi...

Znowu odkorkowała buteleczkę i nachyliła ją nad jego piersią, póki olej nie zaczął z niej skapywać kroplami. Rozprowadziła lepki płyn powoli na jego piersi. Potem przeszła do mięśni brzucha, omijając więzy, i sięgając aż ku czarnym włosom schodzącym klinem w dół ku pachwinie.

Dobry Boże. Wszystko to było przewrotnie zmysłowe. Jakie jeszcze miała chytre zamiary? Gdyby przesunęła miękkimi dłońmi wzdłuż jego gołej, natłuszczonej piersi, mógłby przestać się martwić, że chce z niego siłą wydobyć wyznanie. Rozpłynąłby się wtedy z zachwyty.

– Wiem, jakim sposobem mam cię zmusić do mówienia – powiedziała z cynicznym uśmiechem. – Przygotuj się na cios mojej sekretnej broni.

Thorne zeszywniał.

– Oto on.

O Chryste!

Schwyciła oburącz psa i uniosła go tuż nad jego błyszczącym od oleju torsem, tak że nos Borsuka znalazł się nad pełnym oleju pępkiem.

Thorne napiął mięśnie brzucha. A więc to był jej wielki, przewrotny plan. Chciała z niego wydobyć prawdę z pomocą psa!

– Borsuk był z nami przez całą noc. Nie jadł nic prócz starej skórki od sera, którą wywęszył w twojej szafie. – Twarz jej wykrzywił złośliwy grymas.

– Jesteś bardzo, bardzo głodny, prawda, kochanie? – odezwała się do psa.

– Nie zrobisz tego! – stęknął Thorne.

– Och, popatrz tylko na mnie.

– Katie, jak śmiesz?!

Uniosła brwi.

– Ach. Wracamy teraz do Katie? A więc moja taktyka działa!

Zacisnął szczęki i spiorunował ją wzrokiem.

– Jeśli wiesz cokolwiek o tym, co wycierpiałem w życiu, to powinnaś rozumieć, że nie można mnie pokonać dzięki psu.

– No to się przekonasz.

Thorne zaklął w duchu. Nie pozwoli się pokonać psu, ale ta kobieta... ona była prawdziwym niebezpieczeństwem.

Spojrzała mu w oczy. Z powagą.

– Przez całe życie chciałam się dowiedzieć czegoś o mojej przeszłości. Przez całe życie, Thorne. Nie spocznę, póki mi nie wyznasz prawdy.

– Nie mogę.

Opuściła psa jeszcze trochę niżej.

Dreszcz przebiegł mu po grzbiecie.

– Borsuk, nie! – rozkazał psu, choć wiedział, że to daremne.

Pies, jak to pies. Szczeknął, warknął, a potem zabrał się do dzieła.

Boże, zmiłuj się.

Zaczął go lizać.

Pierwsza faza tortury trwała krótko. Kate pozwoliła Borsukowi tylko na kilka sekund entuzjastycznego lizania.

Thorne ryczał jak zwierzę. Jak rozszalałe zwierzę. Nozdrza miał rozdęte, mięśnie brzucha naprężone i twarde. Ściągną zeszywniały mu i uwypukliły się na szyi, żyły zdrowego ramienia nabrzmiały.

O Boże.

Oddech Kate przyspieszył. Thorne, mężczyzna masywny, silny i wściekły, znalazł się na jej łasce. Był bestią, ale wspaniałą.

Uniosła po chwili psa, czując wręcz zawrót głowy od swojej wszechmocy.

– Czy już dosyć?

Dyszał ciężko, głos miał schrypnięty.

– Przestań. Przestań natychmiast.

– Proś mnie o litość.

– Akurat. Za nic.

Opuściła psa ponownie. Tym razem Thorne sprężył się i

wygiął w łuk, a rama łóżka zatrzęsała się tak mocno, że całe uniosło się ku górze. Krople potu wystąpiły mu na czoło.

Powtórzyła całą operację.

– A teraz?

– Pożałujesz tego.

– Wątpię.

Opuściła psa jeszcze raz, pozwalając mu teraz lizać bok Thorne'a, pod najniżej położonym żebrem.

Z trudem nabrał tchu.

– Dobra – warknął w końcu. – Dobra. Wygrałaś, tylko zabierz go ode mnie!

– Powiesz mi wszystko?

– Powiem.

Kate poczuła smak zwycięstwa.

– Wiedziała, że się poddasz.

– Nie proszę o litość dla mnie – dyszał z wzrokiem wbitym w sufit – tylko dla psa. Tym twoim olejem sprawisz tylko tyle, że się porzyga.

Uśmiechnęła się pod nosem, wiedząc, że trafiła w jego piętę achillesową.

– Wiem, że ci na nim bardzo zależy.

Przytuliła Borsuka do piersi, chwając psa głośno, nim postawiła go na podłodze. Potem poświęciła całą uwagę Thorne'owi. Patrzył na nią tak, jakby chciał ją zamordować.

– Słucham – powiedziała.

– Najpierw mnie rozwiąż.

– Kiedy tak się na mnie wściekasz? Może jestem zuchwałą, ale nie głupia. – Sięgnęła po kubek. – Ale mogę ci dać trochę herbaty.

Podeszła do wezglowia łóżka i zbliżyła naczynie do jego warg, unosząc mu głowę, żeby mógł pić. Gdy ją opuścił na poduszkę, szarpnęła go za kosmyk zmierzwionych włosów.

– No, jazda.

Thorne westchnął.

– Tak, znałem cię jako dziecko. Byłaś jeszcze bardzo mała,



kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Miałaś jakieś cztery lata. Ja byłem starszy, może liczyłem sobie ich dziesięć czy jedenastie. Nasze matki...

Przy słowie „matki” zaczęło ją dławić w gardle.

– Nasze matki? – chwyciła go za zdrową rękę. – Musisz mi powiedzieć wszystko. Wszystko, Thorne.

Stęknął z niechęcią.

– Powiem ci więcej, dam ci słowo. Ale najpierw mnie rozwiąż. Żeby ci o tym opowiedzieć, muszę mieć choć trochę godności.

Namyślała się przez chwilę.

– Zgoda.

Wzięła ze stołu nóż. Precyzyjnymi ruchami przecięła po kolei wszystkie więzy. Niektóre z nich otaczały jego nogi odziane w bryczesy, inne gołą pierś i brzuch. Żeby je unieść i przeciąć, musiała przesunąć rękami po ciepłej, pokrytej olejem skórze. Siła się na obojętność, ale było to trudne.

Kiedy przecięła ostatnie pasma płótna, wsparł się na łokciu zdrowej ręki i powoli siadł na łóżku. Śpiący gigant zaczął się budzić.

Jego buty huknęły głośno o podłogę dwoma bliźniaczymi łupnięciami. Nie pofatygowała się przedtem, żeby je ściągnąć.

Potarł kanciaste, nieogolone szczęki, przejechał dłonią po włosach. Spojrzał na swoją nagą, posmarowaną olejem pierś.

– Masz jakąś gąbkę albo mokrą szmatę?

Podawała mu wilgotny ręcznik ze stolika obok.

Ujął go w lewą rękę i wytarł szyję, a potem kark. Gdy przechylał głowę to w jedną, to w drugą stronę, Kate przyglądała się jego atletycznym barkom z napiętymi ścięgnami i twardym zarysem mięśni. Nie było w jego ciele niczego o łagodnym zarysie.

Widniały tam za to te intrygujące tatuaże.

Kiedy opuścił rękę niżej i zaczął wycierać pierś, zaschło jej w ustach. Odwróciła wzrok, uświadomiwszy sobie, że się na niego gapi.

Stanowczo powinna mu znaleźć jakąś koszulę. Wąska szafa tuż przy drzwiach wyglądała na garderobę. W niej właśnie powiesiła jego czerwony oficerski szynel zeszłej nocy, gdy niebezpieczeństwo minęło. Podeszła do niej teraz i znalazła tam świeżo wyprasowaną koszulę z miękkiego lnu.

Odłożył wilgotny ręcznik, a ona odwróciła wzrok, gdy podawała mu koszulę. Po chwili jednak spojrzała na niego. Zdołał wsadzić głowę w szeroki, otwarty pod szyją kołnierz, a także wsunąć zdrowe ramię w lewy rękaw. Widziała jednak, że trudno mu ruszać zranionym.

Zbliżyła się do niego.

– Pozwól, niech ci pomogę.

Cofnął się.

– Poradzę sobie sam.

Po tym burknięciu zrezygnowała z pomocy.

– Dobrze. Widzę z zadowoleniem, że wytrzymałeś torturę, zachowując nietkniętą dumę. Wyjdę z Borsukiem na chwilę.

Ranek był chłodny i wilgotny, popędzała więc Borsuka, żeby prędzej załatwił swój interes, nie chcąc ryzykować, że natknie się na kolejnego węża.

Gdy wróciła, Thorne siedział przy stole nad odkorkowaną flaszką. Był już w mundurze.

– Powiniennem się ogolić i zawiązać halsztuk, ale... –  
Wskazał na prawe ramię, zwisające bezwładnie.

– Nie mów głupstw. – Siadła przy nim i podparła się łokciem.  
– Nie trzeba. Wolę sobie nawet nie wyobrazić, jak ja w tej chwili wyglądam.

– Pięknie – powiedział to całkiem serio. Spojrzał na nią uważnie. – Zawsze wyglądasz pięknie. – Wyciągnął rękę, żeby ująć nią pasmo jej włosów. – Ona też miała falujące włosy, ale nie były takie ciemne.

– Gdzie to było? – Znów zaczęło ją dławić w gardle. – Gdzie żyłyśmy?

– W Southwark, jak już ci mówiłem. Niedaleko więzienia. W miejscu paskudnym i bardzo niebezpiecznym.

– Nazywałeś mnie wtedy Katie?

Skinął głową.

– Jak wszyscy.

– A jak cię ja nazywałam?

Pierś uniosła się mu i opadła z wolna.

– Samuel.

Samuel.

Imię zgadzało się z tym, co pamiętała. Wspomnienia majaczyły niejasno, jakby na skraju jej pamięci. Gdy próbowała je sobie dokładniej uświadomić, pierzchały.

Czuła jednak, że gdzieś tam tkwią i czekają – mgliste, mroczne.

– Nasze matki mieszkały w tym samym domu – ciągnął.

– Ale mówiłeś mi, że twoja matka stała się ladacznicą.

Zacisnął usta tak mocno, że utworzyły jedną cienką linię.

– Tak.

Och, nie. Kate z wielkim trudem zaczerpnęła tchu. Ta prawda była zbyt okropna, żeby ją przyjąć do wiadomości.

– Czy moja... czy ona jeszcze żyje?

Zaprzeczył z powagą.

– Nie. Umarła. Właśnie dlatego znalazłaś się w szkole.

Kate wpatrywała się tępo w bruzdy na blacie stołu. Nagle zaczął w niej narastać gniew. Chciała głośno krzyczeć, płakać, walić w coś pięściami. Nigdy nie doświadczyła takiej bezsilnej wściekłości i nie umiałaby nawet powiedzieć, z jakiego powodu czuje ją teraz.

– Przykro mi, Katie. Prawda nie jest przyjemna.

– Tak. Jest nieprzyjemna. Ale to moja własna prawda. – Odepchnęła stół i uderzyła się pięścią w nogę. – A także moje życie. Nie mogę uwierzyć, że ukrywałeś to przede mną.

Przeciągnął dłonią po twarzy.

– Daj mi się upewnić, że to rozumiem – ciągnęła. – Kiedy zeszłego lata znalazłeś się w Spindle Cove, poznałeś mnie?

– Tak.

– Po tym? – Dotknęła znamienia.

– Tak.

– A więc rozpoznałeś mnie od razu jako kogoś znanego ci w dzieciństwie. A teraz uważasz, że jestem... – Machnęła gwałtownie ręką, wskazując na siebie – wcale niegorsza, jak się kiedyś wyraziłeś?

– Więcej niż niegorsza.

– Jak bardzo? – Wstała i z ironią rozłożyła szeroko ręce. – Ładna? Piękna? Olśniewająca tak, że nie sposób wyrazić tego słowami?

– To trzecie – parsknął krótko. – Najbardziej pasuje to trzecie. Kiedy nie miotasz się jak rozgniewana kura, myślę sobie nieraz, że jesteś najpiękniejszą kobietą na całym świecie.

Ręce jej opadły.

Po kłopotliwej pauzie zaczęła:

– Nie jestem taka, rozumiesz? Nie jestem nawet najładniejszą dziewczyną w Spindle Cove.

Uniósł dłoń.

– W takim razie bardzo pociągająca. Uważam cię za bardzo pociągającą.

– Ale zamiast mi o tym powiedzieć, wolałeś mnie onieśmielać i unikać przez cały rok. Chociaż wiedziałeś, że uważałam się za podrzutka. Chociaż musiałeś rozumieć, jak rozpaczliwie staram się poznać cokolwiek z mojej przeszłości. Jak mi to mogłeś zrobić?

– Bo myślałem, że tak będzie najlepiej. Niewiele pamiętałaś i to było prawdziwe błogosławieństwo. Żyliśmy w miejscu, o którym lepiej byłoby zapomnieć. Nie chciałem, żebyś się o tym dowiedziała.

– Ale wybrałeś co innego! – Wskazała gestem na ocean gdzieś poza murami zamku. – Nie wierzę ci. Pojechałbyś do Ameryki, nie mówiąc mi ani słowa. I zostawiłbyś mnie, żebym się zawsze nad tym głowiła.

Nie patrzył na nią. Zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju. Borsuk uganiał się z kąta w kąt za jej rozwianą suknią.

– Gdyby Gramercy nie znaleźli tego obrazu i nie przyjechali,

żeby mnie odszukać... – Nagle przyszła jej do głowy okropna myśl. – Och, Boże. Czy oni naprawdę szukali mnie? Czy moja matka wyglądała tak, jak na portrecie? Czy nosiła brelok z szafirowym kamieniem?

– Nie wiem. Moje wspomnienia o niej nie są o wiele wyraźniejsze od twoich. Kiedy ją widywałem, była zazwyczaj uróżowana i miała umalowane oczy. A potem zbladła, bo chorowała. Ellie Rose była...

– Ellie Rose? – Kate zbliżyła się do niego gwałtownie. – Moja matka miała na imię Ellie Rose?

– Tak w każdym razie ją nazywano. Pewnie to nie były jej prawdziwe imiona.

Ellie Rose. Czy mogła być tą samą kobietą, która zwała się Elinor Marie, czy też była jakąś inną nieszczęsną kobietą?

Och, Boże.

Kim była Kate? Córką markiza? Dzieckiem ladacznicy?

A może jednym i drugim?

Osunęła się na ziemię odrętwiała. Borsuk wskoczył jej na kolana, jakby triumfował w grze, w którą się oboje bawili. Nie zwracała na niego uwagi. Nawet on nie mógł jej teraz pocieszyć.

Z nawyku uniosła palce do skroni. Panna Paringham nazwała ją dzieckiem hańby, które winno żyć we wstydzie.

„Bądź dzielna, moja Katie”.

W niejasnych chwilach największego osamotnienia te słowa dodawały jej wielkiej nadziei. Nie mogła jej teraz utracić. Ktoś ją gdzieś kiedyś kochał. Jeśli nawet ów ktoś był upadłą kobietą, a owo „gdzieś” nędznym burdelem – to jednak miłość pozostawała miłością.

– Rozumiesz teraz – spytał Thorne – dlaczego chciałem uchronić cię przed prawdą? Zapomnij o przeszłości, Katie. Myśl o swoim dzisiejszym życiu. O tym, do czego doszłaś, o przyjaźniach, jakie zawarłaś. Znalazłaś rodzinę, która cię zechce.

Gramercy.

– O Boże – westchnęła. – Muszę im wszystko powiedzieć.

– Nie! – Thorne rąbnął w stół zdrową pięścią. – Nie możesz

im powiedzieć niczego.

– Ależ muszę! Nie rozumiesz? To przecież może być brakujące ogniwo. Jeśli Ellie Rose rzeczywiście była Elinor... to będą już wiedzieć z całą pewnością, że jestem córką Simona.

– Ano tak, i dowiedzą się wówczas, że przez pierwsze cztery lata życia mieszkałaś w burdelu. Dadzą sobie wtedy z tobą spokój. Nie będą chcieli mieć nic wspólnego z tobą.

Kate pokręciła głową.

– Gramercy nigdy by mi tego nie zrobili. Rodzina liczy się dla nich ponad wszystko. Zawsze tak mówią. Przetrwali już wiele skandali.

– Te ich skandale były z wyższych sfer, a twój jest inny. To nie to samo.

Wiedziała, że miał słuszość. To nie było to samo. Gdyby chodziło o luksusową kurtyzanę dla elity, skandal może nie byłby tak duży. Ale dziwka z nędznego burdelu w Southwark?

Mimo to jednak...

– Winna im jestem prawdę. Nie mogę pozwolić, żeby mnie przyjęli do rodziny, jeśli istnieje możliwość, że to wszystko pomyłka.

Uderzyła ją nowa myśl, która natychmiast nią owładnęła.

Wstała z podłogi.

– Może właśnie ty się mylisz? Pomyślałeś o tym? Znałeś kiedyś dziewczynkę ze znamieniem. Ale to było dwadzieścia lat temu. Nie możesz mieć pewności, że to ja.

– A co z tą piosenką, Katie?

Skrzyżowała ręce na piersi i uniosła podbródek.

– To tylko głupia piosenka. Czego ma dowodzić?

Nieważne, że przez wszystkie lata w Margate i po tylu spędzonych na uczeniu muzyki nigdy nie poznała nikogo, kto by ją znał.

Przez chwilę miała wrażenie, że Thorne chce się z nią spierać. Ale potem porzucił najwyraźniej te myśli.

– W porządku – powiedział, unosząc z rezygnacją prawe ramię. – Masz rację. Musiałem się omylić. Nigdy nie znałem cię

jako dziecka. Nigdy nie byłaś córką dziwki. Tym bardziej więc nie powinnaś Gramercym o tym mówić.

– Ależ muszę – wyszeptała. – Zasługują na to, żeby wiedzieć. Byli dla mnie tacy dobrzy, tak bardzo mi zaufali. Muszę im powiedzieć. Dzisiaj.

Dźwignął się z trudem na nogi.

– No to pójdę z tobą.

– Nie! – prychnęła. – Nie chcę, żebyś tam szedł. Próbowałam ujrzeć w tobie wszystko, co najlepsze, mimo twojej opryskliwości. Broniałam cię w duchu, mimo że mnie brutalnie odrzucałeś, a wczoraj... Byłam gotowa wyjść za ciebie, ty człowieku bez serca! Myślałam niemądrze, że zaczynam cię kochać.

Głos się jej załamał.

– A ty mnie okłamywałeś. Przez cały czas, od pierwszej chwili, kiedy tylko znalazłeś się w naszym miasteczku i zobaczyłeś mnie, jak śpiewałam w pożyczonym indyjskim szalu. Okłamałeś mnie. Zmusiłeś do tego głupiego narzeczeństwa. Wystrychnąłeś na dudka wobec wszystkich moich przyjaciół i ludzi, których, jak się spodziewam, będę mogła nazywać swoją rodziną. A robiłeś to wszystko, choć wiedziałeś dobrze, ile to dla mnie znaczy. Nie mogę pozwolić, żebyś mnie nadal ranił. Miałeś rację wtedy, na cmentarzu. Potrzeba mi kogoś zdolnego do współczucia i troskliwego. Znalazłam lepszego mężczyznę.

– Katie...

– Nie nazywaj mnie w ten sposób. Nie rób tego nigdy więcej. Schwycił ją za ramię.

– Kate, nie mogę pozwolić ci odejść. Nie teraz.

– Dlaczego?

– Bo...

Jej gwałtownie bijący puls nagle stał się nierówny. Gdyby powiedział jej tutaj, w tej chwili, „bo ja cię kocham”, nie potrafiłaby odejść. Nawet po tym wszystkim, co jej zrobił, nie byłaby do tego zdolna. Na pewno o tym wiedział.

No, już – ponaglała go w myśli – tylko trzy słowa, a jestem twoja.

– Bo spędziłaś tutaj całą noc – odparł.  
Przymknęła oczy. Tchórz.  
– Spędziłaś całą noc w mojej kwaterze – powtórzył. – Jeśli ktoś się o tym dowie, twoja reputacja zostanie zrujnowana. Całkowicie.  
– Zaryzykuję. Wolę raczej mieć zrujnowaną reputację, niż zostać z tobą. – Wyrwała się z jego uścisku i ruszyła do drzwi. – Koniec z naszym narzeczeństwem!  
– Masz słuszność, koniec – odparł. – Bo jutro weźmiemy ślub.

*ciąg dalszy nastąpi...eh*

**W czerwcu 2015**

***Tessa Dare***

***Dama o północy***

**Tom 2**



## *Przypisy*

<sup>[1]</sup> Marmozeta, mała małpka Ameryki tropikalnej (przyp. tłum.).

